



Za kogo ty się uważasz?



**ALICE
MUNRO**

Za kogo ty się uważasz?



ALICE MUNRO

Przełożyła
Elżbieta Zychowicz

Dla G.Fn.

Królewskie lanie

Królewskie lanie. Taka była obietnica Flo. Dostaniesz królewskie lanie.

Słowo „królewskie” zawisało na języku Flo, nabierało dostojności. Rose odczuwała potrzebę wyobrażenia sobie różnych sytuacji, tropienia niedorzeczności, silniejszą niż potrzeba trzymania się z dala od kłopotów, i zamiast wziąć sobie tę groźbę do serca, zastanawiała się, jak wygląda królewskie lanie. Wyobrażała sobie aleję wysadzaną drzewami, tłum oficjalnych widzów, białe konie i czarnych niewolników. Ktoś klęczał, krew jak czerwona flaga. Wydarzenie tyleż okrutne, co wspaniałe. W realnym życiu było pozbawione owej godności i tylko Flo próbowała nadać mu szlachetną aurę wyższej konieczności i żalu. Ale na to, co się działo między Rose a ojcem, nie dało się patrzeć.

Ojciec był mistrzem królewskiego lania. To, które dostawała od Flo, nigdy mu nie dorównywało. Były to jedynie szybkie trzepnięcia i klapsy, które macocha wymierzała, mając głowę zajęłą czymś innym. Zejdź mi z drogi, mawiała. Pilnuj swoich spraw. Przestań robić miny.

Mieszkali we czwórce na zapleczu sklepu w Hanratty, w Ontario: Rose, jej ojciec, Flo i młodszy, przyrodni brat Rose, Brian. Właściwie sklep był częścią domu, który kupili po ślubie rodzice Rose i w którym założyli mały warsztat zajmujący się naprawą mebli i tapicerstwem. Rose powinna była odziedziczyć po obojgu zręczne palce, wycucie materiału i dobre oko do wyboru najlepszego sposobu reperacji, lecz tak się nie stało. Była niezdarna, a gdy coś się potłukło, nie mogła się doczekać, by wszystko jak najprędzej posprzątać i wyrzucić.

Jej matka od dawna już nie żyła. Pewnego popołudnia powiedziała do ojca Rose:

– Czuję się jakoś dziwnie, nie bardzo potrafię to opisać. Zupełnie jakbym miała w piersi ugotowane na twardo jajko, z którego nie zdjęto skorupki.

Umarła przed zapadnięciem zmroku z powodu zatoru płucnego. Rose była wtedy niemowlęciem, więc oczywiście nie mogła niczego pamiętać. Usłyszała całą historię od Flo, która z kolei słyszała ją zapewne od ojca Rose. Flo pojawiła się wkrótce potem, zajęła się malutką Rose, poślubiła jej ojca i otworzyła sklepik spożywczy w pokoju od ulicy. Rose, która знаła dom tylko w obecnej postaci, ze sklepem, i Flo jako matkę, wyobrażała sobie tych szesnaście miesięcy, które spędzili tutaj rodzice, jak na spokojny, znacznie miłszy i bardziej uroczysty czas, przeżyty nawet w pewnym dostatku. Nie zostało jej po matce nic poza kilkoma kieliszkami do jajek z delikatnym wzorkiem w ptaszki i pędy winorośli, jak gdyby namalowanym delikatną kreską czerwonym atramentem, który to wzorek zaczynał się już coraz bardziej zacierać. Żadnych książek, ubrań ani zdjęć.

Ojciec musiał pozbyć się wszystkiego, a może zrobiła to Flo. Jedyna opowieść Flo o matce Rose, ta o jej śmierci, była dziwnie oględna, mimo że Flo lubiła dokładne relacje o umieraniu – co ludzie wtedy mówili, jak protestowali, próbowali wstać z łóżka albo przeklinali, czasami się śmiali (niektórzy tak właśnie się zachowywali). Kiedy jednak opowiadała, jak matka Rose wspomniała o ugotowanym na twardo jajku w pierśsi, w jej ustach to porównanie brzmiało niezbyt mądrze, jak gdyby jej poprzedniczka faktycznie była osobą, która myślała, że można połknąć jajko w całości.

Ojciec miał za sklepem szopę, w której pracował nad naprawą i renowacją mebli. Wyplatał siedzenia i oparcia krzesel, reperował wyroby z wikliny, wypełniał pęknięcia, wstawiał z powrotem nogi, a wszystko to w sposób godny podziwu, zręcznie i tanio. To była jego duma – zaskakiwać ludzi tak miśterną robotą, tak umiarkowanymi, wręcz śmiesznymi cenami. W czasach Wielkiego Kryzysu ludzi być może nie było stać na to, by płacić więcej, ale on postępował tak samo podczas wojny, a następnie w latach dobrobytu po wojnie, aż do samej śmierci. Nigdy nie rozmawiał z Flo o tym, ile komuś policzył czy ile mu się jeszcze należy. Po śmierci męża Flo weszła do szopy i pozdejnowała z dużych, groźnie wyglądających haków, które służyły mu za kartotekę, rozmaite skrawki papieru i podarte koperty. Znalazła wśród nich wiele karteluszków, które nie były rachunkami ani pokwitowaniami, lecz luźnymi notatkami o pogodzie, zapiskami dotyczącymi ogrodu, spraw, które poruszyły go na tyle, że postanowił je utrwalić na papierze.

*Jadłem młode ziemniaki 25 czerwca. Rekord.
Czarny Dzień w 1880 roku, nic nadprzyrodzonego.
Chmury popiołu z pożarów lasów.
16 sierpnia 1938 roku. Gwałtowna burza.
Piorun uderzył w kościół prezbiteriański
w gminie Turberry. Wola Boska?
Sprzyłem truskawki, by usunąć kwas.
Wszystkie rzeczy są żywe. Spinoza.*

Flo myślała, że Spinoza to pewnie jakieś nowe warzywo, które jej mąż zamierzał hodować, w rodzaju brokułu czy bakłażana. Często eksperymentował. Pokazała karteczkę Rose i spytała ją, czy wie, co to takiego Spinoza. Rose wiedziała, a przynajmniej miała pojęcie – była wtedy nastolatką – lecz odparła, że nie wie. Osiągnęła wiek, gdy wydawało się jej, że nie znieśie żadnych więcej wiadomości o ojcu albo o Flo. Odpychała od siebie wszelkie odkrycia z zakłopotaniem i lękiem.

W szopie znajdował się piec i mnóstwo półek z surowego drewna, wypełnionych puszkami farby i politory, bezbarwnego lakieru i terpentyny, słoików, w których moczyły się pędzle. Stało tam również kilka ciemnych, lepkich butelek syropu przeciwkaszlowego. Dlaczego człowiek, którego dręczył uporczywy kaszel i który nawąchał się gazu podczas wojny (za czasów najwcześniejszego dzieciństwa Rose nazywanej nie pierwszą, lecz ostatnią), spędzał całe dni, wdychając opary farby i terpentyny? Wtedy takich pytań nie zadawano tak często jak obecnie. Na ławce przed sklepem Flo siadywało paru

starszych mężczyzn z pobliskich domów. Plotkowali, od czasu do czasu przysypiając w słońcu, niektórzy z nich również bez przerwy kasłali. Faktem jest, że powoli i niepostrzeżenie umierali na schorzenie nazywane bez szczególnego poczucia krzywdy „chorobą odlewników”. Przez całe swoje życie pracowali w odlewni w miasteczku, a teraz siedzieli bez ruchu, z pożółkłymi, wymizerowanymi twarzami, kaszląc, chichocząc, bezsensownie wymieniając sprośne uwagi na temat przechodzących kobiet lub młodych dziewczyn na rowerze.

Z szopy dobiegał nie tylko kaszel, lecz również męski głos, nieustanne mamrotanie, pełne wyrzutu lub pokrzepiające, zwykle nie dawało się rozróżnić słów. Wolniejsze, gdy ojciec miał do wykonania jakąś szczególnie trudną pracę, coraz szybsze, gdy praca nie wymagała specjalnego wysiłku, jak na przykład szlifowanie papierem ściernym czy malowanie. Momentami przebijały się pojedyncze słowa, wyraźne i bezsensowne, zawisając w powietrzu. Gdy sobie uprzytamniał, że mu się wyrwały, szybko pokrywał je kaszlem, po czym zapadała czujna, niezwykła cisza.

– Makaron, pepperoni, Botticelli, fasola...

Co to mogło znaczyć? Rose powtarzała sobie te słowa, ale nie mogła go zapytać. Człowiek, który je wypowiadał, nie był tą samą osobą co jej ojciec, chociaż zdawali się zajmować tę samą przestrzeń. Byłoby w absolutnie złym tonie zauważyć kogoś, kogo nie powinno tam być; wprost niewybaczalne. Kręciła się więc w pobliżu i słuchała.

Pewnego razu słyszała, jak mówi: „Tonące w chmurach wieże”.

– Tonące w chmurach wieże, wspaniałe pałace.

Rose miała wrażenie, jak gdyby czyjaś dłoń klepnęła ją po piersi, nie po to, by sprawić jej ból, lecz by ją zaskoczyć, pozbawić na chwilę tchu. Wtedy musiała uciekać stamtąd jak najdalej. Wiedziała, że dość już usłyszała, a poza tym, gdyby tak ją przytąpał? To byłoby straszne.

Podobnie miała się sprawa z odgłosami dobiegającymi z łazienki. Flo odłożyła trochę pieniędzy i postanowiła urządzić w domu łazienkę, ale nigdzie nie było na nią miejsca, poza jedynym kątem w kuchni. Drzwi się nie domykały, ściany były z płyty pilśniowej. W rezultacie ci, którzy coś robili w kuchni, rozmawiali czy jedli, słyszeli nawet szelest oddzieranego kawałka papieru toaletowego lub szuranie pośladek po desce sedesowej. Wszyscy znali nawzajem swoje odgłosy, nie tylko w najbardziej wybuchowych momentach, lecz nawet intymne westchnienia, pomruki, skargi i przemowy. A że wszyscy byli ogromnie pruderyjni, udawali, że nic nie słyszą albo nie słuchają, i nie robili żadnych uwag. Nie łączyli wychodzącej z łazienki osoby z kimś wydającym tamte dźwięki.

Mieszkali w ubogiej dzielnicy miasta. Było Hanratty i West Hanratty, przedzielone rzeką. Oni mieli dom w West Hanratty. Społeczność Hanratty była bardzo zróżnicowana, począwszy od lekarzy różnych specjalności i prawników, a skończywszy na odlewnikach, robotnikach i wozakach, powożących platformami transportowymi. W West Hanratty ta rozpiętość była dużo mniejsza – od robotników i odlewników do dużych utracjuszkowskich rodzin sezonowych przemysłowców alkoholu, prostytutek i nieudolnych złodziei. W pojęciu Rose jej rodzina

stała okrakiem nad rzeką i nie należała ani tu, ani tu, ale nie była to prawda. Ich sklep znajdował się jednak na terenie West Hanratty, na samym końcu głównej ulicy. Naprzeciwko była kuźnia, zabita deskami od początku wojny, oraz dom, w którym kiedyś mieścił się inny sklep. Z frontowej wystawy do tej pory nie zdjęto szyldu „Salada Tea”. Pozostał wyłącznie jako dumna i interesująca dekoracja, w środku bowiem nie sprzedawano już herbaty Salada. Był tam również kawałek chodnika, zbyt popękany i pochyły, żeby dało się po nim jeździć na wrotkach. Mimo to Rose marzyła o wrotkach i często wyobrażała sobie, jak śmiga na nich w spódniczce w szkocką kratę, zwinna i modna. Na ulicy stała jedyna latarnia, blaszany kwiat; tutaj udogodnienia się kończyły, dalej były już tylko grząskie gruntowe drogi, podwórka przypominające śmietniska i dziwnie wyglądające domy. Ów dziwny wygląd powodowały próby zabezpieczenia ich przed całkowitym popadnięciem w ruinę. Przy niektórych nikt się o to nie starał. Te były szare, zbutwiałe i pochylone, wtopione w krajobraz pełen dołów porośniętych krzakami, stawów z kumkającymi żabami wśród szuwarów i pokrzyw. Jednakże większość dachów była załatana papą, kilkoma nowymi gontami, arkuszami blachy, wyklepanymi rurami od pieców, a nawet tekturą. Tak było oczywiście w czasach przed wojną, czasach, które później obrosły legendą ogromnej biedy i z których Rose zapamiętała przede wszystkim to, co było nisko – wielkie mrowiska, drewniane schody i ten zamglony, niepewny, ale ciekawy świat.

Na początku między Flo a Rose przez dłuższy czas panował pokój. Charakter Rose rozwijał się jak kolczasty ananas, lecz powoli i skrycie surowa duma i sceptycyzm nakładały się na siebie, tworząc coś zaskakującego nawet dla niej samej. Zanim osiągnęła wiek szkolny, gdy Brian był jeszcze niemowlęciem w wózku, Rose spędzała czas w sklepie z nim i macochą – Flo siedziała na wysokim stołku za ladą, Brian spał przy oknie, a ona klęczała lub leżała na skrzypiącej podłodze, rysując coś kredkami na kawałkach papieru pakowego, zbyt podartych lub zbyt nieregularnego kształtu, by można było ich użyć zgodnie z przeznaczeniem.

Zakupy w ich sklepie robili głównie ludzie, którzy mieszkali w pobliskich domach. Zaglądali tu również rolnicy, po drodze z miasteczka do domu, oraz czasami mieszkańcy Hanratty, którzy przechodzili przez most. Zdarzali się i tacy, którzy zawsze kręcili się po głównej ulicy, wchodzili do sklepów i wychodzili z nich, jak gdyby mieli obowiązek zawsze być na widoku i uważali, że powinni być wszędzie mile widziani. Na przykład Becky Tyde.

Becky Tyde wdrapała się na ladę Flo i zrobiła sobie miejsce obok otwartej puszki kruchych ciasteczek z marmoladowym nadzieniem.

– Smaczne są? – spytała, bezczelnie częstując się jednym. – Kiedy dasz nam pracę, Flo?

– Możesz się zatrudnić u rzeźnika – niewinnie odrzekła macocha Rose. – U swojego brata.

– U Roberty? – prychnęła Becky z teatralną pogardą. – Myślisz, że pracowałabym u niego? – Jej brat, który był

właścicielem sklepu mięsnego, miał na imię Robert, lecz nazywano go często Robertą, ponieważ był nerwowy i łagodny jak baranek. Becky Tyde wybuchnęła śmiechem, donośnym i ogłuszającym, przypominającym warkot silnika.

Była karlicą o dużej głowie, gromkim głose i ruchach jakiejś bezpłciowej istoty. Na tej głowie tkwił czerwony aksamitny szkocki beret z pomponem. Z powodu kręczu karku twarz miała odwróconą w bok, zawsze patrzyła w górę lub z ukosa. Nosiła małe eleganckie pantofelki na wysokich obcasach, jak prawdziwa dama. Rose wpatrywała się w te buciki, bojąc się całej reszty, jej śmiechu i wykręconej szyi. Wiedziała od Flo, że w dzieciństwie Becky Tyde zachorowała na polio i to z tego powodu cierpiała na kręcz karku i nie urosła. Trudno było uwierzyć, że początek jej życia wyglądał zupełnie inaczej, że kiedyś była zupełnie normalna. Flo twierdziła, że Becky nie jest stuknięta, ma tyle samo rozumu co inni, ale wie, że wszystko uchodzi jej na sucho.

– Wiesz, że mieszkałam tu niedaleko? – spytała Becky, zauważając Rose. – Hej, jak masz na imię? Prawda, że tutaj mieszkałam, Flo?

– Jeśli tak, to jeszcze przede mną – odparła Flo, jak gdyby nic jej o tym nie było wiadomo.

– To było, zanim jeszcze ta dzielnica podupadła. Przepraszam za moje słowa. Mój ojciec zbudował dom i rzeźnię, mieliśmy też sad o powierzchni ćwierć hektara.

– Doprawdy? – spytała Flo niemiłym tonem, pełnym fałszywej łagodności, a nawet pokory. – Dlaczego więc się wyprowadziliście?

– Mówiłam ci już, że dzielnica zesłała na psy – odrzekła Becky. Włożyła do ust całe ciasteczko, policzki wydeły się jej jak u żaby. Więcej się nie odezwała.

Ale Flo i tak wiedziała swoje, podobnie jak wszyscy inni. Każdy znał dom z czerwonej cegły z werandą i sad, a raczej to, co z niego zostało, kompletny śmietnik – walały się tam fotele samochodowe, pralki, sprężyny łóżek i inne rupiecie. Mimo tego, co się w nim zdarzyło, dom nigdy nie wyglądał złowieszczo, tak bardzo był zrujnowany i zaniedbany.

Jeśli wierzyć słowom Flo, stary ojciec Becky był zupełnie innym typem rzeźnika niż jej brat. Anglik o wybuchowym charakterze. Nie był też gadatliwy jak jego córka ani otwarty. Dusigrosz, rodzinny tyran. Nie pozwolił Becky wrócić po chorobie do szkoły. Rzadko wychodziła z domu, nigdy nie przekraczała granicy podwórka. Ojciec nie chciał, żeby sąsiedzi mieli satysfakcję z powodu czyjegoś nieszczęścia. Tak zeznała Becky na procesie. W tym czasie jej matka już nie żyła, a siostry powychodziły za mąż. W domu zostali tylko Becky i Robert. Ludzie zatrzymywali Roberta na ulicy i pytali:

– Co słyhać u twojej siostry, Robert? Czy czuje się już lepiej?

– Tak.

– Zajmuje się domem? Szykuje ci kolację?

– Tak.

– Czy wasz ojciec dobrze ją traktuje?

Fama głosiła, że ojciec ich bije, że bił wszystkie swoje dzieci i żonę, a teraz Becky obrywa jeszcze mocniej z powodu swej

ułamności. Niektórzy uważali, że to właśnie ojciec doprowadził ją do tego stanu (nie wiedzieli zbyt wiele o chorobie Heinego i Medina). Do krążących plotek wciąż dodawano nowe pikantne szczegóły. Teraz powodem trzymywania Becky w ukryciu była jej rzekoma ciąża, a ojcem dziecka podobno miał być jej ojciec. Potem ludzie gadali, że dziecko się urodziło i pozbyto się go.

– Jak to?

– No, uśmiercono je – wyjaśniła Flo. – Mówiono: idź do Tyde'a po kotlety jagnięce, będą delikatne i kruche! Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa były to sensacje wyssane z palca – dodała z wyraźnym żalem.

Rose odwróciła wzrok od starej podartej markizy, którą szarpał wiatr, przenikając przez rozdarcie, zaskoczona tonem żalu, przestrogi w głosie Flo. Opowiadając tę historię – a nie była to jedyna ani nawet najbardziej drastyczna, jaką знаła – skłoniła głowę, przybierając łagodną, zamyśloną, kuszącą, ostrzegawczą minę.

– Nie powinnam w ogóle ci o tym opowiadać.

Po czym mówiła dalej.

Trzej młodzieńcy, którzy wałęsali się bez celu wokół stajni, zebrali się – a może zostali zebrani przez bardziej wpływowych i szacownych mężczyzn w miasteczku – i w interesie społecznej moralności przygotowali się, by spuścić lanie staremu Tyde'owi. Usmolili sobie twarze. Każdy z nich dostał bat i kwarę whisky dla kurazu. Byli to: Jelly Smith, stajenny i pijak, Bob Temple, baseballista i siłacz, oraz Hat* Nettleton, daw-

* *Hat* – kapelusz (przyp. tłum.).

ny woźnica platformy konnej. Jego przezwisko wzięło się od melonika, który nosił, tyleż z próżności, co dla komicznego efektu. (Właściwie nadal pracował jako wozak; zachował przezwisko, choć nie nosił już melonika, i często widywano go – niemal tak często jak Becky Tyde – gdy woził worki węgla, z usmoloną twarzą i rękami. To powinno przypominać jego historię, ale tak się nie działo. Teraźniejszość i przeszłość, ciemna, melodramatyczna przeszłość w opowiadaniach Flo, były absolutnie odrębne, przynajmniej dla Rose. Współcześni ludzie nie pasowali do przeszłości. Sama Becky, miasteczkowe dziwadło i ulubienica wszystkich, nieszkodliwa i złośliwa, zupełnie nie pasowała do opisu uwięzionej kalekiej córki rzeźnika, białego cienia w oknie: niemego, pobitego, brzemiennego. Podobnie było z domem, który w ogóle nie przypominał tego z opowieści Flo.)

Młodzieńcy, którzy mieli wymierzyć chłostę, późnym wieczorem, gdy już wszyscy położyli się spać, zjawili się przed domem Tyde'a. Mieli ze sobą broń, ale wystrzelali całą amunicję na podwórku. Wrzeszczeli na rzeźnika i walili w drzwi, wreszcie wdarli się do środka. Tyde pomyślał, że chodzi im o pieniądze, zawinął więc w chusteczkę kilka banknotów i posłał na dół Becky, być może spodziewając się, że mężczyźni się wzruszą lub przestraszą na widok małej dziewczynki z kręczem karku, karliczki. Ale to ich nie zadowoliło. Weszli na górę i wyciągnęli rzeźnika spod łóżka, w koszuli nocnej, po czym wywlekli go na dwór i postawili na śniegu. Było zimno, temperatura spadła cztery stopnie poniżej zera, fakt odnotowany później w sądzie. Zamierzali przeprowadzić fikcyjny proces, ale nie pamiętali,

jak się to robi, zaczęli więc go bić i tłukli, dopóki nie upadł. Katowali go dalej, krzycząc: „Mięso od rzeźnika!”, dopóki jego koszula nocna i śnieg, na którym leżał, nie zabarwiły się na czerwono. Jego syn Robert zeznał w sądzie, że nie był świadkiem pobicia, jednakże Becky powiedziała, że Robert najpierw się przyglądał, ale potem uciekł i gdzieś się ukrył. Ona sama patrzyła przez cały czas. Widziała, jak mężczyźni w końcu odeszli, jak ojciec brnął przez śnieg, zostawiając na nim ślady krwi, jak gramolił się po stopniach werandy. Nie wyszła na dwór, żeby mu pomóc, ani nie przytrzymała drzwi, żeby go wpuścić do środka. Gdy zapytano ją w sądzie, dlaczego tak postąpiła, odparła, że miała na sobie tylko nocną koszulę i nie otworzyła drzwi, ponieważ nie chciała wyiębić domu.

Wyglądało na to, że stary Tyde odzyskał siły. Kazał Robertowi zaprząć konia, a Becky nagrzać wody. Umył się, ubrał, wziął wszystkie pieniądze i bez słowa wyjaśnienia wsiadł do sań i pojechał do Belgrave, gdzie zostawił konia na mrozie i wyruszył rannym pociągiem do Toronto. W pociągu zachowywał się dziwnie, jęczał i przeklinał, jakby był pijany. Nazajutrz zatrzymano go na ulicach Toronto, nieprzytomnego wskutek wysokiej gorączki, i zabrano do szpitala, gdzie zmarł. Wciąż miał przy sobie pieniądze. Jako przyczynę śmierci podano zapalenie płuc.

Ale władze coś podejrzewały, opowiadała Flo, i sprawa trafiła do sądu. Trzej sprawcy dostali długie wyroki więzienia. Farsa, parsknęła Flo. Nie minął rok, a wszyscy byli na wolności, ułaskawiono ich, na wszystkich czekała praca. A dlaczego? A dlatego, że było w to zamieszanych zbyt wielu ważniaków.

I najwyraźniej ani Becky, ani Robertowi nie zależało na tym, by sprawiedliwości stało się zadość. Stali się zamożnymi ludźmi. Kupili dom w Hanratty. Robert zajął się sklepem, a Becky po długim okresie życia w odosobnieniu zaczęła się pokazywać i udzielać towarzysko.

To było wszystko. Flo stanowczo zakończyła swoją opowieść, jak gdyby ją znudziła. Może dlatego, że stawiała wszystkich w złym świetle.

– Tak to było – powiedziała.

Flo musiała być wtedy tuż po trzydziestce. Młoda kobieta, a ubierała się, jakby miała pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy nawet siedemdziesiąt lat: nosiła luźne suknie z drukowanego perkalu oraz fartuchy z karczkiem, również perkalowe, które zdejmowała, gdy przechodziła z kuchni do sklepu. W tamtych czasach tak wyglądał zwykły strój niezamożnych, choć nie całkiem ubogich kobiet; w pewnym sensie był to celowy, pogardliwy wybór. Flo gardziła spodniami, gardziła strojami ludzi starających się nadążać za modą, gardziła szminką i trwałą ondulacją. Czarne włosy miała prosto obcięte w taki sposób, by móc je zakładać za uszy. Była wysoka, lecz drobnej kości, miała szczupłe nadgarstki i wąskie ramiona, małą głowę i bladą, piegowaną, ruchliwą, małą twarz. Gdyby uważała, że jest to warte zachodu i gdyby miała środki finansowe, mogłaby podkreślić swoją chmurną bladą urodę, swoją wiotkość, i byłaby nawet w pewien sposób ładna; Rose uświadomiła to sobie później. Ale musiałaby stać się zupełnie inną osobą, musiałaby przestać stroić miny do siebie i do innych.

Najwcześniejszym wspomnieniem Rose związanym z Flo była niezwykła miękkość i jednocześnie niezwykła twardość. Miękkie włosy, długa twarz, miękkie blade policzki, niemal niewidoczny meszek nad górną wargą i przy uszach. Sterczące twarde kolana, płaskie piersi.

Kiedy Flo śpiewała: „Ach, brzęczenie pszczoł w konopiach, szum źródełka z lemoniadą...”, Rose rozmyślała o życiu macychoy, zanim ta jeszcze poślubiła jej ojca, gdy pracowała jako kelnerka w barze kawowym, jeździła z przyjaciółkami, Mavis i Irene, na Centre Island, była zaczepiana przez mężczyzn w ciemnych uliczkach i wiedziała, jak działają automaty telefoniczne i windy. Gdy żując gumę, odpowiadała ostro na pytania, Rose słyszała w jej głosie ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami życia w wielkim mieście.

A gdy śpiewała:

Wtedy powoli, powoli wstała,
Podeszła doń nieśpiesznie
I rzekła ledwie kilka słów:
Zaiste, ty konasz, młodzieńcze!

Rose myślała o życiu, jakie Flo prowadziła wcześniej, owianym legendą i bogatym, gdzie mieszały się różne rzeczy: ballada *Barbara Allen*, ojciec Becky Tyde i wszelkie smutki i akty przemocy.

Królewskie lanie. Od czego się zaczęło?

Chyba od pewnej wiosennej soboty. Liście jeszcze się nie rozwinęły na drzewach i krzewach, ale drzwi były wszędzie

pootwierane, by wypuścić promienie słońca. Wrony. Rowy wypełnione rwącą wodą. Optymistyczna pogoda. Często w soboty Flo powierzała sklep Rose – było to jakiś czas temu, dziewczynka miała wtedy dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście lat – a sama wybierała się do Hanratty (nazywali to chodzeniem „na miasto”), żeby zrobić zakupy, spotkać się ze znajomymi i posłuchać, co mają do powiedzenia. Wśród tych osób znajdowała się pani mecenas Davies, pani anglikański proboszcz Henley-Smith oraz pani weterynarz McKay. Po powrocie do domu parodiowała je przy kolacji: ich górnolotny sposób wyrażania się, ich niepohamowaną gadatliwość. Przedstawiała te kobiety jako potwory – głupie, pretensjonalne i zadufane w sobie.

Po zrobieniu zakupów wstępowała na deser lodowy do baru kawowego w hotelu Queen's. Rose i Brian zawsze chcieli koniecznie wiedzieć, jakie to były lody, i byli rozczarowani, jeśli tylko ananasowe lub karmelowe. Cieszyli się, kiedy jadła karmelowo-czekoladowe z orzechami lub waniliowo-czekoladowe. Następnie wypalała papierosa. Zawsze nosiła przy sobie kilka gotowych skrętów, tak że nie musiała ich zwijać w miejscu publicznym. Palenie było jedynym jej nawykiem, który nazwałaby popisywaniem się przed innymi. Był to nałóg, który pozostał jej z czasów, kiedy pracowała w Toronto. Wiedziała, że prosi się w ten sposób o kłopoty. Pewnego razu podszedł do niej w hotelu Queen's katolicki ksiądz i pstryknął jej przed nosem zapalniczką, zanim zdążyła wyjąć zapalnik. Podziękowała mu, lecz nie nawiązała rozmowy w obawie, żeby nie próbował jej nawrócić.

Kiedy indziej, w drodze do domu, dostrzegła na końcu mostu od strony miasta chłopaka w niebieskiej kurtce, najwyraźniej gapiącego się w nurt rzeki. Miał jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat. Nie znała go. Wychudzony, cherlawy, od razu zorientowała się, że coś z nim jest nie tak. Czyżby zamierzał skoczyć? Gdy się do niego zbliżyła, odwrócił się, rozchylając poły kurtki, miał też rozpięte spodnie. Musiał nieźle marznąć tego zimnego dnia, gdy Flo szczelnie otulała szyję podniesionym kołnierzem płaszcza.

Kiedy zobaczyła, co trzyma w ręku, pierwszą rzeczą, jaka jej przyszła na myśl, było: co też on robi tutaj z bolońską kiełbasą?

I powiedziała to na głos, nie w formie żartu, ale zadając pytanie. Utrzymywała, że gardzi sprośnymi żartami. Często wychodziła przed sklep i krzyczała na siedzących tam starszych mężczyzn:

– Jeśli nie chcecie, żebym was stąd pogoniła, lepiej się nie wyrażajcie!

A więc jest sobota. Z jakiegoś powodu Flo nie wybiera się „na miasto”, lecz postanawia zostać w domu i wyszorować podłogę w kuchni. Niewykluczone, że to właśnie wprawia ją w zły humor. Ale mogła być już wcześniej w złym nastroju, ponieważ ludzie nie płacili rachunków, a może zawiniły budzące się wiosną uczucia. Zatargi z Rose już się rozpoczęły i od-tąd ciągnęły się nieustająco, niczym sen, który wciąż powraca, wkrada się w inne sny, wciska się drzwiami i oknami, irytująco mglisty, ludny, znajomy i ulotny. We trójkę wynoszą z kuchni wszystkie krzesła, żeby przygotować ją do szorowania. Muszą zabrać stamtąd trochę zapasów przeznaczonych dla sklepu,

kilka kartonów rozmaitych konserw, słoików syropu klonowego, puszek nafty, butelek octu. Przenoszą je do drewnutni. Brian, wówczas pięcio- lub sześćioletni, pomaga nosić puszki.

– Tak – mówi Flo, zaczynając od punktu, w którym prze-
rwała. – I uczycie tych świństw Briana.

– Jakich świństw?

– Nie udawaj, że nie wiesz.

Z kuchni do drewnutni jest zaledwie jeden stopień, kawałek dywanu na nim tak wytarty, że Rose nie pamięta nawet, jaki miał wzór. Brian odrywa go niechcący, ciągnąc puszkę.

– Dwaj vancouverczycy – cicho szepcze dziewczynka.

Flo jest z powrotem w kuchni. Brian wodzi wzrokiem od matki do siostry i Rose śpiewnie powtarza nieco głośniej:

– Dwaj vancouverczycy...

– ...smażą się w smarkach! – kończy Brian, dłużej nie potrafiąc się opanować.

– Dwa kiszone dupki...

– ...wiszą za jajka!

To jest właśnie to. Świństwo.

Dwaj vancouverczycy smażą się w smarkach!

Dwa kiszone dupki wiszą za jajka!

Rose zna ten wierszyk od lat, nauczyła się go, gdy po raz pierwszy poszła do szkoły. Po powrocie do domu spytała Flo, co to jest vancouverczyk.

– To mieszkaniec wielkiego miasta. Daleko stąd.

– I co poza tym?

Flo spytała, o co jej chodzi. Rose wyjaśniła, że o to smaże-
nie, zbliżając się do niebezpiecznej chwili, rozkosznej chwili,
kiedy będzie musiała zadeklamować całość.

– Dwaj vancouverczycy smażą się w smarkach! Dwa kiszone
dupki wiszą za jajka!

– Zaraz oberwiesz! – krzyknęła Flo z wściekłością, którą
łatwo było przewidzieć. – Powiedz to jeszcze raz, a ci przy-
łożę.

Rose nie potrafiła się powstrzymać. Mruczała pod nosem,
wymawiając głośniej niewinne słowa i ścisząc głos przy in-
nych. Nie tylko słowa „smarki” i „dupki” sprawiały jej frajdę,
choć oczywiście one również. Najbardziej jednak delektowała
się kiszaniem i wieszaniem tajemniczych vancouverczyków.
Wyobrażała ich sobie jako coś w rodzaju ośmiornic skwier-
czących na patelni. Poplątanie z pomieszaniem; przebłyk
szaleństwa.

Później znowu przypominała sobie wierszyk i uczyła go
Briana, żeby sprawdzić, czy wywoła taki sam efekt. Rzecz
jasna, wywoływał.

– Słyszałam! – mówi Flo. – Wszystko słyszałam! I ostrzegam
was!

Brian nie lekceważył groźby. Wybiega z drewnutni, żeby się
bawić; on może robić, co mu się żywnie podoba. Fakt, że jest
chłopcem, pozwalała mu pomagać lub nie, angażować się lub
nie. Unika domowych kłótni. One zresztą go nie potrzebują,
z wyjątkiem sytuacji, kiedy go wykorzystują jedna przeciw-
ko drugiej; prawie nie zauważają, że wyszedł. Działają sobie

wzajemnie na nerwy, ale nie potrafią z tym skończyć. Gdy wydaje się, że się poddały, tak naprawdę czekają, zbierając siły.

Flo wyciąga szczotkę do szorowania, wiadro, szmatę oraz podkładkę pod kolana, brudną czerwoną gumową podkładkę, i zabiera się do pracy. Rose siedzi na kuchennym stole, jedynym wolnym miejscu do siedzenia, dyndając nogami. Czuje chłód ceraty, ponieważ ma na sobie szorty, ciasne, spłowiałe ubiegłoroczne szorty, które znalazła w worku, gdzie przechowywane są letnie ubrania. Po zimie czuć je trochę stęchlizną.

Flo pełza na czworakach po podłodze, szorując ją szczotką, wycierając ścierką. Nogi ma długie, białe i muskularne, wszędzie poznaczone niebieskimi żyłami, jak gdyby ktoś namalował na nich rzeki kopiowym ołówkiem. Niezwykła energia i gwałtowna odraza znajdują wyraz w szuraniu szczotką i szmatą po linoleum.

Co mają sobie do powiedzenia? To właściwie nieważne. Flo zarzuca Rose, że jest przemądrzała, niegrzeczna, nieporządna i zarozumiała. Że chętnie pracuje u innych, że cechuje ją kompletny brak wdzięczności. Podkreśla niewinność Briana i zepsucie Rose. „Och, niech ci się nie wydaje, że jesteś kimś nadzwyczajnym”, mówi Flo, i chwilę później: „Za kogo ty się uważasz?”. Rose zaprzecza i protestuje z taką jadowitą racjonalnością i łagodnością, teatralnie manifestując beztroskę, że Flo wychodzi z siebie i z większą niż zwykle pogardą i przytomnością umysłu sama staje się niesłychanie teatralna, kiedy wypomina Rose, że poświęciła dla niej życie. Spotkała jej

ojca obarczonego małym dzieckiem i pomyślała: „Co też ten mężczyzna ma począć?”. Poślubiła go więc i oto jest tutaj, na kolanach.

W tym momencie brzęczy dzwonek, oznajmiając wejście klienta do sklepu. Ponieważ kłótnia jest w toku, Flo nie pozwala Rose pójść tam i obsłużyć go. Wstaje sama, zrzuca z jękiem fartuch – lecz nie jest to jęk dopuszczający Rose do wspólnego dzielenia irytacji – i przechodzi do sklepu. Rose słyszy, jak macocha mówi swoim normalnym głosem:

– W samą porę!

Wraca, wiąże fartuch i jest gotowa znowu podjąć wątek.

– Nigdy nie przejmujesz się nikim poza sobą! Nigdy nie obchodzi cię to, co robię!

– A ja nigdy cię o nic nie prosiłam. Wolalabym, żebyś nic nie robiła. Byłoby mi znacznie lepiej.

Rose mówi to z uśmiechem, patrząc Flo prosto w oczy. Macocha, która nie uklękła jeszcze z powrotem, dostrzega ten uśmiech, łapie szmatę przewieszoną przez wiadro i ciska nią w dziewczynkę. Mierzy chyba w twarz, ale szmata opada na nogę Rose na wysokości kostki. Rose podnosi stopę i macha nią nonszalancko.

– Dobra – mówi Flo. – Tym razem przeciągnęłaś strunę.

Rose obserwuje macochę idącą w stronę drewni, słyszy, jak stąpa ciężko po podłodze i zatrzymuje się przy wyjściu, gdzie jeszcze nie zamontowano drzwi siatkowych, a dodatkowe drzwi, zabezpieczające przed wichurą, są otwarte i podparte cegłą. Woła ojca Rose ostrzegawczym, stanowczym tonem,

jak gdyby wbrew swej woli przygotowywała go na złe wiadomości. On zaraz dowie się, o co chodzi.

Kuchenna podłoga jest pokryta sześcioma różnymi wzorami linoleum. To dzieło Flo, która nakupowała za grosze resztek i pomysłowo przycięła je i dopasowała, wykańczając paskami i pinezkami. Rose siedzi na stole, wpatrując się w podłogę, w tę satysfakcjonującą kompozycję prostokątów, trójkątów i innych kształtów, których nazwy usiłuje sobie przypomnieć. Słyszy, że Flo wraca przez drewnię po skrzypiących deskach ułożonych na brudnej podłodze. Ona też marudzi, czeka. Nie mogą dłużej ciągnąć tego same.

Rose słyszy kroki ojca. Sztywnieje, dreszcz przebiega jej po nogach, czuje, jak dygoczą na ceratowym obrusie. Odwołany od jakiegoś spokojnego, absorbującego zajęcia, od słów kłębiących mu się w głowie, odwołany od samego siebie, ojciec musi coś powiedzieć. Pyta:

– Tak? Co się stało?

Teraz słyhać zupełnie inny głos Flo. Wzbogacony, zraniony, pokorny, sfabrykowany na poczekaniu. Przykro jej, że oderwała go od pracy.

Nigdy by tego nie uczyniła, gdyby Rose nie doprowadziła jej do szału. Czym? Swoim pyskowaniem, bezczelnością i okropnym językiem. To, co Rose powiedziała Flo, jest takie straszne, że gdyby odezwała się w ten sposób do swojej rodzonej matki, ojciec spralby ją na kwaśne jabłko.

Rose próbuje wtrącić, że to nieprawda.

Co nie jest prawdą?

Ojciec podnosi dłoń, nie patrząc na nią, i mówi:

– Cicho bądź!

Zaprzecząc, Rose chce wyjaśnić, że nie zaczęła tej sprzeczki, że tylko odpowiadała, prowokowana przez Flo, która teraz kłamie jak z nut, przekręcając wszystko tak, jak jej wygodnie. Nie wspomina o tym, że cokolwiek Flo zrobiła lub powiedziała, cokolwiek ona, Rose, zrobiła lub powiedziała, tak naprawdę nie ma znaczenia. Liczy się sama walka i nie da się jej przerwać, nigdy nie da się jej przerwać, z wyjątkiem tej chwili, do której teraz doprowadziła.

Kołana Flo są brudne, mimo że używała podkładki. Szmata, którą zmywała podłogę, wciąż zwisa ze stopy Rose.

Ojciec wyciera ręce, słuchając Flo. Nie śpieszy się. Potrzebuje dużo czasu, by wczuć się w sytuację, z góry zmęczony, bliski odrzucenia roli, do której zagrania został zmuszony. Nie patrzy na Rose, ale ilekroć słyszy, że dziewczynka próbuje coś mówić lub się porusza, podnosi do góry dłoń.

– Bez wątpienia nie potrzebujemy tutaj gapiów – oznajmia Flo i idzie zamknąć drzwi sklepu. Umieszcza na wystawie sklepowej tabliczkę „Zaraz wracam”, którą z wielką fantazją wykonała dla niej Rose, zaokrąglając i cieniując litery czarną i czerwoną kredką. Potem wraca i zamyka drzwi do sklepu, drzwi prowadzące na schody i na końcu drzwi do drewnitni.

Jej buty zostawiają ślady na czystej mokrej części podłogi.

– Och, nie wiem – mówi głosem pozbawionym teraz gwałtownych emocji. – Po prostu nie wiem, co mam z nią zrobić. – Idąc za spojrzeniem Rose, spuszcza wzrok i spostrzega swoje

brudne kolana. Wyciera je ze złością gołymi rękami, rozmazując brud.

– Ona mnie poniża – mówi, prostując się. To jest właśnie to, wyjaśnienie. – Poniża mnie – powtarza z satysfakcją. – Nie okazuje mi szacunku.

– Wcale nie!

– Siedź cicho! – sztorcuje ją ojciec.

– Gdybym nie zawołała ojca, nadal siedziałabyś tam z tym swoim uśmiezkiem na twarzy! Jak miałabym inaczej sobie z tobą poradzić?

Rose wyczuwa u ojca pewne obiekcje co do retoryki Flo, lekkie zakłopotanie i niechęć, i popełnia błąd. Powinna zdawać sobie sprawę, że go popełnia, myśląc, że może na to liczyć. Ta świadomość, jak również fakt, że on wie, iż ona wie, niczego nie ułatwia. Ojciec zaczyna się rozkręcać. Spogląda na nią. Początkowo to spojrzenie jest zimne i wyzywające. Informuje Rose o wyroku, jaki na nią wydał, o jej beznadziejnym położeniu. Następnie staje się klarowne, zaczyna nabierać innego wyrazu, tak jak budząca się wiosna wybucha z całą siłą, gdy uprzątnie się suche liście. To nienawiść i zadowolenie. Rose dostrzega te uczucia i zna je. Czy to gniew, czy powinna zobaczyć w jego oczach wzbierający gniew? Nie. To z pewnością nienawiść. Z pewnością zadowolenie. Jego twarz łagodnieje, zmienia się, młodnieje. Ojciec podnosi do góry dłoń, tym razem, by uciszyć Flo.

– Dobrze – mówi, co ma oznaczać: dość tego, absolutnie dość, tę część mamy za sobą, można przejść do dalszego działania. Zaczyna odpinać pas.

Flo i tak przestała. Podobnie jak Rose, trudno jej uwierzyć w to, że naprawdę stanie się to, co wiedziała, że musi się stać, że nadchodzi czas, kiedy nie można się już wycofać.

– Och, nie wiem, nie bądź dla niej zbyt surowy. – Krąży nerwowo po kuchni, jak gdyby przyszedł jej do głowy pomysł utorowania sobie drogi ucieczki. – Och, nie musisz przecież bić jej pasem. Musisz użyć pasa?

Ojciec nie odpowiada, nieśpiesznie zdejmując pas. Ujmuje go w odpowiednim miejscu. „No dobra”. Podchodzi do Rose i spycha ją ze stołu. Jego twarz, podobnie jak głos, są bez wyrazu. Przypomina kiepskiego aktora grającego w grotesce. Jak gdyby musiał delektować się czymś żenującym i okropnym i trwać przy tym. To nie znaczy, że udaje, iż gra i nie mówi serio. On gra i mówi serio. Rose o tym wie, zna go dobrze.

Kiedyś zastanawiała się nad morderstwami i mordercami. Czy takiej rzeczy nie dokonuje się częściowo dla efektu, by udowodnić jednoosobowej widowni – która nie będzie mogła nikogo powiadomić, lecz wyłącznie zarejestrować fakt – że coś takiego może się zdarzyć, że nie istnieje nic, co nie może się wydarzyć, że usprawiedliwiony jest nawet najbardziej przerażający wybryk, że można znaleźć uczucia, które do tego pasują?

Rose próbuje znowu wpatrywać się w kuchenną podłogę, pomysłową i krzepiącą geometryczną kompozycję, żeby tylko nie patrzeć na ojca lub jego pas. Jak coś takiego może się dziać w obecności takich codziennych świadków – linoleum, kalendarza z młynem, rzeczka i jesiennymi drzewami, starych, usługowych garnków i patelni?

„Wyciągnij rękę!”

Ci świadkowie jej nie pomogą, żaden z nich nie może jej uratować. Te przedmioty stają się obojętne, bezużyteczne, nawet nieprzyjazne. Garnki potrafią okazać nienawiść, wzory na linoleum typią na ciebie, zdrada jest drugim obliczem codzienności.

Przy pierwszym, a może drugim bolesnym razie Rose się cofa. Nie pogodzi się z tym. Okrąża kuchnię, próbuje dostać się do drzwi. Ojciec zastępuje jej drogę. W dziewczynce nie ma ani odrobiny odwagi, stoicyzmu. Ucieka, krzyczy, błaga. Ojciec biegnie za nią, waląc ją pasem, gdy tylko mu się uda, w końcu porzuca go i używa rąk. Uderza ją w ucho z jednej strony, potem z drugiej. Głowa jej odskakuje, w uszach brzęczy. Teraz ojciec wymierza jej cios pięścią w twarz. Ciska nią o ścianę i policzkuje z całej siły. Potrząsa dziewczynką i znów ciska nią o ścianę, kopie po nogach. Rose woła coś bez ładu i składu, jak oszalała, krzyczy. „Już nie będę! Och, błagam, przebacz mi!”

Flo także wrzeszczy. „Przestań, przestań!”

Jeszcze nie. Ojciec obala Rose na podłogę, a może ona sama się na nią rzuca. Znów kopie ją po nogach. Rose nic już nie mówi, tylko wydaje z siebie nieartykułowane dźwięki. Flo wykrzykuje: „Och, a jeśli ludzie ją usłyszą?”. Z ust Rose wyrывa się ostatni okrzyk poniżenia i obrony, wygląda bowiem na to, że musi odegrać swoją rolę z taką samą jaskrawością i przesadą jak jej ojciec. Gra ofiarę z brakiem umiaru, który wywołuje i być może ma wywołać końcową, pełną obrzydzenia pogardę ojca.

Mogłoby się wydawać, że dadzą z siebie wszystko, posuną się do ostateczności.

Niezupełnie. Ojcu nigdy nie udało się poważnie zranić Rose, chociaż zdarza się oczywiście, że dziewczynka modli się, by to zrobił. Uderza ją otwartą dłonią, zachowuje pewną powściągliwość w kopaniu.

Teraz przerywa egzekucję, nie mogąc złapać tchu. Pozwala podejść Flo, podnosi Rose z podłogi i popycha ją w stronę macochy z prychnięciem obrzydzenia. Flo łapie ją, otwiera drzwi na schody i popycha na górę.

– Idź teraz do swojego pokoju! Biegiem!

Rose wchodzi po schodach, potyka się, potem specjalnie potyka się jeszcze raz i upada na stopnie. Nie bębni w drzwi, ponieważ takie zachowanie mogłoby go sprowokować do przyścia za nią, a ona już i tak jest słaba. Kładzie się na łóżku. Słyszy przez przewód kominowy, jak Flo pociąga nosem i głośno protestuje, jak ojciec odpowiada ze złością, że powinna się zamknąć, bo skoro nie chciała kary dla Rose, nie powinna była do niej zachęcać. Flo broni się, że nigdy nie zachęcała do takiego lania.

Kłóćą się o to przez dłuższy czas. Przestraszony głos Flo nabiera siły, wraca jej pewność siebie. Kłótnia sprawia, że znów zaczynają się w sobie zamykać. Wkrótce mówi tylko Flo. Ojciec się już nie odzywa. Rose musi powstrzymywać głośny szloch, żeby ich słyszeć, a gdy już traci zainteresowanie podsłuchiowaniem i chce sobie jeszcze popłakać, okazuje się, że już nie może pobudzić się do łez. Osiągnęła stan spokoju, w którym akt przemocy jest postrzegany jako pełny i ostateczny. W tym

stanie zdarzenia i możliwości nabierają cudownej prostoty. Wybory są na szczęście jasne. Zdania, które przychodzą na myśl, nie są spieraniem się o szczegóły, rzadko bywają w trybie warunkowym. Słowem, dla którego nagle zostało ustanowione prawo, jest „nigdy”. Nigdy się do nich nie odezwie, nigdy nie spojrzy na nich inaczej niż z odrazą, nigdy im nie wybaczy. Ukarze ich, wykończy ich. Unieruchomiona przez te nieodwołalności i ból przenikający ciało, pławi się w dziwnym psychicznym komforcie, poza sobą, poza odpowiedzialnością.

A gdyby tak teraz umarła? Gdyby popełniła samobójstwo? Albo uciekła? Każda z tych ewentualności byłaby właściwa. To jedynie kwestia wyboru. Pławi się w swojej wyższości, jak gdyby była lekko odurzona.

Jest taki moment w stanie odurzenia, gdy człowiek czuje się absolutnie bezpieczny, pewny, nieuchwytny, a potem, niemal natychmiast, bez ostrzeżenia, nadchodzi chwila, gdy cała ochrona fatalnie pęka, mimo że wciąż wydaje się trzymać w całości, nietknięta. Tak dzieje się właśnie teraz, gdy Rose słyszy na schodach kroki Flo, czuje spokój i wolność, a jednocześnie zdaje sobie sprawę ze spiralnie opadającego biegu wydarzeń.

Flo wchodzi do pokoju bez pukania, lecz z wahaniem, świadczącym, że mogło jej to przyjść do głowy. Niesie słoik tłustego kremu. Rose wykorzystuje sytuację, dopóki może, leżąc z twarzą ukrytą w poduszce, nie zauważając macochy i nie odpowiadając jej.

– Ach, daj spokój – mówi Flo niespokojnie. – Nie czujesz się aż tak źle, prawda? Posmaruj się tym, a od razu poczujesz się lepiej.

Blefuje. Nie wie na pewno, jakich urazów doznała Rose. Zdejmuje wieczko pudełka z kremem. Rose czuje jego zapach. Intymny, dziecienny, upokarzający. Nie pozwoli, żeby się do niej zbliżył. Ale by uniknąć dużej grudy na palcu Flo, musi się ruszyć. Szamocze się, opiera, traci godność i pozwala, by Flo zorientowała się, że nie ma się czym przejmować.

– Dobrze – mówi Flo. – Wygrałaś. Zostawiam to tutaj, możesz się posmarować, kiedy będziesz miała ochotę.

Później pojawia się jeszcze taca. Flo stawia ją bez słowa i wychodzi. Są na niej: duża szklanka napoju mleczno-czekoladowego, na dnie gęste smugi vita-maltu, przyniesionego ze sklepu; małe kanapeczki, zgrabne i apetyczne; łosoś z puszki, czerwony, najwyższej jakości, mnóstwo majonezu; kilka maślanych ciasteczek z piekarni, czekoladowe herbatniki z miętowym nadzieniem. To najulubieńszy przysmak Rose. Odwraca wzrok, nie chce patrzeć, lecz gdy zostaje sama, odczuwa żalostną pokusę, jest poruszona, wzburzona, myśli o samobójstwie gdzieś zniknęły. Zapach łososia pobudza jej apetyt, korci ją, by spróbować chrupiących czekoladowych herbatników, wyciąga palec, by przesunąć nim po brzegu jednej z kanapek (okrojonej ze skórki!), by zebrać nadmiar majonezu, posmakować. Potem decyduje się zjeść jedną, by mieć siłę na odmówienie sobie reszty. Jednej nikt nie zauważy. Po chwili, oddając się kompletnej rozpuście, pochłania wszystkie. Wypija napój

mleczno-czekoladowy, zjada maślane ciasteczka i herbatniki. Pociągając nosem ze wstydu, wybiera palcem z dna szklanki syrop słodowy. Za późno.

Flo wróci na górę po tacę. Być może powie: „Widzę, że apetyt wciąż ci dopisuje” lub „Smakował ci napój? Dość w nim było syropu?”, zależnie od tego, jak skarcona sama się czuje. W każdym razie Rose straci całą przewagę. Zrozumie, że życie znowu się zaczyna, że wszyscy będą siedzieli przy stole, jedząc, słuchając wiadomości w radiu. Jutro rano, może nawet dzisiaj wieczorem. Choć wydaje się to niestosowne i nieprawdopodobne. Będą zakłopotani, ale raczej mniej niż można byłoby się spodziewać, zważywszy na to, jak się zachowywali. Będą odczuwali dziwne znużenie, ozdrowieńczą ociężałość, niezbyt odległą od zadowolenia.

Pewnego wieczoru po podobnej awanturze siedzieli w kuchni. Zapewne było lato, a przynajmniej ciepła pogoda, ponieważ ojciec wspomniał o staruchach siedzących na ławce przed sklepem.

– Wiesz, o czym oni teraz rozmawiają? – spytał, skinąwszy głową w stronę sklepu, by wskazać, o kogo mu chodzi, mimo że oczywiście już ich tam nie było, o zmierzchu wrócili do domów.

– Te głupie dziady? – powiedziała Flo. – No o czym?

Dawało się wyczuć między nimi życzliwość, nie tyle fałszywą, co trochę bardziej emfatyczną niż zazwyczaj, gdy byli sami.

Ojciec Rose powiedział im wtedy, że ci starcy uważają, iż pierwsza gwiazda, która wschodzi po zachodzie słońca, gwiaz-

da wieczorna, w rzeczywistości jest sterowcem, unoszącym się nad Bay City w stanie Michigan, po drugiej stronie jeziora Huron. Amerykański wynalazek, wysłany, by konkurował z ciałami niebieskimi. Wszyscy byli co do tego zgodni, podobał im się ten pomysł. Wierzyli, że w sterowcu pali się dziesięć tysięcy żarówek. Ojciec kategorycznie się z nimi nie zgadzał, utrzymując, że obiekt, który widzą, to planeta Wenus, która pojawiła się na niebie dużo wcześniej, nim wynaleziono żarówkę. Ale oni nigdy nie słyszeli o planecie Wenus.

– Ignoranci – podsumowała Flo, choć Rose dobrze wiedziała, podobnie jak jej ojciec, że Flo też nigdy nie słyszała o planecie Wenus. By odwrócić ich uwagę, lub nawet w ramach przeprosin, Flo odstawiła filiżankę z herbatą i wyciągnęła się jak długa, opierając głowę na krześle, na którym siedziała, a stopy na drugim (jakimś sposobem udało jej się jednocześnie skromnie wsunąć suknię między nogi). Leżała sztywno jak deska, czekając, by Brian zawołał:

– Zrób to! Zrób to!

Flo była giętka i bardzo silna. W uroczystych lub wyjątkowych chwilach popisывała się sztuczkami.

Patrzyli w milczeniu, a ona się okręciła, nie używając w ogóle rąk, jedynie silnych nóg i stóp. Wtedy wszyscy wydali triumfalny okrzyk, mimo że już to widzieli.

Gdy Flo obracała się w ten sposób, Rose wyobraziła sobie sterowiec, owalny przezroczysty kształt z warkoczem diamentowych światełek, szybujący po wspaniałym amerykańskim niebie.

– Planeta Wenus! – powiedział ojciec, bijąc brawo Flo. – Dziesięć tysięcy świecących żarówek.

W pomieszczeniu zapanowało ogólne uczucie przyzwolenia, rozluźnienia, nawet szczęścia.

Po latach, po wielu latach, w niedzielny poranek Rose włączyła radio. Było to w czasach, gdy mieszkała sama w Toronto.

– Tak, proszę pana.

Za moich czasów to było zupełnie inne miejsce. Tak, tak.

Były tam wtedy konie. Konie i amerykany. W sobotnie wieczory odbywały się wyścigi amerykańców na głównej ulicy.

– To tak jak wyścigi rydwanów – wtrąca łagodnie, zachęcająco, prezenter czy dziennikarz przeprowadzający wywiad.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Nic dziwnego, proszę pana, ja miałem na myśli starorzymskie wyścigi rydwanów. To było jeszcze na długo przed panem.

– Musiało być przede mną. Ja mam sto dwa lata.

– Piękny wiek, proszę pana.

– A i owszem.

Zostawiła radio włączone i przeszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawę. Doszła do wniosku, że prawdopodobnie jest to zaaranżowany wywiad, scena z jakiejś sztuki, i chciała się dowiedzieć z jakiej. Głos starca był taki próżny i wojowniczy, dziennikarz natomiast pod pozorami wyćwiczonej uprzejmości i swobody był wyraźnie bezradny i zaniepokojony. Bez wątplenia słuchacz miał sobie wyobrazić, jak przeprowadzający wywiad podsuwa mikrofon jakiemuś bezzębnemu, zuchwałemu, przechwalającemu się stulatkowi, i zacho-

dzić w głowę, co też on, na miłość boską, tam robi i co zaraz powie?

– Pewnie to było dość niebezpieczne.

– Co było niebezpieczne?

– No, te wyścigi amerykańców.

– Były. Niebezpieczne. Czasami konie ponosiły. Zdarzało się dużo wypadków. Powożący, których konie ciągnęły po żwirze, mieli okaleczone twarze. Co nie miało wielkiego znaczenia, jeśli już nie żyli. Hi, hi.

Niektóre z tych koni były nauczone, by wysoko wyrzucać nogi przy stępie i przy kłusie. Niektórym trzeba było wsadzać musztardę pod ogon, a innych nie musieliśmy poganiać. Tak to jest z końmi. Niektóre współpracują i ciągną, dopóki nie padną trupem ze zmęczenia, a inne nie wyciągnęłyby twojego kutasa z wiadra smalcu. Hi, hi.

To jednak bez wątpienia był prawdziwy wywiad. W przeciwnym razie nie puściliby czegoś takiego, nie zaryzykowałiby. Zgoda, taki wiekowy facet może tak powiedzieć. Wszystko wydaje się nieszkodliwe i zachwycające przy jego stu latach.

– Wtedy wypadki zdarzały się bez przerwy. W młynie. W odlewni. Nie było zabezpieczeń.

– Nie mieliście wtedy tyłu strajków, prawda? Nie było tak wielu związków zawodowych?

– Wszyscy mówią, że teraz jest łatwiej. Pracowaliśmy i cieszyliśmy się, że mamy pracę. Tak, pracowaliśmy i cieszyliśmy się, że mamy pracę.

– Nie było też telewizji.

– Nie było telewizji, nie było radia, nie było kina.

- Sami wymyślaliście sobie rozrywki.
- Tak właśnie robiliśmy.
- Przeżył pan wiele rzeczy, o jakich młodzi mężczyźni w dzisiejszych czasach nie mają pojęcia.
- Prawda, prawda.
- Może nam pan przybliżyć niektóre swoje doświadczenia?

– Jednej zimy jadłem mięso świstaka. Nie smakowałoby wam. Hi, hi.

Nastąpiła przerwa, chyba należytego uznania, po czym dziennikarz oznajmił, że był to wywiad z panem Wilfredem Nettletonem z Hanratty w stanie Ontario, który skończył właśnie sto dwa lata, przeprowadzony ostatniej wiosny na dwa tygodnie przed jego śmiercią. Z panem Nettletonem, żywym ogniwem łączącym nas z przeszłością, rozmawiano w domu starców w hrabstwie Wawanash.

Hat Nettleton.

Woźnica dożył ponad stu lat. Sfotografowany w dniu swoich urodzin, siedzi dumnie wśród krzątających się przy nim pielęgniarek, zapewne reporterka całuje go w policzek. Błyskają flesze. Magnetofon chłonie dźwięk jego głosu. Najstarszy pensjonariusz. Najstarszy woźnica. Żywe ogniwo łączące teraźniejszość z przeszłością.

Patrząc przez kuchenne okno na zamrożone jezioro, Rose marzyła, by komuś o tym powiedzieć. Flo chętnie wysłuchałaby tej opowieści. Rose przypomniła sobie, jak macocha mówiła: „Coś takiego!”, jak gdyby cudownie sprawdziły się jej najgorsze przewidywania. Ale Flo przebywała w tym samym miejscu,

w którym zmarł Hat Nettleton, i Rose nie miała możliwości do niej dotrzeć. Przebywała tam nawet wtedy, gdy nagrywano ten wywiad, chociaż go nie słyszała, nie miała o nim pojęcia. Gdy dwa lata temu Rose umieściła ją w tym domu opieki, Flo przestała mówić. Zamknęła się w sobie i przez większość czasu siedziała w rogu łóżka. Sprawiała wrażenie osoby sprytnej i nieprzyjemnej, nie odpowiadała nikomu, chociaż od czasu do czasu okazywała emocje, gryząc pielęgniarkę.

Przywilej

Rose znała wiele osób, które żalowały, że nie urodziły się w biedzie. Toteż zadzierała nosa, przytaczając różne skandale i strzepy nędzy ze swojego dzieciństwa. Ustęp dla chłopców i ustęp dla dziewcząt. Stary pan Burns w swoim ustępie. Shorty McGill i Franny McGill w drzwiach ustępu dla chłopców. Nie powtarzała celowo miejsca akcji i była trochę zdziwiona, że wciąż się ono pojawia. Wiedziała, że te małe ciemne lub pomalowane budki miały być zabawne – zawsze były, przynajmniej dla tych, którzy mieli prostackie poczucie humoru – ale dla niej stanowiły miejsce strasznego wstydu i przemocy.

Każdy z ustępów, zarówno dla dziewcząt, jak i dla chłopców, miał zamiast drzwi wąskie przepierzenie osłaniające wejście. Niestety i tak nawiewało do środka śniegu przez szpary między deskami i przez dziury po sękach, które służyły do podglądania. Śnieg piętrzył się gdzieś tam na siedzeniu i na podłodze. Wiele osób najwyraźniej wolało nie korzystać z dziury w ziemi. W pryzmach śniegu pod glazurą lodu, gdzie śnieg topniał i z powrotem zamarzał, leżały pojedyncze balasy lub sterty odchodów, zachowane jak pod szkłem, od jasnych jak musztarda do brunatnych jak węgiel drzewny i we wszystkich pośrednich

odcieniach. Ten widok przyprawiał Rose o mdłości. Ogarniała ją rozpacz. Zatrzymywała się w wejściu, nie potrafiła się zmusić, by tam wejść, postanawiała jeszcze poczekać. Kilkakrotnie zdarzyło jej się zmoczyć, kiedy biegła ze szkoły do sklepu, choć odległość była niezbyt duża. Flo napawało to wstrętem.

– Psipsi, psipsi – śpiewała głośno, kpiąc sobie z Rose. – Zsikała się po drodze do domu!

Jednocześnie Flo odczuwała satysfakcję, ponieważ lubiła upokarzać ludzi, wtedy wychodziła na jaw jej natura. Była typem kobiety, która publicznie pierze swoje brudy. Rose była zawstydzona, ale nie powiedziała macosze, na czym polega problem. Dlaczego? Przypuszczalnie obawiała się, że Flo zjawi się w szkole z wiadrzem i łopata i zacznie sprzątać, i w dodatku ostro wszystkich krytykować.

Rose wierzyła w niezmiennność porządku rzeczy w szkole, w zasady różne od tych, które mogła zrozumieć Flo, w nieprzewidywalne okrucieństwo. Sprawiedliwość i czystość postrzegała obecnie jako niewinne pojęcia z prymitywnego okresu swego życia. Gromadziła pierwszy zasób rzeczy, o których nigdy nie powie.

Nigdy nie opowie o panu Burnsie. Wkrótce potem, gdy zaczęła chodzić do szkoły i kiedy jeszcze nie miała pojęcia, co zobaczy – lub właściwie co tam było do zobaczenia – Rose biegła razem z koleżankami wzdłuż szkolnego ogrodzenia, przez czerwony szczaw i nawłóć, kuciała za wygodką pana Burnsa, która była zwrócona tyłem do szkolnego boiska. Ktoś sięgnął przez płot i wyrwał dolne deski, tak że można było zajrzeć do środka. Pan Burns, na wpół ślepy, brzuchaty, brudny, ale pełen

werwy, szedł przez podwórko, mówiąc coś do siebie, podśpiewując, z rozmachem tnąc łaską wysokie chwasty. W ustępie po chwilach napięcia i ciszy dał się również słyszeć jego głos.

W dali, za murem miasta hen,
Zielone wzgórze wznosi się,
Tam ukrzyżowan był nasz Pan,
By zbawić nas, swe życie dał.

Pan Burns nie śpiewał pobożnie, lecz napastliwie, jak gdyby nawet w tej chwili pragnął walki. W tej okolicy religia przejawiała się w walce. Katolicy i protestanci fundamentaliści czuli się moralnie zobowiązani do wzajemnego napastowania się. Wielu protestantów – albo członków ich rodzin – było anglikanami czy prezbiterianami. Byli jednak zbyt biedni, by pokazywać się w tych kościołach, toteż skłaniali się ku Armii Zbawienia lub ku Kościołowi zielonoświątkowemu. Inni byli poganami, dopóki ich nie nawrócono. Flo twierdziła, że anglikanie i prezbiterianie są snobami, a reszta to opętańcy, katolicy natomiast dopuszczają się każdego łgarstwa i oszustwa, byle tylko wyciągnąć od ciebie pieniądze dla papieża. Dlatego też nie zmuszała Rose, by chodziła do kościoła.

Wszystkie dziewczynki kucaly, by podejrzeć tę część ciała pana Burnsa, która zwisała przez dziurę. Przez całe lata Rose myślała, że to jądra, ale po zastanowieniu doszła do wniosku, że był to jednak tyłek. Przypominało to krowie wymię i miało chyba szorstką powierzchnię, niczym bydlęcy ozór przed ugotowaniem. Rose nie jadła ozora, a potem przestał go również

jadać Brian, gdy mu powiedziała, co to jest. Flo się wściekła i zapowiedziała, że odtąd będą musieli się zadowolić gotowaną mortadela.

Starsze dziewczęta nie schylały się, by podglądać, lecz stały obok, niektóre wydawały obrzydliwe odgłosy, jak gdyby wymiotowały. Inne małe dziewczynki przyłączały się do nich, ale Rose kucała dalej, pełna zdumienia i zamyślna. Chętnie pokontemplowałyby dłużej, lecz pan Burns wstawał i wychodził, zapinając guziki i śpiewając. Dziewczęta przemykały tamtędy, biegnąc przy ogrodzeniu i wołając:

– Panie Burns! Dzień dobry, panie Burns! Pan Burns-siwojaj.

Mężczyzna podchodził do płotu, wrzeszcząc i wymachując laską, jak gdyby były kurczętami.

Starsi i młodszy, chłopcy i dziewczęta, w ogóle wszyscy – oczywiście poza nauczycielką, która na czas przerwy zamykała drzwi i zostawała w szkole – nawet Rose, której coraz bardziej chciało się siusiu, ale się wstrzymywała, czekając na powrót do domu i ryzykując przykry wypadek i wielogodzinne cierpienie, wszyscy zgromadzili się przed wejściem do ustępu dla chłopców, gdy buchnęła wieść: Shortie McGill pieprzy Franny McGill!

Brat i siostra.

Krewni się zabawiają.

Tak to nazywała Flo. Opowiadała, że na wsi, w farmach na wzgórzach, skąd pochodziła, ludziom odbijało, podobno jedli gotowane siano i zabawiali się ze zbyt bliskimi krewnymi. Zanim Rose zrozumiała, o co jej chodziło, wyobrażała sobie jakąś

prowizoryczną, rozchwievaną scenę w starej stodole, gdzie członkowie rodziny śpiewali śmieszne piosenki i recytowali wiersze. „Co za heca!” – mawiała Flo z obrzydzeniem, wydychując dym. Odnosiło się to nie do konkretnego aktu, lecz do wszystkiego, co się z tym wiązało, w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, wszędzie, na całym świecie. Ludzkie rozrywki, podobnie jak pretensje, nie przestawały jej zdumiewać.

Franny i Shortie, czyj to był pomysł? Prawdopodobnie któryś ze starszych chłopców ośmielił Shortiego albo on się przechwalał, a oni go sprowokowali. Jedno było pewne – na ten pomysł z pewnością nie wpadła Franny. Przyłapano ją albo zastawiono na nią pułapkę. Tak naprawdę trudno mówić, że ją przyłapano, ponieważ nie uciekała, nie wierzyła, że uda jej się uciec. Ale opierała się, ciągnięto ją siłą, a następnie rzucono na ziemię. Czy zdawała sobie sprawę z tego, co nastąpi? W każdym razie wiedziała, że nic z tego, co wymyślili dla niej inni ludzie, nie będzie przyjemne.

Kiedy Franny McGill była małym dzieckiem, pijany ojciec cisnął nią o ścianę. Tak mówiła Flo. Według innej opowieści Franny wypadła z kutra kopnięta przez konia, podchmielelona. W każdym razie najgorzej na tym wyszła jej twarz. Nos był skrzywiony, przy każdym oddechu wydobywał się z niego okropny dźwięk. Miała fatalny zgryz, przez wystające zęby nie mogła nigdy zamknąć ust i strasznie się śliniła. Była blada, chuda, bojaźliwa, szurała nogami jak stara kobieta. Tkwiła w drugiej lub trzeciej klasie, umiała trochę czytać i pisać, ale rzadko kazano jej to robić. Być może wcale nie była taka głupia, za jaką wszyscy ją uważali, lecz po prostu zdezorientowa-

na, zaszokowana ciągłymi napaściami. I mimo wszystko jakaś pełna nadziei. Szła za każdym, kto jej natychmiast nie atakował albo nie obrażał. Proponowała ogryzki kredek i kawałki przeżutej gumy, oderwane od siedzeń lub blatów ławek. Trzeba było stanowczo ją zbyć i zmarszczyć ostrzegawczo brwi, ilekroć napotkało się jej wzrok.

„Odejdź, Franny. Odejdź albo ci przyłożę. Słowo. Zrobię to”.

Shortie, jak również inni, wciąż ją wykorzystywali. Zachodziła w ciążę, zabierano ją ze szkoły, wracała i znowu zachodziła w ciążę, zabierano ją, wracała, zachodziła w ciążę i znowu ją zabierano. Mówiło się o tym, żeby ją wysterylizować, miał za to zapłacić Klub Lions, mówiło się też, by zamknąć ją w zakładzie, kiedy niespodziewanie zmarła na zapalenie płuc, rozwiązując problem. Później Franny przychodziła Rose na myśl, gdy trafiała w książce lub filmie na postać naiwnej świętej ladaczniczki. Mężczyźni, którzy tworzą książki i filmy, najwyraźniej lubują się w takich postaciach, chociaż Rose zauważyła, że zwykle je wybielają. Pomyślała, że oszukują, pomijając takie rzeczy jak sapanie, ślinienie się i krzywe zęby. Ignorują podniecający dreszczyk odrazy w swym dążeniu do ukazania kojącej pustki i obojętnego przyzwolenia.

Przyzwolenie, jakie Franny okazała Shortiemu, nie było jednak takie miłe. Z jej ust wydobywało się wycie, charkotliwe z powodu kłopotów z oddychaniem. Jedną nogą wykonywała gwałtowne ruchy. Albo zgubiła but, albo od początku go nie miała. Jej biała noga i bosa stopa z ubłoconymi palcami wyglądała zbyt normalnie, zbyt energicznie, by mogła należeć

do Franny McGill. To było wszystko, co widziała Rose. Była nieduża i zepchnięto ją do tyłu, za tłoczących się gapiów. Starsi chłopcy otoczyli ich wianuszkami, dopingując Shortiego głośnymi okrzykami, starsze dziewczynki kręciły się za nimi, chichocząc. Rose była ciekawa, ale nie zaniepokojona. To, co się działo z Franny, nie miało szerszego znaczenia, nie miało związku z tym, co może przydarzyć się komuś innemu. To był tylko kolejny akt wykorzystywania seksualnego.

Kiedy po wielu latach Rose opowiadała o tym znajomym, robiło to na nich ogromne wrażenie. Musiała przysięgać, że mówi prawdę, że nie wyolbrzymia. I mówiła prawdę, ale wywoływało to niewspółmierną reakcję. Jej nauka w szkole wydawała się żałosna. I sama Rose wydawała się godna pożałowania. Nic bardziej mylnego. Uczyła się. Nauczyła się radzić sobie w wielkich bijatykach, które wybuchały w szkole kilka razy do roku. Chciała zachować neutralność, co było wielkim błędem, ponieważ mogło obrócić przeciwko niej gniew zarówno jednej, jak i drugiej strony. Żeby w miarę bezpiecznie dotrzeć do domu, powinna była się sprzymierzyć z osobami mieszkającymi w bliskim sąsiedztwie. Nigdy nie była pewna, o co właściwie poszło, nie miała też instynktu walki, tak naprawdę nie rozumiała jej potrzeby. Zawsze była zaskakiwana przez cios od tyłu śnieżką, kamieniem, kawałkiem gontu. Zdawała sobie sprawę, że nigdy się nie popisie, nigdy nie uda jej się zdobyć bezpiecznej pozycji – o ile w ogóle istnieje coś takiego – w szkolnym świecie. Ale nie była nieszczęśliwa, poza jedną kwestią – niemożnością skorzystania z toalety. Uczenie się, jak przetrwać, nieważne jak tchórzliwie i ostrożnie, z jakimi

wstrząsami i złymi przeczuciami, to nie to samo co bycie nie-szczęśliwą. Jest zbyt interesujące.

Nauczyła się zbywać Franny. Nauczyła się nie zbliżać do szkolnej sutereny, gdzie wszystkie okna były powybijane, panował mrok i wilgoć jak w jaskini; unikać ciemnych miejsc pod schodami i między sągami drewna; w żaden sposób nie przyciągać uwagi starszych chłopców, którzy przypominali jej dzikie psy, byli równie szybcy, silni, chimeryczni, agresywni.

Błędem, który popełniła na początku i którego więcej nie powtórzyła, było powiedzenie Flo prawdy zamiast jakiegoś kłamstewka, kiedy starszy chłopak, jeden z braci Moreyów, podstawił jej nogę, gdy schodziła po schodach pożarowych, i złapał ją, całkiem odrywając rękaw jej płaszcza przeciwdeszczowego. Flo zjawiła się w szkole, by dać mu nauczkę (taki miała zamiar), i usłyszała, jak świadkowie przysięgają, że Rose rozdarła płaszczyk na gwoździu. Nauczycielka była ponura, nie opowiedziała się po niczyjej stronie, dając Flo do zrozumienia, że jej wizyta nie jest mile widziana. W West Hanratty dorośli nie przychodzili do szkoły. Matki były stronnice w bójkach, wystawały przy furtkach i krzyczały. Niektóre nawet wybiegały, żeby wytargać za włosy i trzepnąć deską. Ubliżały nauczycielce za jej plecami i posyłały dzieci do szkoły z przykazaniem, żeby jej nie słuchały. Nigdy jednak nie zachowywały się tak jak Flo, nigdy nie przekroczyły progu szkoły, nigdy nie przychodziły ze skargą. Nigdy nie wierzyły, tak jak zdawała się wierzyć Flo (i tu Rose po raz pierwszy zobaczyła, jak bardzo jej macocha się myli), że winowajcy się przyznają albo

będą wydani, że sprawiedliwość może przyjąć każdą formę, tylko nie uszkodzenia w akcie zemsty kurtki Moreya. Stało się to ukradkiem w szatni, rozdarcie było naprawdę poważne.

Flo powiedziała, że nauczycielka nie zna się na swojej pracy.

Ale była to nieprawda. Znała się bardzo dobrze. Zamykała drzwi podczas przerwy, by jeśli coś się miało dziać, działo się na dworze. Nigdy nie próbowała zmuszać starszych chłopców, by wychodzili na górę z sutereny lub schodzili do niej po schodach pożarowych. Kazała im rąbać drwa na podpałkę do pieca i napełniać wiadro wodą pitną. Poza tym cieszyli się swobodą. Nie mieli nic przeciwko rąbaniu drzew czy pompowaniu wody – lubili polewać ludzi lodowatą wodą, a raz omal nie popełnili morderstwa z użyciem siekiery. Chodzili do szkoły, ponieważ nie mieli gdzie się podziać. Byli już na tyle dorośli, że mogliby pójść do pracy, ale nie mieli gdzie się zatrudnić. Starsze dziewczęta mogły przynajmniej pracować jako służące, nie zostawały więc w szkole, chyba że zamierzały zdawać egzamin wstępny do szkoły średniej i może któregoś dnia dostać pracę w sklepie lub w banku. Niektóre tak robiły. W miasteczkach takich jak West Hanratty dziewczęta łatwiej pięły się w górę niż chłopcy.

Nauczycielka kazała starszym dziewczynkom (poza tymi, które zamierzały uczyć się dalej) zajmować się młodszymi dziećmi, co też czyniły, hołubiąc je lub dając klapsy, poprawiając ortografię i zabierając im co bardziej interesujące przedmioty, jak pudełka ołówków, nowe kredki, świecidełka ze sklepu Cracker Jack. Nauczycielka uważała, że interesowanie się tym,

co się dzieje w szatni, komu ukradziono pudełko z drugim śniadaniem, czyją kurtkę pocięto czy komu ściągnięto majtki, nie należy do jej obowiązków.

Nie było w niej odrobiny entuzjazmu, wyobraźni ani współczucia. Codziennie przechodziła przez most z Hanratty, gdzie miała chorego męża. Wróciła do nauczania po pięćdziesiątce. Była to prawdopodobnie jedyna praca, jaką mogła dostać, i musiała się bardzo starać, by się w niej utrzymać. Nigdy nie umieszczała papierowych wycinanek na oknach ani nie przyklejała złotych gwiazdek w zeszytach. Nigdy nie rysowała na tablicy kolorową kredą. Po prostu nie miała złotych gwiazdek ani kolorowej kredy. Nie lubiła żadnego przedmiotu, którego uczyła, nie okazywała sympatii żadnej ludzkiej istocie. Niewątpliwie marzyła, o ile w ogóle miała jakieś marzenia, by pewnego dnia powiedziano jej, że może iść do domu i nigdy więcej nie zobaczy żadnego z uczniów, nigdy więcej nie otworzy podręcznika ortografii.

Ale czegoś uczyła. Musiała czegoś nauczyć tych, którzy zdecydowali się zdawać egzamin wstępny do szkoły średniej, ponieważ niektórzy z nich go zaliczali. Z pewnością próbowała nauczyć wszystkich uczniów czytania, pisania i prostej arytmetyki. Poręcze schodów były zniszczone, ławki powyrywane z podłogi, piec dymił, rury związane drutem, nie było książek ani map, zawsze brakowało kredy. Nawet linijka była brudna i rozszczepiona z jednego końca. Bijatyki, seks i kradzieże – to były ważne rzeczy, które się działy w szkole. Niemniej uczniom wpajano jednak jakąś wiedzę. Przy całym tym bałaganie, nie-

wygodach, indolencji normalne szkolne zajęcia jakoś się odbywały. Jedni uczyli się odejmowania, inni ortografii.

Zażywała tabakę. Była jedyną znaną Rose osobą, która to robiła. Kładła szczyptę proszku na grzbiecie dłoni, podnosiła ją do nosa i delikatnie wciągała. Z odrzuconą do tyłu głową i odsłoniętą szyją wyglądała przez chwilę na pełną pogardy, wyzywającą. W rzeczywistości nie była ani trochę ekscentryczna. Była pulchna, szara, zaniedbana.

Flo mówiła, że tabaka prawdopodobnie ją otumania. To tak jak z uzależnieniem od narkotyków. Papierosy tylko szarpia ci nerwy.

Jedna jedyna rzecz w szkole była urzekająca, piękna. Obrazki przedstawiające ptaki. Rose nie wiedziała, czy to nauczycielka wdrapała się na górę i przybiła je nad tablicą, zbyt wysoko, by można je było łatwo zniszczyć, czy były jej pierwszym i ostatnim optymistycznym wysiłkiem, czy też zostały z wcześniejszego, łatwiejszego okresu w historii szkoły. Skąd pochodziły, skąd się tutaj wzięły, mimo że nie zrobiono nic poza tym w kwestii dekoracji czy pogładowych pomocy naukowych?

Dzięciur krasnogłowy, wilga, sójka błękitna, bernikla kanadyjska. Kolory wyraźne i trwałe. W tle czysty śnieg, kwitnące gałęzie drzew, oszałamiające letnie niebo. W zwykłej klasie nie robiłyby wrażenia czegoś nadzwyczajnego. Tutaj były radosne i wymowne, w tak ogromnym kontraście do całej reszty, że zdawały się przedstawiać nie same ptaki, nie niebo i śnieg, lecz jakiś inny świat odważnej niewinności, bogatej informacji, uprzywilejowanej beztroski. Żadnych kradzieży drugich

śniadań; żadnego darcia kurtek; żadnego ściągania majtek i bolesnego obmacywania; żadnego pieprzenia; żadnych Franny.

W klasie przygotowującej się do egzaminu wstępnego były trzy starsze dziewczynki, Donna, Cora i Bernice. Nikt poza nimi tam się nie uczył. Trzy królowe. Ale jeśli przyjrzeć się bliżej, królowa i dwie księżniczki. Tak odbierała je Rose. Spacerowały po szkolnym dziedzińcu, pod rękę lub obejmując się w pasie. Cora pośrodku. Była najwyższa. Donna i Bernice pochylały się ku niej i prowadziły ją.

To w Corze kochała się Rose.

Cora mieszkała z dziadkami. Babcia chodziła przez most do Hanratty, gdzie sprzątała, prała i prasowała. Dziadek był szambiarzem. Znaczyło to, że czyścił ustępy. Taką właśnie miał pracę.

Zanim Flo zaoszczędziła dość pieniędzy, by wybudować prawdziwą łazienkę, postawiła przenośną toaletę chemiczną w kącie szopy, znacznie lepsze urządzenie niż wychodek, zwłaszcza zimą. Nie zyskało to aprobaty dziadka Cory.

– Wiele osób ma te chemiczne toalety – powiedział do Flo – i wiele z nich żałuje, że się na to zdecydowały.

Cora była nieślubnym dzieckiem. Jej matka gdzieś pracowała czy też wyszła za mąż, a może była służącą. Przysyłała używane ubrania. Cora miała mnóstwo ciuchów. Przychodziła do szkoły w płowym atłasie, marszczonym na biodrach; w granatowym aksamicie z różą z tego samego materiału zwisającą z jednego ramienia; w ciemnoróżowej krepie z frędzlami. Sukienki były dla niej za poważne (Rose tak nie uważała), ale nie

za duże. Była wysoka, solidnie zbudowana, kobieca. Czasami upinała włosy na czubku głowy, z jednym lokiem spadającym na oko. Cora, Donna i Bernice często czesały się jak dorosłe kobiety, mocno malowały usta i obficie się pudrowały. Cora miała grube rysy, tłuste czoło, ciężkie powieki brunetki, cechowało ją dojrzałe, leniwe samozadowolenie, które wkrótce miało uczynić z niej surową matronę. W tym momencie jednak była wspaniała, gdy tak spacerowała po szkolnym dziedzińcu ze swoją świtą (tak naprawdę to najprędzej Donnę można było nazwać ładną, z jej bladą owalną twarzą i jasnymi kędzierzawymi włosami), zatopiona w poważnej rozmowie. Nie marnowała czasu na interesowanie się szkolnymi kolegami, podobnie zresztą jak obie jej towarzyszki. Czekwały na prawdziwych chłopaków, a może nawet już ich miały. Gdy niektórzy chłopcy wykrzykiwali za nimi z sutereny obraźliwe, tęskne zaczepki, Cora odwracała się i odkrzykiwała:

– Za starzy na kołyskę, za młodzi do łóżka!

Rose nie miała pojęcia, co to znaczy, ale przyglądała się z niekłamanym zachwytem, jak Cora kołysze biodrami, podziwiała szyderczy, okrutny, a mimo to senny, spokojny ton jej głosu, jej efektowny wygląd. Kiedy była sama, odgrywała całą tę scenę, wcielając się w postać Cory i odpowiadając wyimaginowanym dręczycielom tak jak ona, z takim samym wyzywającym grymasem pogardy:

– Za starzy na kołyskę, za młodzi do łóżka!

Rose przechadzała się po podwórku za sklepem, wyobrażając sobie, jak mięsisty atlas spływa z jej bioder, włosy ma upięte na czubku głowy, lok opada jej na oko, wargi lśnią od czerwonej

szminki. Pragnęła dorosnąć, by wyglądać dokładnie tak jak Cora. Nie chciała czekać. Chciała być Corą już, natychmiast.

Cora nosiła do szkoły pantofle na wysokich obcasach. Nie miała lekkiego chodu. Gdy krążyła po klasie w swoich wspaniałych sukniach, drżała podłoga i dzwoniły szyby w oknach. I rozchodził się jej zapach. Zapach talku i kosmetyków, jej ciepłej smagłej skóry i ciemnych włosów.

Gdy tylko zrobiło się ciepło, wszystkie trzy zaczęły siadywać na szczycie schodów pożarowych i malować tam paznokcie. Lakier miał bananowy, dziwny, lekko chemiczny zapach. Rose zamierzała jak zwykle wejść do szkoły po tychże schodach, żeby uniknąć niebezpieczeństw czyhających codziennie przy głównym wejściu, ale gdy dostrzegła tę trójkę, zawróciła, nie ośmieliła się poprosić, by ją przepuścili.

– Możesz wejść na górę, jeśli chcesz – zawołała do niej Cora. – No, chodźże!

Prowokowała ją, zachęcała, jak gdyby Rose była szczeniakiem.

– Chciałabyś, żeby pomalować ci paznokcie?

– Wtedy wszystkie będą chciały – powiedziała Bernice, jak się okazało, właścicielka lakieru.

– Ale im nie pomalujemy – oznajmiła Cora. – Tylko jej. Jak masz na imię? Rose? Pomalujemy paznokcie Rose. No, chodź do nas, kochanie.

Zmusiła Rose, by wyciągnęła do niej rękę. Rose w popłochu dostrzegła, że ma brudne, poplamione dłonie. W dodatku były zimne jak lód i drżące. Obrzydlistwo. Rose nie

byłaby zdziwiona, gdyby Cora ze wstrętem odepchnęła jej dłoń.

– Rozcapierz palce. O tak. Rozluźnij się. Spójrz, jak ci się ręce trzęsą. Przecież cię nie ugryzę, prawda? Bądź grzeczną dziewczynką, stój spokojnie. Nie chcesz, żebym ci pomalowała krzywo paznokcie, co?

Zanurzyła pędzelek w buteleczce. Lakier był ciemnoróżowy, jak maliny. Rose ogromnie podobał się jego zapach. Palce Cory były duże, ciepłe, pewne.

– Spójrz, jak ślicznie. Czy twoje paznokcie nie wyglądają ślicznie?

Polakierowała je w zapomnianym już teraz, a modnym w tamtych czasach stylu, zostawiając niepomalowane półksiężyce i czubki paznokci.

– Są różowe, pasują do twojego imienia. Masz ładne imię, Rose. Podoba mi się. Dużo bardziej niż Cora. Nienawidzę imienia Cora. Masz strasznie zimne palce jak na taki ciepły dzień. Lodowate w porównaniu z moimi.

Kokietowała, wdzięczyła się, jak to robią dziewczęta w jej wieku. Wypróbowały swój urok na wszystkich, kotach, psach, odbiciu własnej twarzy w lustrze. Rose była w tej chwili zbyt przejęta, żeby się cieszyć. Robiło jej się słabo, była oszołomiona i przerażona takimi specjalnymi względami.

Od tamtego dnia Rose ogarnęła obsesja. Wciąż próbowała chodzić i wyglądać jak Cora, powtarzając każde słowo, jakie usłyszała z jej ust. Próbowwała być nią. Wszystko, co robiła Cora, miało dla niej urok – każdy jej ruch, gest, jakim wtykała ołówek w gęste, szorstkie włosy, pełen znudzenia jęk, jaki czasem

wydawała w szkole. To, jak śliniła palec i starannie wygładzała brwi. Rose również oblizywała palec i wygładzała brwi, marząc, żeby były ciemne, a nie wypłowiałe na słońcu, ledwie widoczne.

Naśladowanie nie wystarczało. Rose poszła dalej. Wyobrażała sobie, że jest chora i jakimś cudem wezwano Corę, żeby się nią opiekowała. Nocne przytulanie, głaskanie, kołysanie. Wymyślała historie o zagrożeniu i ratunku, wypadkach i wdzięczności. Czasami ona ratowała Corę, kiedy indziej Cora ją. Potem było ciepło, pławienie się w rozkoszy, odkrycia.

„Masz ładne imię”.

„Chodź do nas, kochanie”.

Początek, narastanie, przyptyw miłości. Miłości zmysłowej, jeszcze nieuświadomionej, lecz już się budzącej. Musi tam być od pierwszej chwili, niczym gęsty biały miód w ceberku, który dopiero po jakimś czasie rzednie i się rozptywa. Brakowało pewnej pikanterii, pewnej niecierpliwości; płeć wybranej osoby była przypadkowa; poza tym wszystko było tak samo, to właśnie uczucie spadło na Rose. Kulminacja; nieodłączne szaleństwo; gwałtowna powódź.

Gdy wszystko dookoła kwitło na potęgę – bzy, jabłonie, głogi wzdłuż ulicy – starsze dziewczęta bawiły się w urządzenie pogrzebów. Osoba, która odgrywała nieboszczkę – dziewczyna, ponieważ wyłącznie dziewczyny brały udział w tej zabawie – leżała wyciągnięta na szczycie schodów pożarowych. Pozostałe powoli wchodziły jedna za drugą na górę, śpiewając hymn i rzucając kwiaty. Pochylały się nad nią, udając, że szlochają (niektóre płakały prawdziwymi łzami), i żegnając ją ostatnim

spojrzeniem. Każda miała szansę wcielić się w zmarłą, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ gdy starsze dziewczęta już wystąpiły w swojej roli, nie wypadało, by uczestniczyły jako statystki w pogrzebach młodszych. A dla młodszych zabawa straciła wtedy całą atrakcyjność i urok, powoli odchodziły, zostawały tylko te najwytrwalsze, „pospólstwo”. Wśród nich była również Rose. Nie rezygnowała, w nadziei, że któregoś dnia Cora wejdzie na górę w jej orszaku pogrzebowym, lecz czekała na próżno.

Do osoby odgrywającej zmarłą należało wybranie hymnu procesyjnego. Cora wybrała *Jak pięknie musi być w niebie*. Leżała wśród kwiatów bzu w różowej sukni z krepy. Na szyi miała koraliki, zielone cekiny broszki układały się w kształt jej imienia, twarz pokrywała gruba warstwa pudru, który drżał na miękkim puszkę nad górną wargą. Rzęsy Cory lekko trzepotały, minę miała skupioną, śmiertelnie poważną, brwi zmarszczone. Rose, smętnie śpiewając i kładąc gałązki bzu, znajdowała się na tyle blisko, że mogła w jakiś sposób okazać swoje uwielbienie, ale nie wiedziała jak. Gromadziła jedynie rozmaite szczegóły, żeby później przetrwać wrażenia. Kolor włosów Cory. Lśniące kosmyki założone za uszy. Bardziej karmelowe, jaśniejsze od włosów na czubku głowy. Ramiona nagie, smagłe, matowe. Pełne kobiece ramiona otoczone falbanką sukni. Czym naprawdę pachniała? Co mówiły jej zmarszczone, wyskubane brwi? Wyrażały zadowolenie z siebie? Później, kiedy była już sama, Rose wysilała wyobraźnię, usiłowała przypomnieć sobie wszystko, zapamiętać na dobre. Jaki to miało sens? Gdy myślała o Corze, ścisnęła ją w dolku,

miała miękkie kolana, czuła smak i zapach przypalonej czekolady, było to uczucie, którego nie potrafiła zrozumieć.

Co można zrobić z miłością, gdy dociera się do tego punktu kompletnej niemożności, beznadziei i szalonej koncentracji? Musi nastąpić jakiś wstrząs.

Wkrótce Rose popełniła fatalny błąd. Ukradła dla Cory trochę słodyczy ze sklepu Flo. Idiotyczny, dziecinny pomysł, kompletnie niestosowny, zdała sobie z tego natychmiast sprawę. Błędem była nie tylko kradzież, choć, owszem, była głupia i wcale niełatwa. Flo trzymała słodycze za ladą w otwartych pudełkach na pochyłej półce, w miejscu bezpośrednio niedostępnym dla dzieci, ale nie poza ich polem widzenia. Rose wyczekała odpowiedniej chwili, po czym wdrapała się na stołek i napełniła torebkę wszystkim, co wpadło jej pod rękę – najrozmaitszymi żelkami, wszelkimi rodzajami lukrecji, czekoladkami nadziewanymi syropem klonowym, cynamonowymi „kurzymi łapkami”. Sama niczego nawet nie tknęła. Musiała zanieść torebkę do szkoły, ukryła ją więc pod spódnicą, wtykając górną część pod gumkę majtek. Jedną ręką przyciskała mocno spódnicę do brzucha, żeby jej łup się nie wysunął.

– Co się stało, brzuch cię boli? – spytała Flo, ale na szczęście była zbyt zajęta, żeby dalej drążyć temat.

Rose schowała torebkę pod blatem ławki i czekała na okazję, która się jednak nie nadarzyła.

Nawet gdyby kupiła słodycze, zdobyła je legalnie, był to poroniony pomysł. Gdyby przyszedł jej do głowy na początku, to co innego, ale teraz? Spodziewała się zbyt wiele:

wdzięczności, uznania, ale nie byłaby w stanie przyjąć czegokolwiek. Serce waliło jej jak młotem, w ustach czuła dziwny metaliczny smak tęsknoty i rozpaczy, ilekroć Cora przechodziła obok jej ławki ciężkim, dumnym krokiem, spowita obłokiem perfum, których zapach wzmagała rozgrzana skóra. Żaden gest nie zrównoważyłby uczuć Rose, żadna satysfakcja nie była możliwa, zdawała sobie sprawę, że to, co robi, jest błazeńskie, niefortunne.

Nie potrafiła się zmusić, by osobiście dać Corze swój prezent, chwila nigdy nie była właściwa, toteż po kilku dniach zdecydowała się zostawić torebkę na jej ławce. Nawet to było trudne. Musiała udawać, że o czymś zapomniała, po czwartej wróciła biegiem do szkoły, chociaż wiedziała, że będzie potem musiała przebiec obok starszych chłopców stojących przy wejściu do sutereny.

Nauczycielka była w klasie, wkładała właśnie kapelusz. Codziennie przed spacerem przez most wkładała stary zielony kapelusz z piórkiem zatkniętym za wstążkę. Przyjaciółka Cory, Donna, ścierała tablice. Rose usiłowała wepchnąć torebkę pod blat ławki Cory, ale coś jej przy tym wypadło. Nauczycielka nie przejęła się tym, ale Donna odwróciła się i zawołała:

– Hej, co tam robisz przy ławce Cory?

Rose rzuciła torebkę na siedzenie i uciekła.

Absolutnie nie przeszło jej przez myśl, że Cora może przyjść do sklepu Flo i zwrócić słodycze. Ale ona tak właśnie postąpiła. Nie zamierzała narażać Rose na kłopoty, po prostu chciała się zabawić. Rozkoszowała się własną pozycją, odpowiedzialnością i dorosłością, rozmawianiem z Flo jak równa z równą.

– Nie wiem, dlaczego chciała mi to dać – powiedziała, a przynajmniej tak powtórzyła jej słowa Flo. Zdaniem Rose macocha przedrzeźniała ją nieudolnie, jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż głos Cory. W wydaniu Flo był afektowany i jękliwy.

„Pomyślałam, że lepiej będzie, jak przyjdę i powiem pani o tym!”.

Słodczyce i tak nie nadawały się do jedzenia, były tak ściśnięte i sklezione, że Flo musiała je wyrzucić.

Flo osłupiała ze zdumienia. A przynajmniej tak twierdziła. Nie z powodu kradzieży. Oczywiście, potępiała kradzież, ale uważała, że w tej sytuacji jest to sprawa drugorzędna, mniej ważna.

– Coś ty z tym robiła? Dałaś jej? Po co jej to dałaś? Zakochałaś się w niej, czy co?

W jej intencji był to rodzaj obraźliwego żartu. Rose zaprzeczyła, ponieważ miłość kojarzyła się jej z zakończeniami filmów, pocałunkami i ślubem. W tej chwili znajdowała się w stanie szoku, jej uczucia były obnażone i, choć o tym nie wiedziała, zaczynały już usychać i zwijać się na brzegach. Flo była suchym niszczycielskim podmuchem.

– Czyli zakochałaś się. Niedobrze mi się robi.

Flo bynajmniej nie miała na myśli przyszłego homoseksualizmu. Gdyby wiedziała o istnieniu czegoś takiego czy pomyślała o tym, wydałoby się jej to raczej żartem, czymś nawet bardziej dziwnym, bardziej niepojętym niż zwykły flirt. To na myśl o miłości robiło jej się niedobrze. Miłość była zniewoleniem, samoponizowaniem, oszukiwaniem samej siebie. To ją uderzyło. Dostrzegła niebezpieczeństwo, zgoda; zauważyła skazę. Ślepą nadzieję, gotowość, pragnienie.

– Co w niej jest takiego wyjątkowego? – spytała i natychmiast sama sobie odpowiedziała: – Nic. Nie jest ani trochę urodziwa. Niedługo będzie gruba jak beczka. Widać, że się na to zanosi. I będzie miała wąsy. Już je ma. I skąd bierze te ciuchy? Chyba myśli, że jej pasują.

Rose się nie odzywała, więc Flo mówiła dalej, że Cora nie ma ojca, ciekawe, czym zajmuje się jej matka. A kim jest jej dziadek? Szambiarzem!

Nawet po latach Flo wracała co jakiś czas do tematu Cory.

– Tam idzie twoje bóstwo – wołała, widząc Corę (która zaczęła już naukę w szkole średniej) przechodzącą obok sklepu.

Rose udawała, że jej sobie nie przypomina.

– Znasz ją! – upierała się Flo. – Próbowalaś dać jej słodycze! Ukradłaś je dla niej! Nieźle mnie ubawiłaś.

Udawanie Rose nie było tak całkiem kłamstwem. Pamiętała fakty, ale nie uczucia. Cora wyrosła na dużą, ciemną, ponuro wyglądającą dziewczynę o zaokrąglonych plecach. Podręczniki, które dźwigała, niewiele jej pomogły, ponieważ zawałiła szkołę średnią. Nosiła teraz zwykłe bluzki i granatowe spodnice, w których wyglądała grubo. Być może jej osobowość nie zniosła utraty eleganckich sukien. Wyjechała i znalazła pracę przy wojsku. Wstąpiła do sił powietrznych i przyjeżdżała do domu na przepustkę w okropnym przyciasnym mundurze. Wyszła za mąż za lotnika.

Rose nie dotknęła zbyt wiele ta strata, ta zmiana. Ogólnie biorąc, z tego, co już wiedziała, życie to ciąg zaskakujących wydarzeń. Myślała tylko, jak nieaktualne są wspomnienia Flo i jak niepotrzebne przedstawianie Cory w coraz gorszym

świetle – ciemnołicej, owłosionej, pyszniącej się, grubej. Dużo później i ponieważ Rose zrozumiała, że Flo próbowała ją ostrzec i zmienić.

Gdy wybuchła wojna, szkoła się zmieniła. Skurczyła się, straciła złą energię, anarchistyczną atmosferę, styl. Krewcy chłopcy poszli do wojska. West Hanratty zmieniło się również. Ludzie powyjeżdżali, by szukać pracy przy wojsku, a ci, którzy zostali, mieli zatrudnienie i byli wynagradzani lepiej, niż mogli kiedykolwiek marzyć. Nabrała znaczenia przyzwoitość, pomijając najbardziej odporne jednostki. Dachy pokryto gontem, zamiast je łątać. Domy pomalowano lub obito wykładziną imitującą cegłę. Pokupowano lodówki, co dało powody do przechwałek. We wspomnieniach Rose okres wojny w West Hanratty i okres przed wojną były jak dzień i noc. Jakby użyto zupełnie innego oświetlenia lub jakby nakręcono film różnymi sposobami, tak że z jednej strony wszystko było gładkie, porządne, uładzone i zwyczajne, a z drugiej ciemne, pogmatwane i niepokojące.

Sama szkoła została wyremontowana. Wymieniono okna, poskręcano ławki, brzydkie słowa zniknęły pod warstwą ciemnoczerwonej farby. Ustępy dla dziewcząt i chłopców zostały rozebrane, doły zasypane. Rząd i rada szkolna kazały zainstalować w wysprzątanej suterenie sedesy ze spluczkami.

Wszyscy szli za tym przykładem. Pan Burns zmarł latem i ludzie, którzy kupili jego dom, urządzili w nim łazienkę. Postawili też wysokie ogrodzenie z gęstej siatki, tak że żaden uczeń nie mógł sięgnąć ze szkolnego dziedzińca i zerwać gałązki

bzu. Flo również postanowiła urządzić łazienkę, powiedziała, że oni też mogą mieć absolutnie wszystko; była to wojenna dobra koniunktura.

Dziadek Cory musiał przejść na emeryturę i w miasteczku nigdy już nie było innego szambiarza.

Półówka grejpfruta

Rose zdała egzamin wstępny i zaczęła chodzić przez most do szkoły średniej.

W klasie były cztery duże czyste okna i nowe świetlówki. Wprowadzono nowy przedmiot, higienę i zasady zdrowotne. Po Bożym Narodzeniu chłopcy i dziewczęta mieli wspólne zajęcia z życia w rodzinie. Nauczycielka była młoda i tryskająca optymizmem. Nosiła fantazyjną czerwoną kloszową suknię. Chodziła między rzędami ławek w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, pytając wszystkich po kolei, co jedli na śniadanie, by sprawdzić, czy przestrzegają kanadyjskich reguł żywieniowych.

Szybko ujawniły się różnice między miastem a wsią.

- Smażone ziemniaki.
- Chleb z syropem kukurydzianym.
- Owsiankę i herbatę.
- Jajecznicę, wiejską szynkę i herbatę.
- Ciasto z rodzynkami.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, nauczycielka bezskutecznie robiła groźne miny. Skierowała się do miejskiej części klasy. W sposób naturalny utrzymywał się w klasie podział na część

miejską i wiejską. Tutaj uczniowie twierdzili, że jedli grzanki z dżemem, jajka na bekonie, płatki kukurydziane, nawet gofry z syropem. Kilka osób wymieniło sok pomarańczowy.

Rose usadowiła się w tylnych ławkach miejskiej części. West Hanratty nie było reprezentowane, Rose była jedyną jego przedstawicielką. Ogromnie pragnęła sprzymierzyć się z mieszkańcami miasteczka przeciwko miejscu, skąd pochodziła, przyłączyć się do tych jedzących gofry i pijących kawę, powściągliwych i znających się na rzeczy posiadaczy wnęki jadalnej.

– Połówkę grejpfruta – powiedziała odważnie. Nikt inny o tym nie pomyślał.

Prawdę mówiąc, Flo uważałyby jedzenie grejpfruta na śniadanie za rzecz równie naganną jak picie szampana. Nawet nie sprzedawali ich w sklepie. W ogóle było mało świeżych owoców. Kilka pokrytych plamami bananów, małe nieciekawo pomarańcze. Podobnie jak większość mieszkańców wsi Flo uważała, że wszystko, co nie jest ugotowane, szkodzi na żołądek. Na śniadanie też jedli owsiankę i pili herbatę. Latem preparowany ryż. Pierwszego ranka, gdy preparowany ryż, lekki jak pyłek, trafiał do misek, było to tak odświeżające, tak zachęcające, jak pierwszy dzień, gdy można spacerować bez konieczności wkładania kaloszy, po twardej drodze, albo pierwszy dzień, gdy można zostawić drzwi otwarte w krótkim uroczym czasie pomiędzy mrozem a muchami.

Rose była zadowolona, że przyszedł jej do głowy grejpfruit, jak również podobał jej się sposób, w jaki to powiedziała: śmiało, a jednak naturalnie. Była tak straszliwie zdenerwowana,

że serce podchodziło jej do gardła, oddech zamierał jej w piersi, bluzka lepila się do ciała, mimo że użyła dezodorantu.

Gdy kilka dni później wracała do domu przez most, usłyszała, że ktoś ją woła. Nie po imieniu, wiedziała jednak, że chodzi o nią, zwołniła więc i nadsłuchiwała. Głosy dochodziły chyba spod mostu, choć gdy spozrzała w dół między szparami w deskach, nie dostrzegła niczego poza rwącą wodą. Ktoś musiał się kryć za palowaniem. Głosy były tęskne, tak delikatnie zmienione, że nie potrafiła poznać, czy należą do chłopców, czy do dziewcząt.

– Połówka grejfruta!

Przez lata słyszała czasami te słowa wykrzykiwała z jakiegoś zaułka lub ciemnego okna. Nigdy nie dała po sobie poznać, że usłyszała, ale po chwili przesuwała dłonią po twarzy, ścierając wilgoć znad górnej wargi. Pocimy się z powodu naszych aspiracji.

Mogło być gorzej. Najłatwiej najeść się wstydu. Szkolne życie było niebezpieczne, toczyło się w jaskrawym czystym świetle i nic nigdy nie zostawało zapomniane. Rose mogła być na przykład dziewczyną, która zgubiła podpaskę. To prawdopodobnie zdarzyło się jakiejś wiejskiej dziewczynie, która trzymała podpaskę w kieszeni lub w zeszycie, żeby jej później użyć. Mogła to zrobić każda, która mieszkała daleko od szkoły. Rose też tak robiła. Dystrybutor z podpaskami w toalecie dla dziewcząt był zawsze pusty, połykał dziesięciocentówki, ale nie wypluwał niczego w zamian. Znana była historia o tym, jak dwie wiejskie dziewczyny odszukały w porze lunchu woznego i poprosiły go o napełnienie dystrybutora.

– Która z was tego potrzebuje? – spytał. Uciekły. Opowiadały, że w jego pokoju pod schodami jest stara brudna kanapa i szkielet kota. Przysięgały, że to prawda.

Tamta podpaska musiała wypaść na podłogę, może w szatni, ktoś ją podniósł i jakoś przemycił do gabloty ze szkolnymi trofeami w głównym holu. Tam ją zauważono. Wyglądała nieświeżo, była zgnieciona od noszenia, trochę wytarta, łatwo więc było sobie wyobrazić, że trzymano ją przy ciepłym ciele. Wielki skandal. Na porannym apelu dyrektor szkoły nawiązał do tego odrażającego przedmiotu. Przysięgł, że odnajdzie, ujawni, wychłoscze i wywali ze szkoły sprawcę, który wystawił go na widok publiczny. Wszystkie uczennice twierdziły, że nic o tym nie wiedzą. Mnożyły się rozmaite teorie. Rose bała się, że mogą ją pierwszą posądzić o to, że podpaska należy do niej, toteż odetchnęła z ulgą, gdy podejrzenie padło na Muriel Mason, dużą ponurą wiejską dziewczynę, która nosiła domowe sukienki ze sztucznego jedwabiu i śmierdziała potem.

– Dostałaś dzisiaj ciotki, Muriel? – wołali teraz za nią chłopcy.

Rose usłyszała, jak jedna ze starszych dziewcząt mówi do koleżanki:

– Gdybym była na miejscu Muriel Mason, zabiłabym się. Popęłniłabym samobójstwo. – W jej głosie nie było współczucia, tylko zniecierpliwienie.

Codziennie po powrocie do domu Rose zdawała Flo relację z tego, co się działo w szkole. Flo lubiła historię o podpasce, prosiła o nowe rewelacje. Nigdy jednak nie usłyszała historii o połówce grejpfruta. Rose opowiadała jej tylko o takich

wydarzeniach, w których odgrywała rolę widza. Kłopoty były dla innych, tu się zgadzały z Flo. Od kiedy Rose zmieniła otoczenie, przekroczyła most, bardzo się zmieniła, stała się kronikarzem. Żadnych nerwów. Donośny, sceptyczny głos, kołysanie biodrami, spódnica w czerwono-żółtą kratkę, dumny krok.

Flo i Rose zamieniły się rolami. Obecnie to Rose przynosiła do domu rozmaite historyjki. Flo znała imiona i nazwiska wszystkich postaci i z niecierpliwością czekała na dalsze opowieści.

Horse Nicholson, Del Fairbridge, Runt Chesterton. Florence Dodie, Shirley Pickering, Ruby Carruthers. Flo z radością słuchała codziennie nowinek o nich. Nazywała ich dowcipniami.

– To co dzisiaj wymyślili ci dowcipnisie?

Siadały w kuchni, drzwi do sklepu były otwarte na wypadek, gdyby zjawił się jakiś klient. Na schody również – gdyby wołał ojciec. Leżał w łóżku. Flo parzyła kawę albo kazała Rose wyjąć z lodówki turystycznej dwie coca-cole.

A oto przykład historii, jakie Rose przynosiła do domu:

Ruby Carruthers była zdzirowatą dziewczyną o rudych włosach i fatalnym zezie. (Jedna z ogromnych różnic między tamtymi czasami a terażniejszością, przynajmniej na wsi i w miejscowościach takich jak West Hanratty, polega na tym, że wtedy nie leczono zezą ani też zachodzących na siebie czy wystających zębów.) Ruby Carruthers pracowała u Bryantów, którzy handlowali towarami żelaznymi. Wykonywała prace domowe w zamian za wyżywienie i pilnowała domu, kiedy wybierali się

na wyścigi konne, mecze hokeja lub na Florydę, a działo się to dość często. Pewnego razu, gdy była sama w domu, odwiedziło ją trzech chłopców. Del Fairbridge, Horse Nicholson, Runt Chesterton.

– Żeby sprawdzić, co mogą dostać – wtrąciła Flo. Spojrzała na sufit i kazała Rose zniżyć głos. Jej ojciec nie tolerował tego rodzaju historii.

Del Fairbridge był przystojnym chłopakiem, zarozumiałym i niezbyt bystrym. Powiedział, że wejdzie do domu i bez trudu namówi Ruby, żeby zrobiła to ze wszystkimi trzema. Nie wiedział tylko, że Horse Nicholson już się umówił z Ruby na spotkanie pod werandą.

– Pewnie są tam pająki – mruknęła Flo. – Ale nie sądzę, by im to przeszkadzało.

Gdy Del błędził po ciemnym domu, szukając Ruby, ona była już pod werandą z Horse'em, a Runt siedział na straży na stopniach werandy, bez wątpienia nasłuchując z uwagą odgłosów sapania i łomotania.

Wreszcie Horse wygramolił się i oznajmił, że pójdzie do domu poszukać Dela, nie po to, by go oświecić, lecz by zobaczyć, jak się udał kawał. Była to dla niego najważniejsza część całego przedsięwzięcia. Zastał kolegę w spiżarni, podjadającego ślazowe cukierki. Del skłamał, że Ruby Carruthers nie była dzisiaj chętna, by się pieprzyć, więc idzie do domu i przyjdzie kiedy indziej.

Tymczasem Runt wczołgał się pod werandę i zabrał się do roboty z Ruby.

– A niech to! – wykrzyknęła Flo.

W tym momencie Horse wyszedł z domu i Ruby z Runtem słyszeli jego kroki na werandzie. „Kto to?” – spytała Ruby, a Runt odparł, że to tylko Horse Nicholson. „W takim razie kim ty, u diabła, jesteś?” – zdenerwowała się Ruby.

„A niech to!”.

Rose nie zwracała sobie głowy dalszym ciągiem opowieści, a wyglądało to tak, że Ruby naburmuszyła się, usiadła na stopniach werandy, całe ubranie i włosy miała ubrudzone ziemią spod werandy. Nie chciała zapalić papierosa ani poczęstować się babeczkami (teraz prawdopodobnie raczej zgniecionymi), które Runt podwędził w sklepie spożywczym, gdzie pracował po szkole. Naciskali, żeby im zdradziła, o co chodzi, aż w końcu powiedziała:

– Chyba mam prawo wiedzieć, z kim to robię.

– Dostanie to, na co zasługuje – zauważyła filozoficznie Flo. Inni też tak uważali. Weszło w zwyczaj, że jeśli ktoś przez pomyłkę wziął coś, co należało do Ruby, zwłaszcza kostium gimnastyczny lub trampki, natychmiast biegł umyć ręce, nie chcąc ryzykować choroby wenerycznej.

Na górze ojciec Rose dostał napadu kaszlu. Ataki były okropne, ale wszyscy się już do nich przyzwyczaili. Flo wstała i podeszła do schodów. Nasłuchiwała, dopóki wszystko nie ucichło.

– To lekarstwo w ogóle mu nie pomaga – powiedziała. – Ten doktor nie potrafi nawet porządnie przykleić plastra.

Do końca oskarżała lekarzy o wszystkie problemy ojca Rose z lekami.

– Gdybyś kiedykolwiek przeskrobała coś takiego z chłopakiem, to byłby twój koniec – ostrzegła. – Mówię poważnie.

Rose splonęła rumieńcem gniewu i warknęła, że prędzej umrze.

– Mam nadzieję – rzekła Flo.

A teraz jedna z historii, jaką Flo opowiadała Rose:

Flo miała dwanaście lat, kiedy umarła jej matka, a ojciec się jej pozbył. Oddał ją rodzinie zamożnych rolników, którzy mieli zapewnić jej wyżywienie za pracę i posyłać ją do szkoły. Ale przez większość czasu nie posyłali, ponieważ na farmie było za dużo pracy. Byli to surowi ludzie.

– Jeśli zrywasz jabłka i zostawisz chociaż jedno na drzewie, będziesz musiała wrócić i pozbierać owoce ze wszystkich drzew w całutkim sadzie. To samo dotyczy kamieni na polu. Jeśli zostawisz choć jeden, będziesz musiała jeszcze raz obrobić całe pole.

Żona rolnika była siostrą biskupa. Ogromnie dbała o cerę, używała kremu Hinds Honey and Almond. Ze wszystkimi rozmawiała tonem pełnym wyższości, była sarkastyczna i uważała, że popełniła mezalians.

– Ale była ładna – mówiła dalej Flo – i podarowała mi jedną rzecz. Długie atłasowe rękawiczki, jasnobrązowe. Piaskowe. Naprawdę śliczne. Za nic nie chciałam ich zgubić, ale tak się stało.

Flo musiała zanieść mężczyznom obiad daleko na pole. Mąż otworzył pojemnik i spytał:

– Dlaczego nie ma placka na deser?

– Jeśli masz ochotę na placek, możesz sam go sobie upiec – powiedziała Flo tonem jego żony, używając dokładnie tych

samych słów co ona, gdy pakowała obiad. W tym, że potrafiła naśladować ją tak udatnie, nie było nic dziwnego; zawsze to robiła, ćwicząc nawet przed lustrem. Dziwne było, że popisała się tym teraz.

Mąż był zdumiony, ale zorientował się, kogo Flo przedrzeźnia. Zaprowadził ją z powrotem do domu i spytał żonę, czy to prawda, że się odezwała w taki sposób. Był potężnym mężczyzną, w dodatku o bardzo wybuchowym charakterze. Siostra biskupa odparła, że oczywiście nieprawda, że dziewczyna jest kłamczuchą i mąciwodą. Stawiła mu czoło, a gdy została sama z Flo, tak ją walnęła, że Flo przeleciała przez całą kuchnię i wpadła na kredens, przez co rozcięła sobie głowę. Po jakimś czasie skaleczenie zagoiło się bez szwów (siostra biskupa nie wezwwała lekarza, nawet nie chciała o tym słyszeć), ale Flo do tej pory ma bliznę.

Po tej awanturze nigdy już nie wróciła do szkoły.

Tuż przed ukończeniem czternastu lat uciekła. Skłamała na temat swojego wieku i dostała pracę w Hanratty, w zakładzie produkującym rękawiczki. Ale siostra biskupa dowiedziała się o miejscu jej pobytu i co jakiś czas wpadała, by się z nią zobaczyć. Wybaczamy ci, Flo. Uciekłaś i zostawiłaś nas, ale wciąż myślimy o tobie jako o naszej Flo, naszej przyjaciółce. Będzie nam miło, jeśli przyjdiesz i zostaniesz u nas na cały dzień. Nie masz ochoty spędzić trochę czasu na wsi? Praca w wytwórni rękawiczek nie jest zbyt zdrowa dla tak młodej osoby. Potrzebujesz świeżego powietrza. Może nas odwiedzisz? Choćby dzisiaj?

Za każdym razem, gdy Flo przyjmowała zaproszenie, okazywało się, że właśnie robią przetwory owocowe albo sos chili.

Albo tapetują ściany, robią wiosenne porządki, albo zbliżają się omloty. Wieś oglądała wyłącznie, wylewając za płot pomyje. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tam chodzi, dlaczego zostaje. Do miasta było daleko, męczyła ją droga tam i z powrotem. A oni byli tacy beznadziejni. Siostra biskupa nie myślała słów przed odstawieniem ich do piwnicy. Kiedy się je przynosiło, były zarośnięte pleśnią, na dnie tkwiła warstwa zepsutych, spleśniałych owoców. I jak tu nie współczuć takim ludziom?

Kiedy siostra biskupa leżała na łożu śmierci w szpitalu, traf zrządził, że Flo również tam przebywała. Przeszła operację pęcherzyka żółciowego, co Rose już pamiętała. Dawna gospodyni usłyszała, że Flo tam jest, i chciała się z nią zobaczyć. Flo pozwoliła więc zawieźć się do niej na wózku inwalidzkim. Gdy tylko spojrzała na postać leżącą na szpitalnym łóżku – tę wysoką kobietę o gładkiej skórze, teraz wychudzoną i całą w plamach, otumanioną lekami, chorą na raka – dostała silnego krwotoku z nosa, po raz pierwszy i ostatni w życiu. Krew tryskała z niej niczym czerwone wstążki.

Siostry zbiegły się na pomoc z całego korytarza. Wydawało się, że nic nie zdoła powstrzymać krwotoku. Gdy Flo podniosła głowę, krew sikała na łóżko chorej kobiety, kiedy ją spuszczała, płynęła na podłogę. W końcu przyłożono jej okłady z lodu. Nie pożegnała się z chorą.

– Nigdy się z nią nie pożegnałam.

– A chciałaś?

– Hm, tak – odrzekła Flo. – O tak, chciałam.

Co wieczór Rose przynosiła do domu stertę książek. Łacina, algebra, historia starożytna i średniowieczna, francuski,

geografia. *Kupiec wenecki*, *Opowieść o dwóch miastach*, *Krótkie poematy*, *Makbet*. Flo nastawiona była do nich niechętnie, jak zresztą do wszystkich książek. Wrogość zdawała się rosnąć, im większa i cięższa była książka, im ciemniejszą i bardziej ponurą miała oprawę, im dłuższy i trudniejszy tytuł. *Krótkie poematy* doprowadziły ją do wściekłości, ponieważ otworzyła książkę i znalazła w niej poemat na całe pięć stron.

Okropnie przekręcała tytuły. Rose uważała, że robi to celowo i złośliwie.

Ojciec Rose musiał schodzić na dół do łazienki. Trzymał się kurczowo poręczy i przesuwiał się powoli, ale bez zatrzymywania. Był ubrany w brązowy wełniany szlafrok z paskiem z chwastami. Rose unikała patrzenia mu w twarz. Nie z powodu ewentualnych zmian będących skutkiem choroby, ale ponieważ sama miała o sobie złą opinię i bała się, że wyczyta ją również z jego twarzy. To dla niego przynosiła te książki, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości, pragnęła się popisać. A on je zauważał, nie potrafił przejść obok żadnej książki, by jej nie podnieść i nie zerknąć na tytuł. Ale jedyne, co wtedy mówił, to:

– Uważaj, żebyś zanadto nie zmadrzała. Dla własnego dobra.

Rose uważała, że ojciec mówi to, żeby sprawić satysfakcję Flo, na wypadek gdyby słuchała. Flo była wtedy w sklepie, ale Rose przypuszczała, że bez względu na to, gdzie w danej chwili by się znajdowała, ojciec mówiłby tak, jak gdyby mogła go słyszeć. Zależało mu na tym, by zadowolić Flo, przewidzieć jej zastrzeżenia. Najwyraźniej podjął decyzję. Przy Flo był bezpieczny.

Rose nigdy mu nie odpowiadała. Gdy coś mówił, odruchowo pochylała głowę, zaciskała wargi, robiąc minę tajemniczą, lecz niepozbawioną szacunku. Była rozważna. Jej potrzeba popisania się, jej wielkie nadzieje, jej wygórowane ambicje nie były mu obce. Znał je wszystkie i Rose czuła się zażenowana, przebywając z nim w jednym pokoju. Domyślała się, że przynosi mu wstyd, przynosiła mu wstyd od chwili narodzin i przynieś mu jeszcze większy wstyd w przyszłości. Ale nie żałowała. Znała własny upór; nie zamierzała się zmienić.

Dla niego ideałem kobiety była Flo. Rose wiedziała o tym, a ojciec rzeczywiście często to powtarzał. Kobieta powinna być energiczna, praktyczna, robotna i oszczędna; powinna być bystra, dobra w pertraktacjach, w rządzeniu, powinna też umieć przejrzeć na wylot ludzkie ambicje. Jednocześnie powinna być intelektualnie naiwna, dziecinna, gardzić mapami, długimi słowami i wszystkim, co jest w książkach, mieć urocze, pokrętne poglądy, wierzyć w przesady i tradycję.

– Kobięce umysły są inne – powiedział do Rose podczas jednego ze spokojnych, nawet przyjaznych okresów, kiedy była jeszcze trochę młodsza. Być może zapomniał, że Rose jest, albo będzie, kobietą. – Kobiety wierzą w to, w co muszą uwierzyć. Łatwo nadażyć za ich tokiem myślenia. – Mówił to w związku z wiarą Flo, że noszenie kaloszy w domu powoduje ślepotę. – Ale potrafią radzić sobie w życiu, to ich dar, to coś, co sprawia, że są sprytniejsze od mężczyzn.

Częściowo powodem niełaski wobec Rose była jej pleć, ale nie tylko. Było coś więcej. Prawdziwy problem stanowiło to, że Rose łączyła w sobie i powielala cechy, które ojciec uważał

u siebie za najgorsze. Wszystko to, co udało mu się u siebie zwalczyć, co udało mu się zatopić, teraz wypływało znów na powierzchnię u niej, a ona nie przejawiała woli walki. Marzyła, śniła o niebieskich migdałach, była próżna i lubiła się popisywać. Całe życie Rose toczyło się w jej głowie. Nie odziedziczyła natomiast czegoś, z czego był dumny i na czym polegał, a mianowicie umiejętności manualnych, staranności i skrupulatności w każdej pracy. Prawdę mówiąc, była wyjątkowo niezdarna, niedbała, zawsze gotowa pójść na skróty. Snuła się po domu w znoszonych ciuchach, jej myśli krążyły tysiące kilometrów dalej, tyłek miała już większy niż Flo, włosy gęste i rozczochrane. Widok dużej, niemrawej i pochłoniętej sobą córki przyprawiał go o irytację, melancholię, budził w nim niemal obrzydzenie.

O wszystkim tym Rose wiedziała. Dopóki nie przeszedł przez pokój, siedziała nieruchomo, przyglądając się sobie jego oczami. Ona również nienawidziła przestrzeni, którą zajmowała. Ale w chwili, gdy wychodził, ożywiała się. Wracała do swoich rozmyślań albo do lustra, przed którym często w tamtych czasach wystawała, upinając włosy na czubku głowy, obracając się bokiem, by podziwiać linię biustu, lub naciągając skórę, by zobaczyć, jak wyglądałaby, gdyby miała skośne, lekko skośne, prowokacyjnie skośne oczy.

Wiedziała doskonale, że ojciec żywi do niej także inne uczucia – jest z niej dumny, a jednocześnie nie potrafi przewyciężyć irytacji i obaw. A prawda była taka, że wcale nie chciał, żeby się zmieniła, pragnął, żeby była taka, jaka jest. Przynajmniej w głębi serca. Oczywiście, konsekwentnie to ukrywał.

Z pokory i przewrotności. Przewrotnej pokory. I chyba tutaj byli zgodni z Flo.

Rose właściwie nie zastanawiała się nad tym, nie miała na to ochoty. Czuła się równie jak on skrępowana ich wzajemnymi stosunkami.

Gdy Rose wróciła ze szkoły, Flo powiedziała:

– Ach, dobrze, że jesteś. Musisz zostać w sklepie.

Ojciec miał jechać na południe do London, do szpitala dla weteranów.

– Dlaczego?

– Mnie nie pytaj. To decyzja lekarza.

– Czy ojcu się pogorszyło?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ten konował tak nie uważa. Zjawił się dziś rano, zbadał go i poinformował nas o tym. Na szczęście mamy Billy'ego Pope'a, który go tam odwiezie.

Billy Pope był kuzynem Flo, który pracował w sklepie mięsnym. Przedtem mieszkał w rzeźni, w dwóch pokojach z betonową posadzką, w których cuchnęło flakami i żywymi świniami. Ale był z natury domatorem, hodował pelargonie w starych puszkach po tytoniu na betonowych parapetach. Obecnie miał małe mieszkanko nad sklepem. Z zaoszczędzonych pieniędzy kupił samochód, oldsmobile'a. Było to krótko po wojnie, kiedy nowe samochody wzbudzały prawdziwą sensację. Gdy przyjeżdżał z wizytą, wciąż podchodził do okna i wyglądał nań, rzucając żart, by przyciągnąć uwagę:

– Wystarcza mu siano, nie potrzeba go nawozić.

Flo była dumna z niego i z samochodu.

– Rozumiesz, w aucie Billy’ego jest obszerne tylne siedzenie, w razie czego ojciec będzie mógł się położyć.

– Flo!

To wzywał ją ojciec Rose. Na początku, kiedy zmoęła go choroba i musiał pozostać w łóżku, rzadko ją przywoływał, zawsze dyskretnie, nawet przepaszając. Ale teraz robił to często, Flo twierdziła, że wymyśla powody, by ściągnąć ją na górę.

– I jak on by sobie tam beze mnie poradził? – mówiła. – Nie pozwala mi odejść nawet na pięć minut.

Najwyraźniej sprawiało jej to satysfakcję, chociaż często kazała mu czekać. Czasami stawała na dole schodów i zmuszała go, by dokładniej określił, po co jest mu potrzebna. Opowiadała ludziom w sklepie, że nie daje jej spokoju ani na chwilę i że dwa razy dziennie musi mu zmieniać pościel. Była to prawda. Pościel była przemoczona od potu. Późno w nocy Flo albo Rose, a bywało, że i obie, stały przy pralce w drewni. Czasami Rose widziała, że bielizna ojca jest zaplamiona. Nie chciała patrzeć, ale Flo podnosiła ją do góry, niemal wymachując nią Rose przed nosem i krzycząc: „Spójrz tylko, znowu!” i cmokała z przesadną dezaprobatą.

Rose nienawidziła jej w takich chwilach, nienawidziła też ojca; jego choroby; biedy lub skapstwa, które sprawiały, że oddanie rzeczy do pralni było nie do pomyślenia; ich życie musiało być dla obcych tajemnicą, Flo była tam po to, by tego dopilnować.

Rose została w sklepie. Klienci się nie zjawiali. Był zimny, wietrzny dzień, zwykle o tej porze dawno już padał śnieg,

a teraz nie było go ani na lekarstwo. Słyszała, jak Flo kręci się na górze, gderając i dodając ojcu odwagi, zmuszając go, by się ubrał, prawdopodobnie pakując jego walizkę, szukając rzeczy. Rose rozłożyła na ladzie podręczniki i, by nie dopuścić do siebie domowych odgłosów, czytała opowiadanie z książki do angielskiego. Było to *Garden Party* Katherine Mansfield. Jego bohaterami byli ubodzy ludzie. Mieszkali na tyłach ogrodu. Budzili współczucie. Wszystko świetnie, ale cała historia wywoływała w Rose złość, reakcję, jakiej nie powinna wywoływać. Właściwie nie rozumiała, co ją tak złości, ale miało to coś wspólnego z faktem, że była pewna, iż Katherine Mansfield nie musiała nigdy oglądać zaplamionej bielizny; jej krewni mogli być okrutni i niepoważni, ale mówili miłym tonem; jej współczucie unosiło się na obłokach powodzenia, ona bez wątpienia litowała się nad biedakami, natomiast Rose nimi gardziła. Rose z powodu biedy stawiała się coraz większą snobką i miało to trwać jeszcze długo.

Usłyszała, że do kuchni wchodzi Billy Pope i woła radośnie:

– Chiba zachodziliście w głowę, gdzie się podziewam.

Katherine Mansfield nie miała krewnych, którzy mówią „chiba”.

Rose dokończyła opowiadanie i sięgnęła po *Makbeta*. Uczyła się na pamięć niektórych fragmentów sztuki. Były to zupełnie inne fragmenty Szekspira i inne wiersze niż te, których kazano im się uczyć w szkole. Recytując je, nie wyobrażała sobie, że jest aktorką grającą Lady Makbet na scenie. Wyobrażała sobie, że jest Lady Makbet.

– Przyszedłem na piechotę – krzyknął Billy Pope w górę schodów. – Musiałem go odstawić. – Zakładał, że wszyscy wiedzą, iż chodzi mu o samochód. – Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nie mogę wrzucić na luz, gaśnie mi. Nie chciałem jechać do miasta niesprawną bryką. Rose w domu?

Billy Pope lubił Rose od czasów, gdy była małą dziewczynką. Zwykle dawał jej dziesięć centów i mówił:

– Uskładaj sobie na biustonosz. – To był taki jego żart. Rose była wtedy chuda i płaska.

Wszedł do sklepu.

– Jak tam, Rose, byłaś dziś grzeczna?

Odmruknęła coś niezrozumiale.

– Nie rozstajesz się z podręcznikami. Chcesz zostać nauczycielką?

– Być może. – Nie zamierzała zostać nauczycielką, ale powiedziała to na odczepnego. Zdziwiający, jak ludzie dają człowiekowi spokój, gdy przyzna się, że ma takie ambicje.

– To smutny dzień dla was tutaj – rzekł Billy Pope, zniżając głos.

Rose podniosła głowę i zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

– Mam na myśli to, że twój tata jedzie do szpitala. Ale nie martw się, wyreperują go. Mają tam odpowiedni sprzęt. I naprawdę dobrych doktorów.

– Wątpię – powiedziała Rose. Tego też nienawidziła, że ludzie robią do czegoś aluzję, a potem się wycofują, tej ich przebiegłości. Robili to zawsze w rozmowach o seksie i śmierci.

– Wyzdrowieje i na wiosnę będziecie go mieli z powrotem.

– Nie, jeśli ma raka płuc – rzekła stanowczo Rose. Nigdy przedtem te słowa nie padły ani z jej ust, ani z ust Flo.

Billy Pope miał tak żalowaną i zawstydzoną minę, jak gdyby powiedziała coś bardzo sprośnego.

– Nie wolno ci tak mówić. Nie rób tego. On przecież zejdzie na dół i może cię usłyszeć.

Nie da się zaprzeczyć, że czasami tego rodzaju sytuacje sprawiały Rose przyjemność. Okrutną przyjemność, kiedy nie była zbyt zajęta praniem pościeli lub słuchaniem ataku kaszlu. Dramatyzowała własną rolę, patrzyła na siebie przenikliwym okiem, bez zaskoczeń, odrzucając wszystkie oszustwa, młodziutka, ale już gorzko doświadczona przez życie. W takim duchu powiedziała: „rak płuc”.

Billy Pope zadzwonił do warsztatu. Okazało się, że nie zdążą naprawić auta przed kolacją. Zamiast więc udać się do domu, Billy został na noc. Miał się przespać na kanapie w kuchni, a rano wyruszyć do szpitala z ojcem Rose.

– Nie ma wielkiego pośpiechu, nie zamierzam się nim przejmować – powiedziała Flo, mając na myśli lekarza. Weszła do sklepu po puszkę łososia, żeby przygotować kanapki. Mimo że nigdzie nie wychodziła i niczego nie planowała, włożyła pończochy, czystą bluzkę i spódnicę.

Szykując kolację w kuchni, głośno rozmawiała z Billym. Rose usiadła na wysokim stołku i recytowała w myśli, patrząc przez okno na West Hanratty, na kurz miotany wiatrem po ulicy, na dziury po wyschniętych kałużach.

Zbliżcie się do mych piersi, przeistocicie
W żółć moje mleko, o wy, śmierć niosące
Potęgi...*

Wstrząsnęłaby nimi, gdyby wykrzyczała te słowa do kuchni.

O szóstej zamknęła sklep. Gdy weszła do kuchni, ze zdziwieniem zobaczyła tam ojca. Nie słyszała go. Nie odzywał się ani nie kasłał. Był ubrany w swój porządny garnitur niezwykłego ciemnooliwkowego koloru. Wyraźnie tani.

– Patrzcie no, jak się wystroił – powiedziała Flo. – Myśli, że wygląda elegancko. Jest taki zadowolony z siebie, że nie wrócił do łóżka.

Ojciec uśmiechnął się nienaturalnie, posłusznie.

– Jak się teraz czujesz? – spytała Flo.

– Dobrze.

– W każdym razie dawno nie kasłałeś. – Ojciec był świeżo ogolony, twarz miał gładką i delikatną jak zwierzątko, które kiedyś rzeźbili w szkole w żółtym mydle do prania.

– Może powinienem był wcale się nie kłaść.

– Tego właśnie ci trzeba – rzekł głośno Billy Pope. – Koniec z leniuchowaniem. Nie kładź się. Wracaj do pracy.

Na stole stała butelka whisky. Przyniósł ją Billy. Mężczyźni pili z małych szklaneczek po serku śmietankowym. Dodawali z centymetr wody.

Do domu wszedł przyrodni brat Rose, Brian, hałaśliwy, ubłocony, wnosząc ze sobą zimny, świeży zapach.

* *Makbet*, przekład Józefa Paszkowskiego.

Właśnie w tym momencie Rose spytała:

– Mogę dostać odrobinę? – Wskazała ruchem głowy butelkę whisky.

– Dziewczęta tego nie piją – odparł Billy Pope.

– Dam ci trochę i zaraz Brian będzie jęczał, żeby też mu nalać – powiedziała Flo.

– Mogę dostać odrobinę? – zareagował natychmiast Brian i Flo ryknęła donośnym śmiechem, chowając swoją szklaneczkę za pojemnikiem na chleb.

– A nie mówiłam?

– W dawnych czasach byli tutaj ludzie, którzy potrafili uzdrowić – oznajmił Billy Pope podczas kolacji. – Ale teraz słuch po nich zaginął.

– Szkoda, że nie możemy ściągnąć tutaj któregoś – mruknął ojciec Rose, z powodzeniem powstrzymując atak kaszlu.

– Był kiedyś uzdrowiciel, opowiadał o nim mój tata – mówił dalej Billy. – Miał taki sposób mówienia, jak gdyby czytał z Biblii. No więc przyszedł do niego głuchy facet, a on wyleczył go z głuchości. I pyta: „Słyszysz?”

– Głuchoty? – zasugerowała Rose. Wysączyła zawartość szklaneczki Flo, wyjmując chleb na kolację, i była życzliwiej nastawiona do wszystkich swoich krewnych.

– Właśnie. Głuchoty. A więc: „Słyszysz?”. I facet odpowiedział, że tak, słyszy. Na to uzdrowiciel: „A wierzysz?”. Gość chyba nie rozumiał, o co mu chodzi, i zapytał: „W co?”. Uzdrowiciel się wściekł i odebrał mu z powrotem słuch, tak że ten wrócił do domu równie głuchy jak przedtem.

Flo zrewanżowała się opowieścią o kobiecie z jej rodzinnych stron, która miała dar jasnowidzenia. W każdą niedzielę na uliczce, gdzie mieszkała, stały sznury powozów, a później samochodów. Tego dnia zjeżdżali się do niej ludzie z bardzo daleka. Przeważnie radzili się jej w sprawie zaginionych rzeczy.

– Nie chcieli nawiązać kontaktu ze swoimi bliskimi? – spytał ojciec Rose. Lubił ją podbechtywać, gdy o czymś opowiadała. – Myślałem, że potrafiła skontaktować ich ze zmarłymi.

– Cóż, większość z nich widywała ich wystarczająco często za życia.

Chcieli się dowiedzieć, gdzie zniknęły takie rzeczy jak pierścionki, testamenty i żywy inwentarz.

– Przyszedł do niej pewien mężczyzna, którego znałam, i powiedział, że zgubił portfel. Pracował na kolei. A ona mówi: „Pamięta pan, jakiś tydzień temu pracował pan na torach? W pewnym miejscu biegły obok sadu, a pan pomyślał, że ma ochotę na jabłko? Przeskoczył pan więc przez ogrodzenie i to właśnie wtedy zgubił pan portfel, wypadł w wysoką trawę. Ale akurat przebiegał tamtędy pies, złapał go, a potem rzucił dużo dalej pod płotem. Tam go pan znajdzie”. Facet nie pamiętał już o sadzie i przełożeniu przez płot, był taki zdumiony, że dał jej dolara. Poszedł tam i faktycznie znalazł portfel w opisanym przez nią miejscu. Znam go, wiem, że mówił prawdę. Ale pieniądze były kompletnie pogryzione przez psa, dosłownie w strzępach. Kiedy to zobaczył, wściekł się okropnie i żałował, że dał jej całutkiego dolara.

– No ale ty chyba nigdy do niej nie poszłaś – podpuścił ją ojciec Rose. – Nie wierzysz w takie rzeczy, co? – Gdy zwracał

się do Flo, często przejmował wiejski zwyczaj i drażnił się z nią, mówiąc rzeczy sprzeczne z prawdą, jakby był przekonany, że są z nią zgodne.

– Nie, tak naprawdę nigdy jej o nic nie prosiłam. Ale raz tam poszłam, żeby kupić dymkę. Moja matka była chora, cierpiała na nerwy, a ta kobieta rozpuściła wieści, że hoduje trochę dymki, która jest dobra na nerwy. To nie były nerwy, tylko rak, nie mam więc pojęcia, czy na coś pomogła. – Flo mówiła coraz szybciej i coraz głośniejsze, skrępowana, że się do tego przyznała. – Musiałam tam pójść. Wyrwała je, umyła i związała w pęczek, po czym mówi: „Nie idź jeszcze, wejdź do kuchni i zobacz, co dla ciebie mam”. Nie wiedziałam, co to takiego, ale nie odważyłam się odmówić. Myślałam, że jest czarownicą. Wszyscy tak myśleliśmy. Wszyscy w szkole. Usiadłam więc w kuchni, a ona zniknęła na chwilę w spiżarni i przyniosła wielki czekoladowy tort, odkroiła kawałek i postawiła przede mną. Musiałam siedzieć i jeść, a ona też usiadła i przyglądała się, jak jem. Zapamiętałam tylko jej dłonie. Były duże, czerwone, poznaczone grubymi żyłami, przez cały czas trzymała je na kolanach i plaskała dłońią w drugą dłoń albo je splatała. Od tamtej pory często myślałam, że sama powinna jeść dymkę, też miała napięte nerwy. Wtedy wyczułam w cieście dziwny smak. Szczególny. Nie ośmieliłam się jednak przerwać jedzenia. Jadłam i jadłam, a kiedy wreszcie skończyłam, grzecznie podziękowałam i wyszłam stamtąd. Powiem wam, że szłam normalnie uliczką, ponieważ wydawało mi się, że mnie obserwuje, ale gdy tylko znalazłam się na głównej ulicy, puściłam się biegiem. Nadal się jednak bałam, że mnie śledzi w niewidzialnej postaci

i że potrafi czytać w moich myślach, złapie mnie i wywali mój mózg na żwir. Gdy dotarłam do domu, otworzyłam gwałtownie drzwi i wrzasnęłam: „Trucizna!”. Tak właśnie myślałam. Byłam pewna, że nakarmiła mnie zatrutym tortem. Ale matka powiedziała, że to była pleśń. W domu tej kobiety była wilgoć, a ponieważ w ostatnich dniach nikt jej nie odwiedzał, choć kiedy indziej miewała wielu klientów, tort się przeleżał. Musiała go upiec już dawno. Ale ja nie dawałam się przekonać. Nie. Upierałam się, że najadłam się trucizny i jestem skazana na śmierć. Zaszyłam się w kącie spichlerza, gdzie miałam swoją kryjówkę. Nikt o niej nie wiedział. Trzymałam tam śmiecie najrozmaitszego rodzaju. Kawałki potłuczonej porcelany i aksamitne kwiatki. Pamiętam je, pochodziły z kapelusza, który przemókł na deszczu. Siedziałam tam więc i czekałam.

Billy Pope parsknął śmiechem.

– I co? Wyciągnęli cię stamtąd?

– Nie pamiętam. Chyba nie. Nie mogliby mnie znaleźć, bo schowałam się za workami z obrokiem. Nie. Nie wiem. Chyba w końcu zmęczyło mnie czekanie i sama stamtąd wyszłam.

– I przeżyłam, żeby opowiedzieć tę historię – podsunął ojciec. Ostatnie słowo utonęło w długim ataku kaszlu. Flo przestrzegła go, że nie wolno mu siedzieć tyle czasu, on jednak odparł, że po prostu położy się na kanapie w kuchni. I rzeczywiście się położył. Flo i Rose sprzątnęły ze stołu i pozmywały naczynia, a następnie dla zabicia czasu Flo, Billy Pope, Brian i Rose usiedli dookoła stołu i zaczęli grać w karty. Ojciec drzemał. Rose wyobrażała sobie Flo w kącie spichlerza, z odłamkami porcelany, z oklapniętymi aksamitnymi kwiatkami

i z resztą swoich skarbów, w oczekiwaniu pełnym grozy, ale też egzaltowanego pragnienia, by zobaczyć, jak śmierć przecina nieć życia.

Ojciec czekał. Drewnutnia jest zamknięta, nie otworzy już żadnej swojej książki, a jutro po raz ostatni włoży buty. Wszyscy przywykli do tej myśli i pod pewnymi względami byliby bardziej poruszeni, gdyby nie umarł, niż gdyby umarł. Nikt nie mógł zapytać, co on o tym myśli. Potraktowałby to pytanie jako bezczelność, dramatyzowanie, nadużycie. Rose była tego pewna. Wierzyła, że jest przygotowany na Westminster Hospital, szpital dla weteranów, przygotowany na jego ponury nastrój, pościółkę zasłony wokół łóżka, poplamione miednice. I na to, co nastąpi. Rozumiała, że już nigdy nie będzie z nią bardziej niż w tej chwili. Zaskoczeniem miało być, że nie będzie z nią mniej.

Pijąc kawę, przechadzając się po oślepiająco zielonych klaszach nowej szkoły średniej podczas zjazdu z okazji setnej rocznicy – nie przyjechała specjalnie, lecz wpadła tam przy okazji pobytu w domu w sprawie Flo – Rose spotkała dawne koleżanki, od których dowiedziała się, że Ruby Carruthers nie żyje.

– Odjęli jej jedną pierś, potem drugą, ale miała już wszędzie przerzuty, umarła.

– Widziałam twoje zdjęcie w jakimś magazynie – mówiła któraś inna – zapomniałam tytułu, mam go w domu.

W nowej szkole był warsztat, w którym szkolono przyszłych mechaników samochodowych, i salon piękności, gdzie uczyły

się przyszłe kosmetyczki; biblioteka; aula; sala gimnastyczna; obrotowa fontanna do mycia rąk w toalecie dla dziewcząt. I bez zarzutu działający dystrybutor z podpaskami.

Del Fairbridge został przedsiębiorcą pogrzebowym.

Runt Chesterton księgowym.

Horse Nicholson zbił majątek jako przedsiębiorca budowlany i rzucił swoje zajęcie dla polityki. Wygłosił mowę, nawołującą do tego, by w szkole było dużo więcej Boga i dużo mniej francuskiego.

Dziki łabędzie

Flo kazała jej strzec się handlarzy żywym towarem. Opisywała, w jaki sposób działają: starsza kobieta, typ matki albo babci, zaprzyjaźnia się z tobą podczas podróży autobusem lub pociągiem. Częstoje cię cukierkiem nafaszerowanym narkotykiem. Po chwili zaczynasz słabnąć i mamrotać, nie jesteś w stanie składnie mówić. Och, pomocy, woła kobieta, moja córka (wnuczka) jest chora, niech ktoś mi pomoże wyprowadzić ją na świeże powietrze, żeby doszła do siebie. Z fotela podnosi się uprzejmy dżentelmen, udający obcego, i ofiarowuje się z pomocą. Na następnym przystanku śpiesznie wypychają cię z pociągu czy autobusu i po raz ostatni oglądasz zwyczajny świat. Trzymają cię w jakiejś swojej melinie (do której cię przenoszą otumanioną narkotykiem i skrepowaną, żebyś nawet nie wiedziała, gdzie jesteś), do czasu, aż jesteś kompletnie upokorzona, pogrążona w rozpacz, twoje wnętrze porozrywali pijani mężczyźni i zarazili cię jakąś paskudną chorobą, mózg masz spustoszony przez narkotyki, wypadły ci włosy i zęby. Taki stan osiągasz w ciągu mniej więcej trzech lat. Nie chcesz wrócić do domu, może wcale go nie pamiętasz albo nie potrafisz odnaleźć do niego drogi. Wyrzucają cię więc na ulicę.

Flo włożyła dziesięć dolarów do małej bawełnianej torebki, którą przyszyła do ramiączka halki Rose. Kolejną rzeczą, która mogła jej się przytrafić, była kradzież portmonetki.

Uważaj, powiedziała również Flo, na mężczyzn w strojach duchownych. Ci są najgorsi. W takim przebraniu często występują zarówno handlarze żywym towarem, jak i złodzieje.

Rose odparła, że nie ma pojęcia, jak poznać, którzy są przebierańcami.

Flo pracowała kiedyś w Toronto jako kelnerka w barze kawowym na dworcu Union Station. Stąd wiedziała o tym wszystkim. W tamtym okresie nie widywała słońca, z wyjątkiem dni, kiedy miała wolne. Ale widziała za to wiele innych rzeczy, na przykład, jak jakiś mężczyzna rozciął drugiemu brzuch nożem, zwyczajnie zerwał z niego koszulę i ciachnął go, jak gdyby to był arbuz. Właściciel brzucha po prostu siedział, patrząc ze zdumieniem w dół, nie miał nawet czasu zaprotestować. Flo dawała do zrozumienia, że nie takie rzeczy działy się w Toronto. Była świadkiem, jak dwie niemoralne kobiety (tak nazywała prostytutki) wdały się w bójkę, a jakiś mężczyzna śmiał się z nich, inni mężczyźni też się zatrzymywali, śmiali się i podjudzali je przeciw sobie. Wyrwały sobie wzajemnie włosy, miały ich pełne garście. Wreszcie przyjechała policja i zabrała je, wciąż wrzeszczące wniebogłosy.

Widziała umierające w konwulsjach dziecko. Twarz miało czarną jak atrament.

– Ja się nie boję – powiedziała Rose zaczepnie. – Przecież są policjanci.

– Ach, policjanci! Oni pierwsi cię ocygania!

Rose nie wierzyła w nic, co Flo mówiła na temat seksu. Weźmy przedsiębiorcę pogrzebowego.

Mały tysi człowieczek, bardzo schludnie ubrany, przychodził czasami do sklepu i zwracał się do Flo z uspokajającą miną:

– Chciałbym tylko torebkę cukierków. I może kilka paczuszek gumy. I jeszcze dwa czekoladowe batoniki. Czy sprawi pani kłopot, jeśli poproszę o zapakowanie?

Flo zapewniała go pełnym udawanego szacunku tonem, że oczywiście zapakuje. Pakowała je w porządną papier, tak że wyglądały prawie jak prezenty. Nie śpieszył się z wyborem, nucąc pod nosem, gawędząc i mitrząc czas. Pytał Flo, jak się czuje. I Rose także, jeśli była w pobliżu.

– Błado wyglądasz. Młode dziewczyny potrzebują świeżego powietrza. – I do Flo: – Pracuje pani zbyt ciężko. Przez całe życie ciężko pani pracowała.

– Nie ma spoczynku dla grzeszników – odpowiadała uprzejmie Flo.

Kiedy wychodził, biegła do okna. Był tam – stary czarny karawan z fioletowymi zastonkami.

– Wypuszcza się na nie dzisiaj! – komentowała Flo, gdy karawan powoli ruszał spod sklepu i odjeżdżał w niemal pogrzebowym tempie. Mały człowieczek był emerytowanym przedsiębiorcą pogrzebowym. Jego karawan również był wycofany z eksploatacji. Synowie przejęli zakład i kupili nowy samochód. On jeździł teraz starym karawanem po okolicy, wypatrując kobiet. Tak twierdziła Flo, ale Rose w to nie wierzyła. Flo mówiła, że daje im gumę i słodycze, ale zdaniem Rose przypuszczalnie

zjadał je sam. Flo upierała się, że widziano go i słyszano. Podczas ładnej pogody jeździł ze spuszczonymi szybami, śpiewając dla siebie lub dla kogoś w tylnej części karawanu, kogo nie było widać.

Jej czoło białe jest jak śnieg,
Łabędzią szyję ma...

Flo naśladowała jego śpiew. Powoli zrównywał się z kobietą idącą jakąś boczną drogą lub odpoczywającą na rozstajach. Prawił jej komplementy, częstował czekoladowymi batonikami, proponował przejażdżkę. Oczywiście wszystkie kobiety, które podobno zapraszał do samochodu, zapewniały, że mu odmówiły. Nigdy żadnej nie narzucił się natrętnie, grzecznie odjeżdżał. Wstępował też do domów i jeśli zastawał męża, po prostu siadał i wdawał się w pogawędkę. Żony ręczyły, że na tym się kończyło, ale Flo nie wierzyła.

– Zwabił tak wiele kobiet. Naprawdę. – Lubiała się zastanawiać, jak wygląda karawan od środka. Plusz. Wybite pluszem ściany, pluszowa podsufitka i podłoga. Fioletowego koloru, a zasłonki w oknach ciemnoliliowe.

Wszystko to bzdura, myślała Rose. Kto by w to uwierzył, facet przecież jest już stary.

Rose jechała do Toronto pociągiem, po raz pierwszy w życiu sama. Była tam kiedyś z Flo, na długo przed śmiercią ojca. Wzięły ze sobą kanapki i kupiły mleko od sprzedawcy w pociągu. Było skwaśniałe. Skwaśniałe mleko o smaku czekola-

dowym. Rose piła je małymi łyчками, nie chcąc przyznać, że zawiodło ją coś, czego tak bardzo pragnęła. Flo powąchała je, po czym przeszukała cały pociąg, aż nie znalazła starego, bezzębnego sprzedawcy w czerwonym kitlu, z tacą zawieszoną na szyi. Kazała mu spróbować mleka. Poprosiła najbliższej siedzącej osoby, by je powąchały. Dał jej jako rekompensatę gazowany napój imbirowy. Lekko ciepły.

– Dałam mu nauczkę – powiedziała Flo, rozglądając się dookoła, gdy odszedł. – Takim ludziom trzeba dawać nauczkę.

Jakaś kobieta przytaknęła jej, ale większość osób wyglądała przez okno. Rose wypiła ciepły napój imbirowy. Czy to ciepły napój, czy też scena ze sprzedawcą, a może rozmowa Flo z przytakującą jej kobietą o tym, skąd pochodzą i po co jadą do Toronto, lub poranne zaparcie Rose, będące przyczyną jej bladej skóry, a może niewielka ilość skwaśniałego mleka sprawiły, że wymiotowała w toalecie w pociągu. Przez cały dzień obawiała się, że mieszkańcy Toronto poczują od niej woń wymiocin.

Tym razem Flo poprosiła konduktora: „Proszę mieć na nią oko, nigdy nie była sama daleko od domu!”, po czym rozejrzała się dookoła, śmiejąc się, żeby obrócić wszystko w żart. W końcu musiała wysiąść. Najwyraźniej konduktor w równym stopniu jak Rose nie był skłonny do żartów ani też nie palił się, by mieć oko na kogokolwiek. Odezwał się do niej tylko raz, prosząc ją o okazanie biletu. Rose siedziała przy oknie i wkrótce poczuła się niezwykle szczęśliwa. Czuła, jak Flo znika w oddali, West Hanratty gdzieś odpływa, a ona pozbywa się swego męczącego „ja” równie łatwo jak całej reszty. Z rozkoszą patrzyła na coraz mniej znane miasteczka. Jakaś kobieta stała

w kuchennych drzwiach w nocnej koszuli, nic sobie nie robiąc z tego, czy ktoś z pociągu ją widzi. Jechali na południe, zostawiając za sobą pas śniegu, i wjeżdżali w okolicę, gdzie już panowała wczesna wiosna, klimat był łagodniejszy. Ludzie mogli hodować w ogródkach drzewka brzoskwiniowe.

Rose podliczała w myślach, czego musi poszukać w Toronto. Najpierw zakupy dla Flo. Specjalne uciskowe pończochy na żyłaki. Specjalny rodzaj kleju do przylepiania uch do garnków. I najrozmaitsze domina.

Dla siebie Rose chciała kupić depilator, żeby usunąć owłosienie z rąk i nóg, oraz jeśli będzie to możliwe, zestaw nadmuchiwanym poduszek do ćwiczeń, żeby się pozbyć zbyt krągłości na biodrach i udach. Pewnie mogłaby kupić depilator w drogerii w Hanratty, ale sprzedawczyni była znajomą Flo i o wszystkim jej paplała. Kto kupił farbę do włosów, kto pigułki na odchudzanie, a kto francuskie prezerwatywy. Zestaw poduszek można było zamówić, ale wywołałoby to komentarze na pocztce, a tam też Flo znała wszystkich. Rose chciała także kupić kilka bransoletek i sweter z angory. Marzyła o srebrnych bransoletkach i jasnoniebieskim swetrze. Pokładała wielkie nadzieje w bransoletkach i jasnoniebieskim swetrze. Myślała, że ją zmieni, sprawią, że będzie spokojna i smukła, że będzie miała alabastrową cerę, że wygładzą jej włosy, wysuszą potniejące pachy.

Pieniądze na te rzeczy, jak również na podróż, pochodziły z nagrody, którą Rose otrzymała za esej pod tytułem: *Nauka i sztuka w świecie jutra*. Ku jej zdziwieniu Flo poprosiła, by jej go przeczytała. Słuchając, rzuciła uwagę, że chyba dali Rose nagrodę za połknięcie słownika. Potem dodała nieśmiało:

– Interesujące.

Noc miała spędzić u Celi McKinney. Cela była kuzynką jej ojca. Wyszła za kierownika hotelu i myślała, że Pana Boga za nogi złapała. Ale pewnego dnia kierownik hotelu wrócił do domu, usiadł na podłodze w jadalni między dwoma krzesłami i oświadczył: „Nigdy więcej nie wyjdę z domu”. Nie zdarzyło się nic szczególnego, po prostu postanowił nie wychodzić z domu i nie wychodził, aż do śmierci. Przez co Cela McKinney zdziwaczała i stała się nerwowa. Zamykała drzwi na zasuwę o ósmej godzinie. Była też bardzo skąpa. Na kolację jadła zwykle owsiankę z rodzynkami. Jej dom był ciemny, wąski i cuchnęło w nim jak z pojemnika na odpady.

W pociągu było coraz więcej ludzi. W Brantford jakiś mężczyzna spytał, czy Rose ma coś przeciwko temu, by usiadł obok niej.

– Na dworze jest chłodniej, niż się wydaje – rzekł, po czym zaproponował jej część swojej gazety. Nie, dziękuję, odparła.

Nie chcąc wydać się niegrzeczną, przyznała, że faktycznie jest chłodniej. Nadal wyglądała przez okno, zachwycając się wiosennym porankiem. Nigdzie nie było już śladu śniegu. Drzewa i krzewy miały chyba bleśszą korę niż w jej rodzinnych stronach. Nawet światło słoneczne wydawało się inne. Różnica była taka sama jak między West Hanratty a wybrzeżem Morza Śródziemnego lub dolinami Kalifornii.

– Brudne okna, mogliby bardziej o to zadbać – powiedział mężczyzna. – Często jeździsz pociągiem?

– Nie.

Na polach stała woda. Wskazał ją głową i zauważył:

– Dużo jej w tym roku. Były obfite śniegi.

Zwróciła uwagę na te poetycko brzmiące „śniegi”. Każdy w jej rodzinnych stronach powiedziałby „śnieg”.

– Niedawno przydarzyło mi się coś niezwykłego. Jechałem przez wiejską okolicę. Właściwie to byłem w drodze do jednej z moich parafianek, która chorowała na serce...

Rose spojrzała na niego, szukając wzrokiem koloratki, ale miał na sobie zwykłą koszulę, krawat i granatowy garnitur.

– Ach, tak, jestem pastorem Zjednoczonego Kościoła. Ale koloratkę wkładam tylko na msze. Dzisiaj jestem po cywilnemu. A więc, jak już mówiłem, jechałem przez wiejską okolicę i nagle zauważyłem na stawie gęsi kanadyjskie, a gdy się lepiej przyjrzałem, dostrzegłem wśród nich łabędzie. Duże stado łabędzi. Jakiż to był piękny widok. Przypuszczam, że były w trakcie wiosennej migracji, kierowały się na północ. Cóż za widowisko. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego.

Rose nie potrafiła myśleć z zachwytem o dzikich łabędziach, ponieważ obawiała się, że mężczyzna zweksluje rozmowę na przyrodę w ogóle, a następnie na Boga, tak jak to mają w zwyczaju pastorki. Ale on poprzestał na łabędziach.

– Naprawdę przepiękny widok. Spodobałyby ci się.

Był między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, tak oceniła Rose. Niski, sprawiający wrażenie energicznego, o kwadratowej rumianej twarzy i siwych falujących włosach zaczesanych do góry. Gdy się zorientowała, że nie zamierza napomykać o Bogu, poczuła, że powinna okazać uprzejmość.

Powiedziała, że z pewnością były piękne.

– To nie był nawet normalny staw, lecz po prostu rozlewisko na polu. A ja przypadkiem na nie trafiłem, kiedy akurat zniżyły lot i opadły na wodę. Miałem szczęście, że tamtędy przejeżdżałem. Chyba przyfrunęły ze wschodniego krańca jeziora Erie. Nigdy przedtem ich nie widziałem.

Odwróciła głowę o kilka stopni w stronę okna, on zaś zagłębił się z powrotem w gazecie. Wciąż się lekko uśmiechała, żeby nie wydać się nieuprzejmą. Ranek był rzeczywiście chłodny, zdjęła więc płaszcz z haczyka, gdzie go powiesiła na początku podróży, i przykryła się nim jak pledem. Kiedy pastor siadał, postawiła torebkę na podłodze, żeby zrobić mu miejsce. Rozkładał gazetę, potrząsając nią, rozdzielając strony, powoli, ostentacyjnie. Pomyślała, że ten człowiek wszystko robi na pokaz. Typowy pastor. Odłożył część gazety, strony, które akurat go nie interesowały. Róg gazety dotknął jej nogi, tam, gdzie kończył się płaszcz.

Przez jakiś czas myślała, że to gazeta. Potem pomyślała: a jeśli to dłoń? Potrafiła to sobie wyobrazić. Czasami przyglądała się męskim dłoniom, meszkowi na przedramionach, ich skupionym twarzom. Rozmyślała o wszystkim, co potrafią robić. Nawet o tych głupich rzeczach. Na przykład, dostawca chleba do sklepu Flo. Dojrzałość, pewne siebie zachowanie, połączenie spokoju i czujności w prowadzeniu ciężarówki. Brzuch wylewający się nad paskiem spodni nie wywoływał u niej niesmaku. Kiedy indziej znowu zaczęła obserwować nauczyciela francuskiego w szkole. Wcale nie był Francuzem, naprawdę nazywał się McLaren, ale Rose uważała, że nauczanie francuskiego wywarło na nim swoje piętno i upodobił się do

Francuza. Miał szybkie ruchy i ziemistą cerę, kanciaste ramiona, haczykowany nos i smutne oczy. Zdaniem Rose lubił oddawać się przyjemnościom nieśpiesznie, chętnie sobie dogadzał. Pragnęła stać się czyjąś własnością. Bitą, zaspokajaną, poniżaną, wyczerpaną.

Ale jeśli jest to dłoń? Co, jeśli naprawdę jest to dłoń? Poruszyła się lekko, przesunęła tyle, ile mogła, w stronę okna. Jej wyobraźnia zdawała się tworzyć tę rzeczywistość, rzeczywistość, na którą w ogóle nie była przygotowana. Zatrwożyło ją to. Koncentrowała się na swojej nodze, tym kawałku skóry okrytym pończochą. Nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć. Czuje dotyk czy nie? Poruszyła się znowu. Nogi miała z całej siły ściśnięte. Tak. To była dłoń. To był dotyk dłoni.

„Proszę, nie”. To właśnie próbowała powiedzieć. Formowała w myśli słowa, usiłowała je wypowiedzieć, ale nie chciały jej przejść przez usta. Dlaczego? Czy powodował ją wstyd, obawa, że ludzie mogą usłyszeć? Pociąg był zatłoczony, wszystkie miejsca siedzące zajęte.

Chodziło nie tylko o to.

Udało jej się na niego zerknąć, nie podnosząc głowy, lecz patrząc z ukosa. Odchylił oparcie siedzenia do tyłu i zamknął oczy. Rękaw jego granatowej marynarki niknął pod gazetą. Ułożył ją w taki sposób, że zachodziła na płaszcz Rose. Jego dłoń znajdowała się pod spodem, po prostu jak gdyby osunęła się we śnie.

Rose mogła przesunąć gazetę i zdjąć płaszcz. Gdyby nie spał, powinien cofnąć rękę. Gdyby spał i jej nie zabrał, mogłaby szepnąć: „Przepraszam” i przelożyć ją zdecydowanym ruchem

na jego kolano. To rozwiązanie, tak oczywiste i niezawodne, nie przyszło jej jednak do głowy. Zastanawiała się, dlaczego? Dłoń pastora nie była mile widziana, przynajmniej na razie. Rose była nieufna, niemile dotknięta, pełna obrzydzenia, czuła się nieswojo, jak schwyтана w potrzask. Ale nie potrafiła zaplanować nad sytuacją, odepchnąć go. Nie mogła utrzymać, że dłoń tam jest, skoro on zdawał się twierdzić, że jej tam nie ma. Jak mogła uznać go za winnego, gdy tak półleży, odpoczywając przed pracowitym dniem, taki łagodny i ufny, z taką zadowoloną i zdrową twarzą? Mężczyzna starszy od jej ojca, gdyby ten żył, przyzwyczajony do uległości, doceniający naturę, zachwycający się dzikimi łabędziami. Gdyby powiedziała: „Proszę, nie”, bez wątplenia zignorowałby ją, jak gdyby przymykał oczy na jakąś głupotę czy nieuprzejmość z jej strony. Zdawała sobie sprawę, że chwilę później miałaby nadzieję, że nie usłyszał.

Ale było coś więcej. Ciekawość. Bardziej natrętna, bardziej nagląca od pożądania. Samo pożądanie sprawia, że się wycofujesz i czekasz, gdy jesteś ciekawa czekasz zbyt długo, ryzykujesz niemal wszystko tylko po to, by zobaczyć, co się wydarzy. Zobaczyć, co się wydarzy.

Po kilku kolejnych kilometrach dłoń zaczęła bardzo delikatnie, nieśmiało naciskać, badać. Nie spał. A jeśli spał, to na pewno nie spała jego ręka. Czuła obrzydzenie, wzbierające mdłości. Myślała o ciele: bryłach ciała, różowych otworach, mięsistych językach, obcesowych palcach, śpieszących się, skradających, zwisających i pocierających, szukających przyjemności. Myślała o kotach w rui, ocierających się o drewniane płoty i miauczających boleśnie. To było żalosne, prymitywne,

to dotykanie, popychanie i ściskanie. Gąbczaste tkanki, rozpalone błony, drażnione zakończenia nerwowe, zawstydzające zapachy; upokorzenie.

Wszystko to się zaczynało. Jego dłoń, której nigdy nie chciałyby dotknąć, uścisnąć, jego uparta, cierpliwa dłoń umiała w końcu obudzić podstępłą zmysłowość, sprawić, by paprocie zaszeleściły, strumienie popłynęły.

Mimo to wołałyby, żeby tak się nie stało. Wciąż wołałyby, żeby się nie stało. Proszę, zabierz to, powiedziała do okna. Przestań, proszę, powiedziała do pni i stodół. Ręka przesuwała się coraz wyżej, dotknęła gołej skóry nad pończochą, wsunęła się pod pas do pończoch, dotarła do majtek i podbrzusza. Rose w dalszym ciągu miała nogi skrzyżowane, zaciśnięte. Dopóki je zaciskała, mogła mieć pretensje do niewinności, niczego do siebie nie dopuszczała. Wciąż mogła wierzyć, że wszystko za chwilę się skończy. Nic więcej się nie stanie. Jej nogi nigdy się nie rozchyła.

A jednak się rozchyliły. Gdy pociąg przejeżdżał przez Niagara Escarpment nad Dundas, gdy patrzyli w dół na przedlodowcową dolinę, na skupisko małych pagórków pokrytych srebrzystymi lasami, zjeżdżając ku brzegom jeziora Ontario, powoli złożyła tę milczącą i wiążącą deklarację, być może na równi rozczarowując i satysfakcjonując właściciela ręki. Nie uniósł opuszczonych powiek, jego twarz nie zmieniła wyrazu, palce nie zawahały się ani przez chwilę, lecz wzięły się do pracy, skutecznie i dyskretnie. Inwazja i powitanie, i słońce odbijające się w tafli jeziora; kilometry nagich sadów otaczających Burlington.

To była hańba, to był upadek. Ale co w tym złego, myślimy w takich chwilach, im gorzej, tym lepiej, gdy unosimy się na zimnej fali żądz, zachłannego przyzwolenia. Ręka nieznanego czy warzywa korzeniowe, czy skromne kuchenne narzędzia, o których ludzie opowiadają kawały; świat pełen jest niewinnie wyglądających przedmiotów, gotowych się zdeklarować, śliskich i uczynnych. Uważała na oddech. Nie mogła w to uwierzyć. Ofiara i zarazem współniczka, uwożona pociągiem wzdłuż zakładów Glassco Jams and Marmalades, wzdłuż wielkich tętniących rur rafinerii ropy naftowej. Pociąg wtoczył się na przedmieścia, gdzie łopotały na sznurach poplamione intymnymi wydzielinami prześcieradła i ręczniki, gdzie nawet dzieci zdawały się lubieżnie dokazywać na szkolnych dziedzińcach, a kierowcy ciężarówek zatrzymani przed przejazdami kolejowymi radośnie grzali gruchy w stulonych dłoniach. Takie przemysłne figle, takie powszechne widoki. Oczom pasażerów ukazały się bramy i wieże terenów wystawowych, malowane kopuły i filary cudownie przepływały na tle zaróżowionego nieba, po czym uroczyście się oddalały. Można było mieć pod jedną wielką kopułą takie stado ptaków, nawet dzikich łabędzi, budzących się i frunących ku niebu.

Przygryzła koniuszek języka. Wkrótce konduktor przeszedł przez pociąg, budząc podróżnych, przywołując ich z powrotem do życia.

W cieniu zadaszenia stacji pastor Zjednoczonego Kościoła otworzył oczy, złożył gazetę, po czym spytał, czy pomóc jej z płaszczem. Jego galanteria była pełna samozadowolenia, lekceważenia. Nie, odparła Rose, czując suchość w ustach. Śpiesznie

wysiadł z pociągu, dużo wcześniej przed nią. Nie widziała go na dworcu. Nie spotkała go już nigdy w życiu. Ale przez całe lata był, by tak rzec, do dyspozycji, gotów wślizgnąć się na miejsce w krytycznym momencie, nie zważając później na męża czy kochanków. Co za nim przemawiało? Nigdy nie zdołała tego zrozumieć. Jego prostota, arogancja, przewrotnie atrakcyjna brzydota czy brak zwyczajnej dojrzałej męskości? Gdy wstał, zobaczyła, że jest nawet niższy, niż myślała, twarz miał różową i świecąca, było w nim coś prymitywnego, nachalnego i dziecinnego.

Naprawdę był pastorem czy tylko tak mówił? Flo wspominała o mężczyznach przebranych za pastorów, a nie o prawdziwych pastorach ubranych po cywilnemu. Albo, co jeszcze dziwniejsze, o mężczyznach niebędących prawdziwymi pastorami, udających, że są prawdziwi, chociaż ubranych, jak gdyby nie byli. Ale to, że zbliżyła się tak bardzo do czegoś, co mogło się zdarzyć, było niemiłe. Rose szła przez Union Station, czując, jak mała torebka z dziesięcioma dolarami ociera się o jej skórę. Wiedziała, że będzie czuła ją przez cały dzień, że będzie jej przypominała o tym, co się stało.

Nawet w tej sytuacji nie mogła zapomnieć o tym, co słyszała od Flo. Wiązało się to z opowieścią macochy o dziewczynie o imieniu Mavis, która pracowała w sklepie z pamiątkami właśnie na Union Station, w czasie gdy Flo była kelnerką w barze kawowym. Mavis miała brodawki na powiekach, które wyglądały, jak gdyby miały się zamienić w jęczmień, ale tak się nie stało, zniknęły. Być może je usunęła, Flo nie pytała jej o to. Bez nich była atrakcyjna, bardzo podobna do gwiaz-

dy filmowej z tamtych czasów, która nazywała się Frances Farmer.

Frances Farmer. Rose nigdy o niej nie słyszała.

Tak się nazywała. I Mavis kupiła sobie duży kapelusz, który przesłaniał jej jedno oko, i koronkową suknię. Wybrała się na weekend nad Georgian Bay, do kurortu. Zameldowała się tam pod nazwiskiem Florence Farmer, żeby wywołać u wszystkich wrażenie, że tak naprawdę jest Frances Farmer, tylko przebywa incognito na wakacjach, nie chce być rozpoznana. Miała małą czarną cygarniczkę z masy perłowej. Mogli ją aresztować, powiedziała Flo. Za bezczelność.

Rose omal nie poszła do sklepu z pamiątkami, żeby sprawdzić, czy Mavis nadal tam pracuje. Była ciekawa, czy rozpoznałaby ją. Pomyślała, że cudownie byłoby ulec takiej transformacji. Odważyć się; uciec, przeżyć absurdalne przygody na własnej, choć nowo nazwanej, skórze.

Zebraczka

Patrick Blanchford zakochał się w Rose. Kompletnie oszalał na jej punkcie. Dla niej było to nieustającym zaskoczeniem. Pragnął się z nią ożenić. Czekał na nią po lekcjach, podchodził i szedł obok niej, tak że każdy, z kim rozmawiała, musiał go zauważyć. Nie odzywał się, gdy w pobliżu były jej koleżanki z klasy, ale starał się napotkać jej wzrok, by dać jej do zrozumienia zimnym i pełnym niedowierzania spojrzeniem, co sądzi o ich rozmowie. Rose to pochlebiało, ale była zdenerwowana. Nancy Falls, przyjaciółka Rose, niewłaściwie wymówiła przy nim nazwisko Metternicha.

– Ja możesz się przyjaźnić z kimś takim? – spytał później.

Nancy i Rose udały się razem do Victoria Hospital, żeby oddać krew za pieniądze. Dostały po piętnaście dolarów. Większość pieniędzy wydały na wieczorowe pantofelki, srebrne sandaalki, jakie noszą dziwki. Później (ponieważ były pewne, że utrata krwi spowodowała również utratę wagi) wybrały się do Boomers na deser lodowy z gorącą polewą. Dlaczego Rose nie potrafiła bronić Nancy przed Patrickiem?

Patrick miał dwadzieścia cztery lata, ukończył już studia i zamierzał zostać nauczycielem historii. Był wysoki, szczupły,

jasnowłosa i przystojny, mimo że lekko szpeciło go podługowate bladoczerwone znamię, spływające niczym łza wzdłuż skroni i policzka. Przepraszał za nie i tłumaczył, że z wiekiem coraz bardziej blednie. Kiedy osiągnął czterdziestkę, całkiem zniknęło. Ale Rose uważała, że to nie znamię było mankamentem jego męskiej urody. (Czegoś mu brakowało, a przynajmniej jej coś w nim przeszkadzało.) Był jakiś zirytowany, nerwowy, niepokojący. W chwilach stresu głos mu się łamał – przy niej wydawał się zawsze zestresowany – strącał ze stołu talerze i filiżanki, rozlewał napoje, wysypywał fistaszki z miseczek, niczym komik. Nie był komikiem. Było to najdalsze od jego intencji. Pochodził z Kolumbii Brytyjskiej, z bogatej rodziny.

Kiedyś, gdy wybierali się z Rose do kina, przyjechał po nią za wcześnie. Nie zapukał, wiedząc, że jest przed czasem. Usiadł na stopniach przed drzwiami doktor Henshawe. Była zima, wcześniej się ściemniło, ale przy drzwiach wisiła latarenka z bryczki.

– Och, Rose! Chodź tu i popatrz! – zawołała doktor Henshawe cichym, rozbawionym głosem i obie wyjrzały przez ciemne okno gabinetu. – Biedny młodzieniec – powiedziała czule. Doktor Henshawe była dawną nauczycielką angielskiego, po siedemdziesiątce, wymagającą i pełną życia. Utykała na jedną nogę, ale wciąż młodzieńczo, uroczo przechylała głowę z upiętym w koronę siwym warkoczem.

Współczuła Patrickowi, ponieważ był zakochany, a może też dlatego, że był mężczyzną, skazanym na to, by się przepychać

i popępiać gafy. Nawet oglądany z góry, siedzący na mrozie, wydawał się uparty i żalorny, zdeterminowany i pełen nadziei.

– Pilnuje drzwi – zauważyła doktor Henshawe. – Och, Rose! Kiedy indziej powiedziała niepokojąco:

– O Boże, obawiam się, że uganiam się za niewłaściwą dziewczyną.

Rose nie podobało się, że tak mówi. Nie podobało się jej, że śmieje się z Patricka, ale też nie lubiła, gdy Patrick siedział tak na schodkach. Sam się prosił, żeby się z niego śmiać. Był najbardziej bezbronną osobą, jaką kiedykolwiek знаła, i to na własne życzenie, nie potrafił się sam bronić. Ale głosił też wiele bezlitosnych opinii, był zarozumiały.

– Jesteś stypendystką, Rose – mawiała doktor Henshawe. – To cię zainteresuje. – Potem czytała coś na głos z gazety albo, częściej, z „Canadian Forum” lub „The Atlantic Monthly”. Doktor Henshawe była jednocześnie przewodniczącą rady szkoły i członkiem założycielem partii Co-operative Commonwealth Federation. Wciąż była członkiem różnych komisji, pisała listy do gazet, recenzowała książki. Jej rodzice byli lekarzami-misjonarzami; urodziła się w Chinach. Jej dom był nieduży i nienaganny. Wyfroterowane do połysku podłogi, jaskrawe dywaniki, chińskie wazy, misy i pejzaże, czarne rzeźbione parawany. Wiele z tych rzeczy nie podobało się Rose w tamtych czasach. Nie umiała odróżnić małych zwierzątek z nefrytu na gzymsie kominka doktor Henshawe od bibelotów na wystawie sklepu jubilerskiego w Hanratty, choć już

teraz odróżniała każdą z tych rzeczy od przedmiotów, które Flo kupowała w tanim wielobranżowym sklepie.

Nie potrafiła się właściwie zdecydować, czy lubi mieszkać u doktor Henshawe. Czasami czuła się zniechęcona, siedząc w jadalni z lnianą serwetką na kolanach i jedząc z eleganckich białych talerzy, ustawionych na niebieskich podkładkach. Działo się tak z jednego powodu – jedzenia nigdy nie było dość i musiała kupować pączki i czekoladowe batoniki, które chowała w swoim pokoju. Kanarek huśtał się na żerdce w oknie jadalni, a doktor Henshawe sterowała rozmową. Opowiadała o politykach, o pisarzach. Wspominała Franka Scotta i Dorothy Livesay. Mówiła, że Rose musi ich znać. Rose musiała czytać to, musiała czytać tamto. I coraz bardziej się buntowała. Czytała Tomasza Manna. Czytała Tolstoja.

Zanim Rose trafiła do doktor Henshawe, nigdy nie słyszała o klasie robotniczej. Zniosła to określenie do domu.

– To chyba ostatnia dzielnica miasta, gdzie zakładają kanalizację – powiedziała Flo.

– Oczywiście – odparła chłodnym tonem Rose. – To dzielnica, którą zamieszkuje klasa robotnicza.

– Klasa robotnicza? – spytała Flo. – Tak jakby to zależało od tych, co tu mieszkają.

Przebywanie u doktor Henshawe sprawiło jedno. Zniszczyło naturalność domu, pochodzenie, uważane za rzecz oczywistą. Gdy Rose tam wracała, wszystko wydawało jej się prymitywne. Flo kazała zainstalować świetlówki w sklepie i w kuchni. Rose zauważyła również w kącie kuchni nowy nabytek – lampę stojącą, którą Flo wygrała w bingo. Abażur wciąż jeszcze był owinięty

szerokimi paskami celofanu. Zdaniem Rose dom doktor Henshawe i dom Flo wzajemnie się dyskredytowały. W uroczych pokojach doktor Henshawe brakowało Rose domowej atmosfery, natomiast w domu rodzinnym, ze swym nowo nabytym wyczuciem ładu i harmonii, dostrzegła żenujące, smutne ubóstwo u ludzi, którzy nigdy nie uważali się za ubogich. Bieda nie jest tylko niedolą, jak zdawała się uważać doktor Henshawe, nie tylko niedostatkiem. Oznacza, że ktoś ma te brzydkie świetlówki i jest z tego dumny. Oznacza nieustanne rozmowy o pieniądzach i złośliwe uwagi o nowych przedmiotach, które kupili inni ludzie, i podawanie w wątpliwość, czy za to zapłacili. Oznacza dumę i zazdrość, wybuchającą z powodu nowych plastikowych zasłon, imitujących koronkowe, które Flo kupiła i zawiesiła w oknie od ulicy. Jak również wieszanie ubrań na gwoździu i słuchanie wszystkich odgłosów dobiegających z łazienki. I dekorowanie ścian różnymi przestrogami, pobożnymi i radosnymi, a czasem lekko nieprzyzwoitymi.

PAN JEST MOIM PASTERZEM

WIERZCIE W IMIĘ JEZUSA CHRYSZTUSA,

A BĘDZIECIE ZBAWIENI

Dlaczego Flo to robiła, skoro w ogóle nie była religijna? Były tam również takie, jakie zwykle wieszają ludzie.

TO MOJA KUCHNIA I BĘDĘ W NIEJ

ROBIŁA, CO MI SIĘ PODOBA

WIĘCEJ NIŻ DWIE OSOBY W ŁÓŻKU
JEST NIEBEZPIECZNE I NIELEGALNE

To ostatnie przyniósł Billy Pope. Co powiedziałyby o nich Patrick? Co ktoś, kogo razi nieprawidłowa wymowa nazwiska Metternich, sądziłyby o opowieściach Billy'ego Pope'a?

Billy Pope pracował w sklepie mięsnym Tyde'a. O czym mówił teraz najczęściej? O D.P., Belgu, który zaczął tam pracować i grał Billy'emu na nerwach bezczelnym śpiewaniem francuskich piosenek i naiwnymi wyobrażeniami, że urządzi się w tym kraju i sam zostanie właścicielem sklepu mięsnego.

– Niech ci się nie wydaje, że możesz przychodzić tutaj i przechwalać się swoimi pomysłami – rzekł Billy Pope do D.P. – To ty pracujesz u nas i nie myśl, że się to zmieni i my będziemy pracować u ciebie. – I to, podsumował Billy Pope, zamknęło dziób D.P.

Patrick napomykał od czasu do czasu, że skoro do West Hanratty jest tak blisko (zaledwie osiemdziesiąt kilometrów), powinni tam razem pojechać. Chciałyby poznać rodzinę Rose.

– Mam jedynie macochę.

– Szkoda, że nie mogłem poznać twojego ojca.

Pochopnie przedstawiła Patrickowi swego ojca jako czytelnika książek historycznych, historyka amatora. Nie było to tak całkiem kłamstwo, ale też nie dawało prawdziwego obrazu sytuacji.

– Czy macocha jest twoim opiekunem prawnym?

Rose była zmuszona odpowiedzieć, że nie ma pojęcia.

– No ale twój ojciec musiał wyznaczyć opiekuna prawnego w testamencie. Kto zarządza jego majątkiem?

„Jego majątkiem”. Rose zawsze myślała, że majątek to posiadłość ziemską, tak jak w Anglii.

Patrick uważał, że jej niewiedza jest urocza.

– Nie, to jego pieniądze, akcje i tak dalej. To, co zostawił.

– Nie wydaje mi się, żeby coś zostawił.

– Nie bądź niemądra – rzekł Patrick.

Czasami doktor Henshawe mówiła:

– Cóż, ty jesteś stypendystką, ciebie to nie interesuje.

Zwykle miała na myśli jakieś wydarzenie w college'u; wiec dopingujący przed meczem, mecz futbolowy, tańce. I zwykle miała rację. Rose to nie interesowało. Tyle że niechętnie się do tego przyznawała. Nie szukała takiego zaszufładowania siebie ani się z niego nie cieszyła.

Na ścianie przy schodach wisiały zdjęcia wszystkich innych stypendystek, które mieszkały u doktor Henshawe. Większość z nich została nauczycielkami, następnie matkami. Jedna była dietetyczką, dwie bibliotekarkami, inna – podobnie jak doktor Henshawe – nauczycielką angielskiego. Rose nie podobał się ich wygląd, ich potulny uśmiech wdzięczności, ich duże zęby i dziewczęce fryzury. Miała wrażenie, jak gdyby nakłaniały ją do jakiejś śmiertelnie nudnej świeckiej pobożności. Nie było wśród nich aktorek, dziennikarek postępowych czasopism; żadna nie prowadziła takiego życia, jakiego Rose pragnęła dla siebie. Chciała występować publicznie. Wydawało się jej, że chce zostać aktorką, ale nigdy nie próbowała grać, bała się,

w szkole trzymała się z dala od przedstawień. Zdawała sobie sprawę, że nie potrafi śpiewać ani tańczyć. Chętnie grałaby na harfie, ale nie miała słuchu. Marzyła o tym, żeby być sławną, szczupłą i zdolną, żeby jej zazdroszczono. Powiedziała doktor Henshaw, że gdyby była mężczyzną, zostałaby korespondentem zagranicznym.

– Wobec tego musisz nim zostać – wykrzyknęła z zapałem doktor Henshaw. – Teraz kobiety mają przed sobą przyszłość. Musisz się skoncentrować na językach. I chodzić na zajęcia z nauk politycznych i ekonomii. Może uda ci się dostać latem pracę w gazecie. Mam tam przyjaciół.

Rose była przerażona perspektywą pracy w gazecie i nienawidziła kursu z ekonomii dla początkujących. Szukała sposobu, by się od tego wymigać. Niebezpiecznie było wspominać doktor Henshaw o pewnych sprawach.

Zamieszkała z doktor Henshaw przez przypadek. Wybrano inną dziewczynę, ale się rozchorowała. Miała gruźlicę i musiała wyjechać do sanatorium. Doktor Henshaw zjawiła się w kancelarii college' u w drugim dniu rejestracji, żeby poprosić o nazwiska innych nowych stypendystek.

Rose była w kancelarii chwilę wcześniej, pytała, gdzie odbędzie się spotkanie stypendystów. Zgubiła swoje zawiadomienie. Kwestor rozmawiał z nowymi stypendystami, informując ich, w jaki sposób mogą zarobić pieniądze, znaleźć tanie kwatery, i czego się od nich oczekuje, jeśli chcą utrzymać stypendium.

Rose dowiedziała się, jaki jest numer pokoju, i ruszyła po schodach na pierwsze piętro.

– Też się wybierasz do trzy-zero-dwanaście? – spytała idąca obok dziewczyna.

Szły razem, opowiadając sobie nawzajem o szczegółach swoich stypendiów. Rose nie miała jeszcze kwatery, zatrzymała się w YMCA. Tak naprawdę w ogóle nie było jej stać na to, żeby tam mieszkać. Stypendium musiało wystarczyć na czesne, nagroda od władz hrabstwa na książki, a za trzysta dolarów musiała przeżyć.

– Musisz mieć jakąś pracę – powiedziała dziewczyna. Miała wyższe stypendium, ponieważ studiowała nauki ścisłe („Oto, gdzie są pieniądze, pieniądze są tylko w naukach ścisłych”, mówiła całkiem poważnie), ale spodziewała się dostać pracę w stółwce. Wynajmowała u kogoś pokój w suterenie. Ile płacisz za pokój, ile kosztuje przenośna kuchenka elektryczna, wypytywała ją Rose, w głowie jej się kręciło od budzących niepokój obliczeń.

Dziewczyna miała włosy zwinięte w walek, bluzkę z krepy, poźółkłą i wyświeconą od prania i prasowania. Piersi duże i obwisłe. Brudnoróżowy biustonosz, zapięty z boku na haftki. Na jednym policzku łuszczącą się plamę.

– To chyba tutaj – powiedziała.

W drzwiach było małe okienko. Widziały przez nie czekających już innych zdobywców stypendiów. Rose wydawało się, że dostrzegła kilka dziewcząt, równie korpulentnych i przygarbionych jak jej towarzyszka, oraz kilku jasnookich, zadowolonych z siebie chłopców o dziecinnym wyglądem. Wydawało się, że z reguły stypendystki wyglądają na dojrzałe kobiety, a stypendyści na dwunastoletnie dzieci. Oczywiście było

niemożliwe, żeby wszyscy tak wyglądali. Było niemożliwe, żeby rzucając jedno spojrzenie przez okienko, Rose mogła dostrzec ślady egzemy, mokre plamy pod pachami, łupież, osad na zębach i zaschnięte śpiochy w kącikach oczu. Wymyśliła to sobie. Ale unosiła się nad nimi chmura, tu się nie myliła, autentyczna okropna chmura zapału i uległości. Czy inaczej potrafiliby udzielić tylu właściwych odpowiedzi, tylu miłych odpowiedzi, czy inaczej wyróżnialiby się czymś i dostali tutaj? I Rose zrobiła to samo.

– Muszę iść do kibla – powiedziała.

Wyobrażała sobie siebie pracującą w stołówce. Jej figurę, i tak już dosyć pełną, poszerzałby jeszcze bardziej zielony bawełniany fartuch, od gorąca twarz miałaby czerwoną i włosy w strąkach. Serwowałaby gulasz i smażonego kurczaka tym o niższej inteligencji i przystojniejszym. Zablokowana przez parowe podgrzewacze, przez fartuch, przez ciężką, przyzwoitą pracę, której nikt nie powinien się wstydzić, przez publicznie ogłoszoną inteligencję i biedę. Chłopcom prawie uchodzi to na sucho. Dla dziewcząt jest fatalne. Ubóstwo u dziewcząt nie jest pociągające, chyba że w połączeniu z uroczym rozmawianiem, głupotą. Inteligencja nie jest pociągająca, chyba że w połączeniu z elegancją; klasą. Czy była to prawda, czy też Rose była na tyle głupia, by się przejmować? I jedno, i drugie.

Wróciła na pierwsze piętro, gdzie sale wypełniali zwykli studenci, nie stypendyści, od których nie oczekiwano, żeby dostawali najwyższe oceny, byli wdzięczni i tanio żyli. O statusie godnym pozazdroszczenia, niewinni, kręcili się przy stanowiskach rejestracji w swoich nowych fioletowo-białych bleze-

rach, fioletowych czapeczkach, ponagając się nawzajem, wymieniając beładne informacje, obrzucając się bezsensownymi obelgami. Przechodziła między nimi, czując się dużo lepsza i przygnębiona. Spódnica zielonej sztruksowej garsonki plątała się jej między nogami. Materiał był słaby; powinna była wydać więcej pieniędzy i kupić coś porządniejszego. Pomyślała, że żakiet też nie jest odpowiednio skrojony, chociaż w domu wydawał się jej całkiem w porządku. Całą garsonkę uszyła krawcowa w Hanratty, przyjaciółka Flo, której chodziło głównie o to, żeby zatuszować figurę. Kiedy Rose spytała, czy spódnica nie mogłaby być trochę bardziej obcisła, kobieta odparła:

– Chyba nie chciałabyś, żeby ci się opinała na tyłku, co? – A Rose nie odważyła się odpowiedzieć, że ma to gdzieś.

Potem krawcowa zauważyła jeszcze:

– Myślałam, że teraz, skoro już ukończyłaś szkołę, poszukasz pracy i pomożesz w domu.

Kobieta idąca przez hol zatrzymała Rose.

– Jesteś może jedną ze stypendystek?

Była to sekretarka kierownika dziekanatu. Rose pomyślała, że zaraz udzieli jej reprimendy za to, że nie była na spotkaniu, i zamierzała skłamać, że źle się poczuła. Zrobiła odpowiednią minę, ale sekretarka powiedziała tylko:

– Chodź ze mną. Jest u mnie ktoś, kto chciałby się z tobą spotkać.

Doktor Henshawe z wdziękiem naprzykrzała się w kancelarii. Lubiała biedne, bystre dziewczyny, ale musiały też być ładne.

– To może być twój szczęśliwy dzień – oznajmiła sekretarka, prowadząc Rose. – Tylko zrób trochę sympatyczniejszą minę.

Rose nie miała ochoty słuchać takich uwag, lecz uśmiechnęła się posłusznie.

Nie minęła nawet godzina, gdy znalazła się w domu doktor Henshawe, wśród chińskich parawanów i wazonów.

Zamiast w stołówce, dostała pracę w uczelnianej bibliotece. Doktor Henshawe przyjaźniła się z kierowniczką. Rose pracowała w sobotnie popołudnia, układała książki na regałach. Jesienią biblioteka była w takie dni niemal pusta z powodu rozgrywek futbolowych. Wąskie okna wychodziły na zielony kampus, na boisko do gry w piłkę, na jesienny krajobraz. Z oddali niosły się śpiewy i okrzyki.

Budynki college'u nie były stare, ale zbudowane z kamienia w taki sposób, by na stare wyglądały. Gmach nauk humanistycznych miał wieżę, a biblioteka skrzydłowe okna, które prawdopodobnie zaprojektowano tak, by można było strzelać przez nie z łuku. Oprócz książek w bibliotece właśnie budynki sprawiały Rose największą przyjemność. Zwykle tętniły życiem, ale teraz życie w nich wygasło, skoncentrowało się na boisku do gry w futbol, skąd dobiegały owe dźwięki, które wydawały jej się niestosowne i drażniące. Okrzyki i śpiewy były idiotyczne, jeśli wsłuchać się w słowa. Po co wznosili te wspaniałe budowle, skoro teraz śpiewają takie piosenki?

Była na tyle mądra, by nie zdradzać się ze swoimi opiniami. Gdyby ktoś powiedział: „Okropne, że musisz pracować w sobotę i nie możesz obejrzeć żadnego meczu”, ochocho by mu przytaknęła.

Pewnego razu jakiś mężczyzna złapał ją za gołą nogę, między skarpetką a spódnicą. Zdarzyło się to w dziale rolnictwa, na końcu regałów. Do regałów mieli dostęp tylko wykładowcy, studenci podyplomowi i pracownicy, ale ktoś szczupły mógł się wdrapać przez okno na parterze. Zauważyła jakiegoś mężczyznę, który, przykucnąwszy trochę dalej, oglądał książki na dolnej półce. Gdy sięgnęła, by wstawić książkę na miejsce, przeszedł obok niej. Pochylił się i złapał ją za nogę, jednym spokojnym, zaskakującym ruchem, i już go nie było. Przez chwilę czuła, jak jego palce wpijają się w jej ciało. Nie wyglądało to na erotyczny dotyk, raczej żart, choć nie był on wcale przyjazny. Słyszała, jak odbiega, wprawiając w wibrację metalowe półki. Potem wszystko ucichło. Przeszła się, zaglądając między regały i rzucając okiem na stanowiska do czytania. Przypuśćmy, że zobaczyłaby go lub wpadła na niego za rogiem. Co by wtedy zrobiła? Nie miała pojęcia. Po prostu musiała na niego spojrzeć, jak w jakiejś pełnej napięcia dziecinnej grze. Spuściła wzrok, przyglądając się swej solidnej różowawej lydce. Zdumiona, że ni stąd, ni zowąd ktoś miał ochotę ją źle potraktować.

Zwykle na stanowiskach do czytania pracowało kilku studentów podyplomowych, nawet w sobotnie popołudnia. Rzadziej zdarzał się jakiś wykładowca. Wszystkie stanowiska, do których zaglądała, były puste, aż dotarła do jednego w samym rogu. Wetknęła bezceremonialnie głowę, nie spodziewając się zastać tam kogoś. Musiała jednak przeprosić.

Siedział tam młody mężczyzna z książką na kolanach, wokół niego na podłodze leżały książki, a na biurku sterty papierów.

Rose zapytała, czy przypadkiem nie zauważył kogoś, kto tędy przebiegał. Odparł, że nie.

Zrelacjonowała mu, co się stało. Nie dlatego, że była przestraszona czy zdegustowana, jak chyba później pomyślał, ale po prostu musiała komuś o tym powiedzieć; było to takie dziwne. Zupełnie nie była przygotowana na jego reakcję. Długa szyja i twarz mu poczerwieniały, tak że nawet przestało być widoczne znamię na policzku. Był szczupły i jasnowłosy. Wstał gwałtownie, zapominając o książce na kolanach i papierach na biurku. Książka spadła z hukiem na podłogę. Wielka sterta papierów, przesunięta przy tym ruchu, zachwiała buteleczką atramentu.

– Co za obrzydliwość! – zawołał.

– Łap atrament – przestrzegła go Rose. Pochylił się, chcąc chwycić buteleczkę, i strącił ją na podłogę. Na szczęście była zakręcona i nie stuknęła się.

– Zrobił ci krzywdę?

– Nie, właściwie nie.

– Chodźmy na górę. Trzeba o tym zameldować.

– Ach, nie.

– Nie może mu to ujść na sucho. Niech wie, że nie wolno robić takich rzeczy.

– Tam nikogo nie ma – odrzekła Rose z ulgą. – Bibliotekarka wychodzi w soboty o dwunastej.

– Obrzydliwe – powtórzył wysokim, przejętym głosem. Rose żałowała, że w ogóle mu o tym napomknęła, i powiedziała, że musi wracać do pracy.

– Naprawdę nic ci nie jest?

– Ależ nic.

– Będę tutaj. Zawołaj mnie, gdyby się znowu pojawił.

To cały Patrick. Gdyby starała się go w sobie rozkochać, nie mogłaby wybrać lepszego sposobu. Miał rycerskie poglądy, ale udawał, że je wykpiwa, używając niektórych słów i wyrażeń jak gdyby w cudzysłowie. „Płec piękna”, powiedziałby, „młoda dama w opałach”. Przychodząc do niego z tą historią, Rose stała się młodą damą w opałach. Udawana ironia nikogo by nie wywiodła w pole. Było jasne, że naprawdę pragnął działać w świecie rycerzy i dam, zniewag, poświęceń.

Widywała go w bibliotece w każdą sobotę i często spotykała na kampusie albo w stołówce. Pozdrowił ją uprzejmie, pytając: „Jak się masz?” takim tonem, jak gdyby podejrzewał, że ktoś znowu ją napastował albo że wciąż jeszcze nie doszła do siebie po tamtym. Zawsze rumienił się na jej widok, a Rose myślała, że czuje się zażenowany na wspomnienie tego, o czym mu opowiedziała. Później dotarło do niej, że się w niej zakochał.

Dowiedział się, jak się nazywa i gdzie mieszka. Zadzwonił do niej do domu doktor Henshawe i zaprosił ją do kina. W pierwszej chwili, gdy się przedstawił: „Mówi Patrick Blatchford”, nie wiedziała, o kogo chodzi, ale zaraz poznała jego wysoki, lekko urażony i drżący głos. Przyjęła zaproszenie. Częściowo dlatego, że doktor Henshawe zawsze powtarzała, jak bardzo się cieszy, iż Rose nie traci czasu, włócząc się z chłopakami.

Wkrótce po tym, jak zaczęła się umawiać z Patrickiem, spytała:

– Czy nie byłoby zabawne, gdybyś to ty złapał mnie za nogę tamtego dnia w bibliotece?

On tak nie uważał. Był przerażony, że coś takiego przyszło jej do głowy.

Uspokoiła go, że tylko żartowała. Miała na myśli, że byłby to zaskakujący zwrot akcji w książce; może w powieści Maughama lub w filmie Hitchcocka. Właśnie byli w kinie na filmie Hitchcocka.

– Wiesz, gdyby Hitchcock nakręcił o nas film, mógłbyś mieć rozdwojenie jaźni. Byłbyś nieśmiałym uczonym, który czasami zmienia się w nienasyconego, odrażającego człowieka.

To również mu się nie spodobało.

– Według ciebie wyglądam jak nieśmiały uczonec? – Usłyszała w jego głosie niższe, warkliwe nuty, cofnął brodę, jak gdyby dla żartu. Ale rzadko z nią żartował. Uważał, że nie wypada żartować, kiedy jest się zakochanym.

– Przecież nie powiedziałam, że to ty jesteś tym człowiekiem. To był tylko taki pomysł.

– Nie jestem chyba szczególnie męski.

Była zaskoczona i zirytowana tym wyznaniem. Mocno zaryzykował. Czy nikt nigdy mu nie powiedział, by nie podejmował takiego ryzyka? Ale może wcale go nie podjął. Może liczył, że Rose powie coś dodającego otuchy. Ona jednak, choć czuła wewnętrzny opór, potwierdziła rozsądnie:

– No cóż, to prawda.

Ale szczerze mówiąc, nie była to prawda. Dla niej był męski. Ponieważ jednak zaryzykował. Tylko prawdziwy mężczyzna może być taki nieostrożny i wymagający.

– Pochodzimy z dwóch różnych światów – powiedziała mu przy innej okazji. Mówiąc to, czuła się jak bohaterka jakiegś

sztuki. – Moi rodzice są biedni. Uznałbyś miejsce, w którym mieszkam, za norę.

Teraz to ona była nieuczciwa, udając, że zdaje się na jego łaskę, ponieważ oczywiście nie spodziewała się, że powie: Och, cóż, twoja rodzina jest biedna, mieszkasz w norze, będę więc musiał wycofać moją propozycję.

– Ale ja się cieszę – rzekł Patrick. – Cieszę się, że jesteś biedna. Jesteś taka śliczna. Przypominasz Żebraczkę.

– Kogo?

– No, wiesz, z obrazu *Król Kofetua i Żebraczka**. Nie znasz tego obrazu?

Patrick miał pewną manierę – nie, to nie była maniera, raczej sposób wyrażania zdziwienia, dość pogardliwego zdziwienia, gdy ludzie nie wiedzieli czegoś, co on wiedział. Jego arogancja i skromność były jednakowo przesadne. Po pewnym czasie Rose doszła do wniosku, że ta arogancja musi wpływać z zamożności, chociaż Patrick nigdy nie był arogancki z powodu samego bogactwa. Gdy poznała jego siostry, okazało się, że są pod pewnymi względami bardzo do niego podobne, zdegustowane każdym, kto nie znał się na koniach lub żeglowaniu, i równie zdegustowane każdym, kto znał się, powiedzmy, na muzyce lub na polityce. Patrick i jego siostry, gdy byli razem, zdawali się wprost emanować niesmakiem. Ale czy Billy Pope albo Flo nie zachowywali się równie arogancko? Możliwe. Była jednak pewna różnica, a mianowicie Billy Pope i Flo nie byli chronieni. Wszystko i wszyscy mogli się do nich dostać:

* Obraz Edwarda Burne-Jonesa (przyp. red.).

policja; ludzie mówiący w radiu po francusku; zmiany. Patrick i jego siostry zachowywali się, jak gdyby im to nigdy nie groziło. Ich głosy, gdy kłócili się przy stole, były zdumiewająco dziecinne; ich domaganie się jedzenia, które lubili, ich humory, gdy zobaczyli na stole coś, czego nie lubili – zachowywali się naprawdę jak dzieci. Nigdy nie musieli nikomu ustępować, nabierać oglądy, zdobywać przychylności świata, nigdy nie będą musieli, ponieważ są bogaci.

Na początku znajomości Rose nie miała pojęcia, jak zaможny jest Patrick. Nikt jej nie wierzył. Wszyscy uważali, że jest wyrachowana i sprytna, a ona była od tego daleka i naprawdę jej nie obchodziło, co ludzie sobie myślą. Okazało się, że inne dziewczęta próbowały, ale nie uderzyły w odpowiednią nutę. Starsze studentki, członkinie żeńskiej korporacji, które do tej pory jej nie zauważały, zaczęły spoglądać na nią z ciekawością i szacunkiem. Nawet doktor Henshawe, gdy się zorientowała, że sprawa jest poważniejsza, niż przypuszczała, uznała, że Rose ma chętkę na pieniądze.

– To niemały triumf zwrócić na siebie uwagę dziedzica imperium handlowego – zauważyła ironicznie i poważnie zarazem. – Nie gardzę bogactwem. Czasami chciałabym mieć jego cząstkę. (Naprawdę uważała, że nie ma?) Jestem pewna, że nuczysz się, jak zrobić z niego dobry użytek. Ale co z twoimi ambicjami, Rose? Co ze studiami i dyplomem? Zapomniesz o tym?

„Imperium handlowe” było określeniem raczej na wyrost. Rodzina Patricka miała sieć domów towarowych w Kolumbii Brytyjskiej. Patrick powiedział Rose tylko tyle, że ojciec

ma kilka sklepów. Kiedy mówiła o „dwóch różnych światach”, miała na myśli, że pewnie mieszka w jakimś solidnym domu, takim jak te w sąsiedztwie doktor Henshawe. Pomyślała o najbogatszych kupcach w Hanratty. Nie zdawała sobie sprawy, jakiego wyczynu dokonała, ponieważ dla niej byłoby osiągnięciem, gdyby zakochał się w niej syn rzeźnika lub jubilera. Ludzie powiedzieliby, że się jej powiodło.

Obejrzała ten obraz. Znalazła reprodukcję w albumie z malarstwem w bibliotece. Przyglądała się Żebraczce, potulnej i zmysłowej, o białych wstydlivych stopach. To bojaźliwe poddanie się, ta bezradność i wdzięczność. Tak właśnie Patrick postrzegał Rose? Rzeczywiście może taka być? Potrzebowała takiego króla, smagłego i bystrego, na jakiego wyglądał, nawet ogarnięty namiętnością, mężczyzna z obrazu, przebiegłego i barbarzyńskiego. Rozpłynęłaby się przy nim, poddała jego gwałtownej żądzy. Przy nim nie byłoby przeproszenia, oporów, nieufności, które dochodziły do głosu w stosunkach z Patrickiem.

Nie mogła odrzucić Patricka. Nie potrafiła. Nie chodziło o wielkie pieniądze, lecz o wielką miłość, jaką jej ofiarowywał. Nie wolno jej było tego zignorować. Wierzyła, że mu współczuje, że musi mu pomóc. To było tak, jak gdyby podszedł do niej w tłumie, niosąc duży, gładki, olśniewający przedmiot – może wielkie jajo z litego srebra, coś o wątpliwej przydatności i morderczej wadze – i podarował go jej, w rzeczywistości wciskając w dłoń, prosząc, by ujęła mu część ciężaru. Czy zniósłby, gdyby go odepchnęła? Ale to wytłumaczenie nie uwzględniało czegoś. Nie uwzględniało jej własnego pragnienia, nie

bogactw, lecz bycia uwielbianą. Wielkość, waga, połysk tego, co sam nazywał miłością (i nie wątpiła w jego słowa) musiały robić na niej wrażenie, mimo że nigdy o to nie prosiła. Mało prawdopodobne, by jeszcze kiedykolwiek w życiu trafiła jej się taka oferta. Sam Patrick, chociaż pełen uwielbienia, w pewien zawoalowany sposób przyznawał, że się jej poszczęściło.

Zawsze wyobrażała sobie, że się to wydarzy – ktoś spojrzy na nią i pokocha ją bez pamięci, bezradnie. A jednocześnie myślała, że nikt jej nie pokocha, nikt jej nie zechce, i do tej pory faktycznie tak było. To, co sprawia, że ktoś cię pragnie, nie zależy od tego, co robisz, to coś, co w sobie masz. A skąd możesz wiedzieć, czy masz to coś? Przyglądała się sobie w lustrze, myśląc: żona, ukochana. Takie łagodne, przyjemne słowa. Jak mogą stosować się do niej? To był cud. To była pomyłka. To było coś, o czym marzyła. Ale nie to, czego pragnęła.

Stała się rozdrażniona, zmęczona, nie mogła spać. Próbowwała myśleć o Patricku z podziwem. Jego szczupła twarz o delikatnej cerze była naprawdę bardzo przystojna. Miał rozległą wiedzę. Oceniał prace studentów, był przewodniczącym komisji egzaminacyjnych, kończył pracę doktorską. Lubiała zapach jego tytoniu fajkowego i szorstką wełnę jego marynarki. Miał dwadzieścia cztery lata. Żadna z dziewcząt, które знаła, nie miała tak dorosłego chłopaka.

Wtedy bez ostrzeżenia przyszły jej na myśl jego słowa: „Nie jestem chyba szczególnie męski”. Przypomniała sobie, jak pytał: „Kochasz mnie? Naprawdę mnie kochasz?”. Patrzył na nią przestraszonym i groźnym wzrokiem. A gdy potwierdziła,

wyznał, jak bardzo jest szczęśliwy. Powiedział, że oboje mają szczęście, wspominał swoich kolegów i ich dziewczyny, porównując ich związki ze swoim związkiem z Rose, co oczywiście wypadało na niekorzyść tych pierwszych. Rose dygotała z irytacji i przygnębienia. Miała dość siebie, miała dość jego, niedobrze się jej robiło, gdy myślała o obrazku, jaki w tej chwili tworzyli, idąc przez zaśnieżony śródmiejski park, ona z dłonią wtuloną w kieszeń płaszcza Patricka. Narastał w niej krzyk, na usta cisnęły jej się okrutne, szokujące słowa. Musiała coś zrobić, jakoś je powstrzymać. Zaczęła go łaskotać, prowokować.

Przed kuchennymi drzwiami domu doktor Henshawe Rose pocałowała Patricka, próbując go zmusić, by otworzył usta, robiła mu gorszące rzeczy. Kiedy ją pocałował, jego wargi były mało stanowcze, język nieśmiały. Raczej omdlewał, niż ją trzymał, nie wyczuwała w nim siły.

– Jesteś śliczna. Masz taką piękną skórę. Takie śliczne brwi. Jesteś taka delikatna.

Było jej miło słuchać tego wszystkiego, każdy byłby zadowolony. Ale rzekła ostrzegawczo:

– Wcale nie jestem taka delikatna. Jestem dość tęga.

– Nie wiesz, jak bardzo cię kocham. Jest taka książka *Biała bogini*. Za każdym razem, gdy patrzę na okładkę, myślę o tobie.

Wyslizgnęła mu się. Pochyliła się i zgarnęła garść śniegu z zasy przy schodkach i cisnęła nią prosto w jego głowę.

– Mój biały bóg.

Otrząsnął się ze śniegu. Rose zgarnęła jeszcze więcej i znowu w niego rzuciła. Nie roześmiał się, był zaskoczony i zanie-

pokojony. Strzepnęła mu śnieg z brwi i zlizwała z uszu. Śmiała się, choć była raczej zdesperowana niż radosna. Nie miała pojęcia, co ją popchnęło do takiego zachowania.

– Doktor Hen-shawe – syknął Patrick. Czuły, poetyczny głos, którego używał, gdy się nią zachwycił, gdzieś zniknął, teraz stał się buntowniczy, rozdrażniony. – Doktor Henshawe cię usłyszy!

– Doktor Henshawe mówi, że jesteś honorowym młodzieńcem – rzekła Rose z rozmarzeniem. – Chyba się w tobie zakochała. – Była to prawda, doktor Henshawe rzeczywiście tak powiedziała. I rzeczywiście był honorowym młodzieńcem. Nie mógł znieść tego, co mówi Rose, a zwłaszcza sposobu, w jaki to robi. Zdmuchnęła śnieg z jego włosów. – Może wejdiesz tam i ją zdeflorujesz. Na pewno jest dziewicą. To jej okno. No, dalej. – Zwichrzyła mu włosy, po czym wsunęła dłoń pod płaszcz i dotknęła przodu jego spodni. – Stał ci! – zawołała triumfująco. – Och, Patrick! Stał ci do doktor Henshawe! – Nigdy przedtem czegoś takiego nie mówiła, nigdy się tak nie zachowywała.

– Zamknij się! – uciszał ją Patrick, przeżywający katusze. Ale ona nie mogła. Podniosła głowę i udawała, że woła głośnym szeptem w kierunku okna na górze. – Doktor Henshawe! Proszę zejść i zobaczyć, co Patrick ma tu dla pani! – Jej okrutna dłoń powędrowała do jego rozporka.

Patrick siłował się z nią, by ją powstrzymać, ostudzić. Zatkanął jej usta jedną dłonią, a drugą odpychał jej rękę od zamka błyskawicznego. Szerokie, luźne rękawy jego płaszcza uderzały ją jak okładłe skrzydła. Rose poczuła ulgę, gdy zaczął z nią

walczyć – tego po nim oczekiwała, jakiegoś działania. Musiała jednak się opierać, dopóki Patrick nie udowodni, że jest silniejszy. Obawiała się, że nie da jej rady.

Ale dał. Rzucił ją na kolana, twarzą w śnieg. Wykręcił jej ramiona do tyłu. Potem ją puścił, niemal psując wszystko.

– Nic ci się nie stało? Wszystko dobrze? Przepraszam. Rose?

Zachwiała się, wstając, i przytuliła ośnieżoną twarz do jego twarzy. Cofnął się.

– Pocałuj mnie! Pocałuj śnieg! Kocham cię!

– Naprawdę? – spytał płaczliwym tonem, zdejmując muśnięciem śnieg z kącika jej ust, i pocałował ją ze zrozumiałą konsternacją. – Naprawdę?

W tym momencie snop światła padł na nich i na udeptany śnieg, a nad ich głowami rozległo się wołanie doktor Henshawe:

– Rose! Rose!

Wołała cierpliwym, zachęcającym tonem, jak gdyby Rose zgubiła się we mgle i potrzebowała, by ktoś wskazał jej drogę do domu.

– Kochasz go, Rose? – spytała doktor Henshawe. – Zastanów się. Kochasz go?

Jej głos był pełen wątpliwości i powagi. Rose wzięła głęboki oddech i odrzekła z przejęciem:

– Tak, kocham go.

– No cóż.

Rose obudziła się w środku nocy i pałaszowała czekoladowe batoniki. Miała nieprzepartą ochotę na słodczy. Często na

zajęciach lub w środku filmu zaczynała myśleć o babeczkach z masą karmelową, czekoladowych ciastkach z orzechami, torcie, jaki doktor Henshawe kupowała w European Bakery. Był przełożony masą z gorzkiej czekolady, która spływała na talerz. Ilekroć próbowała myśleć o sobie i Patricku, ilekroć zastanawiała się, co naprawdę czuje, przeszkadzały jej w tym owe chętki.

Przybywało jej na wadze, a między brwiami wyskoczyło kilka pryszczu.

Jej sypialnia była zimna, ponieważ znajdowała się nad garażem i miała okna wychodzące na trzy strony. Poza tym przyjemna. Nad łóżkiem wisiały oprawione w ramki zdjęcia greckiego nieba i ruin. Zrobiła je doktor Henshawe podczas podróży po Morzu Śródziemnym.

Pisała esej o sztukach Yeatsa. W jednej z nich wróżki wydo stały pannę młodą z nieznośnego małżeństwa z rozsądku.

– „O, pójdź tam, dziecię ludzi”^{*} ... – czytała Rose, a jej oczy wypełniały się łzami, jak gdyby to ona była ową nieśmiałą, nieuchwytną dziewczicą, zbyt delikatną dla oszołomionych wieśniaków, którzy schwyтали ją w pułapkę. W istocie to ona była wieśniaczką, szokującą szlachetnego Patricka, ale on nie szukał ucieczki.

Zdjęła ze ściany jedną z greckich fotografii i zbecześciła tapetę, pisząc pierwsze słowa wiersza, który przyszedł jej do głowy, gdy jadła w łóżku czekoladowe batoniki, a wiatr od Gibbons Park chłostał ściany garażu.

^{*} W.B. Yeats, *Skradzione dziecko*, przekład Adrian Sokołowskiej-Ostapko.

Lekkomyślna, noszę w mojej mrocznej
Macicy dziecko szaleńca...

Nigdy nie napisała ani słowa więcej i czasami zastanawiała się, dlaczego przyszło jej do głowy akurat słowo „lekkomyślna”. Ale nigdy nie próbowała go wytrzeć.

Patrick dzielił pokój z dwoma innymi studentami podyplomowymi. Żył skromnie, nie miał samochodu ani nie należał do żadnej korporacji. Ubierał się niedbale. Przyjaźnił się z synami nauczycieli i pastorów. Twierdził, że ojciec prawie go wydziedziczył za to, że jest intelektualistą. Powiedział, że nigdy nie wróci do rodzinnej firmy.

Wczesnym popołudniem, kiedy wiedzieli, że obu współlokatorów nie będzie, wrócili do pokoju Patricka. Rozebrali się szybko i położyli na jego łóżku. Było zimno, przywarli do siebie, trzęsąc się i chichocząc. Chichotała Rose. Odczuwała potrzebę nieustannego dokazywania. Była przerażona, że im się nie uda, że czeka ich wielkie upokorzenie, wielkie zdemaskowanie ich żalonych oszustw i wybiegów. Ale żalodne oszustwa i wybiegi były tylko po jej stronie. Patrick nigdy jej nie oszukiwał; jemu się udało, mimo ogromnego skrępowania, przeprosin; dysząc ze zdumienia i miotając się, osiągnął spełnienie. Rose nie była pomocna i zamiast trwać w uczciwej bierności, wyginała ciało, miota się, z braku doświadczenia nie umiając nawet udawać namiętności. Zrobili to, co robią inni, zrobili to, co robią kochankowie. Pomyślała o uczczeniu tego wydarzenia. Przyszło jej na myśl jakieś pyszne jedzonko, deser

lodowy w Boomers, szarlotka z gorącym sosem cynamonowym. Zupełnie nie była przygotowana na pomysł Patricka, a mianowicie, żeby zostali w łóżku i spróbowali jeszcze raz.

Kiedy za piątym lub szóstym spotkaniem pojawiła się rozkosz, całkowicie zakłóciła jej normalne zachowanie, wyciszyła namiętne błazeństwa.

– Co się stało? – spytał Patrick.

– Nic! – odparła Rose, znowu promienna i troskliwa. Ale wciąż zapominała, wmieszały się nowe odkrycia i w końcu poddawała się w tej walce, mniej lub bardziej ignorując Patricka. Kiedy znowu go zauważała, zalewała go wdzięcznością; teraz była naprawdę wdzięczna i pragnęła, by jej wybaczył (choć nie mogła tego powiedzieć) całą udawaną wdzięczność, wątpliwości, protekcjonalność.

Skąd się brały te wszystkie wątpliwości, zastanawiała się, leżąc wygodnie w łóżku, gdy tymczasem Patrick przygotowywał kawę rozpuszczalną. Czy to niemożliwe, by czuła się tak, jak udawała, że się czuje? Skoro możliwe było takie seksualne zaskoczenie, czyż nie jest możliwe wszystko? Patrick nie był tu wielką pomocą; jego rycerskość i samoponíženie przy jednoczesnym strofowaniu bardzo ją zniechęcały. Ale czy to naprawdę była jej wina? Czy jej przekonanie o tym, że ktoś, kto może się w niej zakochać, z pewnością jest nierozgarnięty, musiało zostać uznane za głupie? Zauważała więc w Patricku wszystko, co niemądre, mimo że, jak sądziła, szuka tego, co władcze, godne podziwu. W tej chwili, w jego łóżku, w jego pokoju, otoczona przez jego książki i ubrania, szczotki do butów i maszynę do pisania, kilka przypiętych do ścia-

ny dowcipów rysunkowych – usiadła na łóżku, by je obejrzeć, i naprawdę były całkiem zabawne, musiał wykazywać się poczuciem humoru, kiedy nie było jej przy nim – mogła go postrzegać jako człowieka sympatycznego, inteligentnego, nawet dowcipnego; nie bohatera; nie głupka. Może potrafiliby być zwyczajni. Gdyby tylko po powrocie do łóżka nie zaczął jej dziękować, pieścić i wielbić. Tak naprawdę tego nie lubiła, podobał się jej wyłącznie sam pomysł adoracji. Z drugiej strony nie lubiła też, gdy zaczynał ją poprawiać i krytykować. Zamierzał wiele zmienić.

Patrick ją kochał. Co w niej kochał? Na pewno nie jej akcent, który usilnie starał się poprawić, mimo iż często się buntowała i niedorzecznie twierdziła wbrew wszelkim dowodom, że nie ma wiejskiego akcentu, że wszyscy mówią tak jak ona. Ani nie jej rozdygotaną seksualną śmiałość (jego ulga, że jest dziewczyną, była równa jej uldze, że on ma doświadczenie). Potrafiła sprawić, że wzdrygał się, słysząc z jej ust wulgarne słowo, albo kiedy przeciągała samogłoski. Przez cały czas, poruszając się i mówiąc, niszczyła swój obraz w jego oczach, on jednak przejrzał ją, przejrzał wszystkie jej szaleństwa i kochał tę uległą Rose, której ona nie dostrzegała. I miał wielkie nadzieje. Akcentu pomoże się jej pozbyć, podobnie jak przyjaciółek, wcześniej zdyskredytowanych, zniechęci ją do wulgarności.

A co z całą resztą jej cech? Energią, lenistwem, próżnością, niezadowolaniem, ambicją? Ukrywała je wszystkie. Nie miał o nich pojęcia. Mimo rozmaitych wątpliwości absolutnie nie chciała, żeby przestał ją kochać.

Odbyli dwie podróże.

Podczas ferii wielkanocnych pojechali pociągiem do Kolumbii Brytyjskiej. Rodzice przysłali Patrickowi pieniądze na bilet. Zapłacił za Rose, wykorzystując to, co miał w banku, i pożyczając od jednego ze współlokatorów. Poprosił ją, by nie zdradziła jego rodzicom, że nie zapłaciła za swój bilet. Zorientowała się, że chce ukryć przed nimi jej ubóstwo. Kompletnie nie znał się na kobiecych strojach. Rose starała się, jak mogła. Pożyczyła od doktor Henshawe płaszcz przeciwdeszczowy na nadmorski klimat. Był trochę przydługi, ale poza tym w porządku, dzięki klasycznie młodzieżowemu gustowi doktor Henshawe. Sprzedała jeszcze trochę krwi i kupiła sobie puszysty brzoskwinowy sweter z angory, który był po prostu ohydny – wyobrażenie małomiasteczkowej dziewczyny o elegancji. Zawsze uświadamiała sobie takie rzeczy dopiero po zakupie.

Rodzice Patricka mieszkali na wyspie Vancouver, w pobliżu Sidney. Około pół akra przyszczyżonego trawnika – zielonego w środku zimy; marzec wydawał się Rose środkiem zimy – opadającego ku kamiennemu murowi, kamienistej plaży i słonej wodzie. Dom był zbudowany w stylu Tudorów, w połowie z kamienia, w połowie otynkowany i drewniany. Okna salonu, jadalni i pracowni wychodziły na morze. Z powodu silnych wiatrów, które czasami wiały w stronę brzegu, szyby były wykonane z grubego szkła, płaskiego szkła walcowanego, jak przypuszczała Rose, takiego jak w samochodowym salonie wystawowym w Hanratty. Ściana od strony morza była przeszklona na całej długości, biegła łagodnym łukiem; przez grube zaokrąglone szkło wyglądało się jak przez dno butelki. Kredens również miał okrągłe lśniące

brzuszy i był chyba wielki jak łódź. Wszystko wszędzie było wielkie, a zwłaszcza grube. Grube ręczniki i dywany, trzonki noży i widelców. Mnóstwo luksusu i skrępowania. Po jednym dniu Rose była tak zniechęcona, że wszystko leciało jej z rąk, nogi się pod nią uginały. Posługiwanie się nożem i widelcem było przykrym obowiązkiem; krojenie i gryzienie doskonałej wołowej pieczeni niemal przekraczało jej możliwości; brakowało jej tchu, gdy wchodziła po schodach. Nie miała przedtem pojęcia, jak niektóre miejsca potrafią sprawić, że człowiek się dusi, niemal pozbawić go życia. Nie miała, choć bywała już w bardzo nieprzyjaznych miejscach.

Pierwszego ranka matka Patricka zabrała ją na spacer po posiadłości. Pokazała szklarnię i domek, w którym mieszkało „dwoje ludzi”: uroczy, porośnięty bluszczem, zaopatrzony w okiennice domek, większy od domu doktor Henshawe. Dwoje ludzi, służący, miało łagodniejsze głosy, było bardziej dyskretnych i pełnych godności od kogokolwiek z Hanratty, kto przychodził Rose na myśl, a co więcej przewyższało pod tym względem rodzinę Patricka.

Matka Patricka pokazała jej ogród różany i ogródek przy kuchni. Było tam wiele niskich kamiennych murków.

– Patrick je wybudował – powiedziała. Objaśniała wszystko z obojętnością graniczącą z niesmakiem. – Sam wybudował te wszystkie murki.

– Bez wątpienia jest prawdziwym Szkotem – zauważyła Rose tonem pełnym fałszywej pewności, niestosownie entuzjastycznym. Patrick był rzeczywiście Szkotem, mimo nazwiska. Blatchfordowie pochodzili z Glasgow. – Czy najlepsi

kamieniarze nie byli Szkotami? Może miał przodków kamieniarzy?

Później czuła zażenowanie, myśląc o swoich staraniach, udawaniu swobody i wesołości, równie tanich i podrabianych jak jej ubrania.

– Nie – odparła matka Patricka. – Nie sędzę, żeby byli wśród nich kamieniarze. – Wionęła od niej jakby mgła: afront, dezaprobaty, konsternacja. Rose pomyślała, że być może obraziła ją sugestią, iż rodzina jej męża utrzymywała się z pracy rąk. Kiedy poznała ją lepiej – a raczej obserwowała dłużej; niemożliwością było poznać ją lepiej – zrozumiała, że matka Patricka nie lubi w rozmowie niczego wymyślnego, hipotetycznego, abstrakcyjnego. Oczywiście nie podobał jej się też swobodny ton Rose. Jakikolwiek zainteresowania poza rzeczową rozmową o sprawach powszednich – jedzeniu, pogodzie, zaproszeniach, meblach, służbie – wydawały się jej byle jakie, niestosowne. Powiedzenie: „Ciepły dziś mamy dzień” było właściwe, ale już nie należało mówić: „Ten dzień przypomina mi, jak...”. Nienawidziła, jak ludziom coś się przypominało.

Była jedynym dzieckiem pierwszych właścicieli tartaków na wyspie Vancouver. Urodziła się w opuszczonej osadzie na północy. Ale ilekroć Patrick usiłował naprowadzić ją na rozmowę o przeszłości, ilekroć zadawał najprostsze pytania – jakie parowce przybijały do brzegu, w którym roku opuszczono osadę, jaka była trasa pierwszej kolei wożącej drzewo z wyrębu – odpowiadała z irytacją: „Nie wiem. Skąd mam niby o tym wiedzieć?”. Irytacja była najsilniejszym uczuciem, jakie kiedykolwiek przejawiało się w jej słowach.

Ojciec Patricka najwyraźniej również lekceważył przeszłość. Denerwowało go w Patricku wiele rzeczy, większość rzeczy.

– Po co chcesz to wszystko wiedzieć? – krzyknął, gdy siedzieli przy stole. Był niskim mężczyzną o szerokich ramionach i rumianej twarzy, zdumiewająco agresywnym. Patrick był podobny do matki, wysokiej, jasnowłosej, eleganckiej w bardzo powściągliwy sposób, jak gdyby jej stroje, jej makijaż, jej styl zostały dobrane z absolutną neutralnością.

– Ponieważ interesuję się historią – odrzekł Patrick rozzłoszczonym, napuszonym, lecz łamiącym się nerwowo głosem.

– Ponieważ-interesuję-się-historią – natychmiast przedrzeźniła go siostra Marion. – Historią!

Siostry Joan i Marion były młodsze od Patricka, a starsze od Rose. W przeciwieństwie do Patricka nie okazywały żadnej nerwowości, nic nie mąciło ich samozadowolenia. Podczas poprzedniego posiłku wypytywały Rose:

– Jeździsz konno?

– Nie.

– Żeglujesz?

– Nie.

– Grasz w tenisa? Grasz w golfa? Grasz w badmintona?

– Nie. Nie. Nie.

– Może jest intelektualnym geniuszem, jak Patrick – rzekł ojciec. A Patrick, ku przerażeniu i zakłopotaniu Rose, zaczął głośno wyliczać jej stypendia i nagrody. Czego się spodziewał? Był na tyle bezmyślny, by sądzić, że takie chępczenie się ich pohamuje, wywoła jakąś inną reakcję poza głębszą pogardą? Rodzina wyraźnie przyjęła wspólny front przeciwko Patrickowi,

jego przechwałkom, jego lekceważeniu sportów i telewizji, jego tak zwanym intelektualnym zainteresowaniom. Ale ten sojusz był wyłącznie tymczasowy. Awersja ojca do córek była mniejsza jedynie w porównaniu z jego awersją do Patricka. Na nie również pomstował, kiedy tylko nadarzała się okazja; wyśmiewał się, że tracą tyle czasu na swoje rozrywki, narzekał na koszt ich sprzętu, łodzi, koni. A one kłóciły się ze sobą o wyniki, pożyczki i szkody. Wszyscy wybrzydzały matce na jedzenie, które było pyszne. Matka prawie się nie odzywała i prawdę mówiąc, Rose jej za to nie winiła. Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie, że tyle wrogości może się skumulować w jednym miejscu. Billy Pope był bigotem i zrzędą, Flo była kapryśna, niesprawiedliwa i lubiła plotkować, ojciec za życia był skłonny do zimnych osądów i nieustannej dezaprobaty; ale w porównaniu z rodziną Patricka, rodzina Rose wydawała się wesoła i zadowolona.

– Oni zawsze są tacy? – spytała Patricka. – Czy chodzi o mnie? Nie lubią mnie.

– Nie lubią cię, ponieważ cię wybrałem – odparł Patrick z pewną satysfakcją.

Leżeli po zapadnięciu zmierzchu na kamienistej plaży, w płaszczach przeciwdeszczowych, obejmując się i całując, niewygodnie, bez powodzenia próbując więcej. Rose popłamała wodorostami płaszcz doktor Henshawe.

– Rozumiesz, dlaczego mi na tobie zależy? Tak bardzo cię potrzebuję!

Zabrała go do Hanratty. Było tak fatalnie, jak się spodziewała. Flo zadała sobie wiele trudu i przygotowała posiłek, składający się z zapiekanych w sosie ziemniaków, rzepy i dużych wiejskich kiełbasek, które były specjalnym prezentem od Billy'ego Pope'a. Kupił je u rzeźnika. Patrick nie cierpiał lichego jedzenia i nawet nie udawał, że je. Stół był nakryty ceratowym obrusem, nad ich głowami jarzyła się świetlówka. Dekoracja pośrodku stołu została kupiona specjalnie na tę okazję. Żółto-zielony plastikowy łabędź z nacięciami na skrzydłach, w które były wetknięte złożone kolorowe papierowe serwetki. Billy Pope, któremu przypomniano, żeby posłużył się jedną z nich, odmówił z burknięciem. Poza tym jego zachowanie było ponuro poprawne. Dotarła do nich wieść o sukcesie Rose. Usłyszeli ją od osób stojących wyżej w hierarchii społecznej Hanratty; w przeciwnym razie nie uwierzyliby. Klientki w sklepie mięsnym – szacowne damy, żona dentysty, żona weterynarza – powiedziały Billy'emu, że słyszały, iż Rose upolowała milionera. Rose wiedziała, że nazajutrz Billy Pope wróci do pracy i opowie klientom o milionerze lub synu milionera, z nonszalancją, udając, że w ogóle mu to nie imponuje.

– Po prostu posadziliśmy go przy stole i postawiliśmy przed nim kiełbaski, dla nas nie ma różnicy, skąd pochodzi!

Wiedziała też, że Flo będzie robiła uwagi na temat Patricka, że nerwowość Patricka nie umknęła jej uwadze, że będzie naśladowała jego głos i nadmierną gestykulację, gdy przewrócił butelkę z keczupem. Ale teraz oboje siedzieli pochyleni nad stołem, załóżnie zdeorientowani. Rose usiłowała zagaić jakąś rozmowę, mówiąc ze sztucznym ożywieniem, jak gdyby była

dziennikarką przeprowadzającą wywiad, która próbuje rozruszać dwoje prostych tutejszych mieszkańców. Odczuwała wstyd z powodu tak wielu rzeczy, że nie potrafiła ich zliczyć. Wstydziła się jedzenia i łabędzia na ceratowym obrusie; wstydziła się za Patricka, ponurego snoba, który skrzywił się z zaskoczenia, gdy Flo podała mu pojemnik z wykałaczkami; wstydziła się za Flo z jej nieśmiałością, hipokryzją i pretensjami; a najbardziej wstydziła się za siebie. Nie potrafiła nawet odezwać się tak, by jej głos nie zabrzmiał sztucznie. W obecności Patricka nie mogła powrócić do akcentu, z jakim mówili Flo, Billy Pope, mieszkańcy Hanratty. Ten akcent zgrzytał jej teraz w uszach. Dotyczyło to chyba nie tylko innej wymowy, lecz całego podejścia do mówienia; wykrzykiwano pojedyncze słowa i akcentowano, tak że ludzie bombardowali się nimi nawzajem. A teksty były jak żywcem wyjęte z najbardziej ogranej plebejskiej komedii. „Cóż, jeśli facetowi nagle się zachciało”, podsumowali. Naprawdę tak powiedzieli. Widząc ich oczami Patricka, słuchając ich jego uszami, Rose również była zdumiona.

Próbowała naprowadzić ich na rozmowę o lokalnej historii, o sprawach, które mogłyby zainteresować Patricka. Niebawem Flo zaczęła snuć opowieści, mimo obaw nie potrafiła dłużej się powstrzymać. Rozmowa przybrała inny kierunek, niż chciała Rose.

– Kiedy byłam młoda, mieszkałam przy granicy – powiedziała Flo. – To było najgorsze miejsce dla samobójstw, jakie kiedykolwiek stworzono.

– Ma na myśli drogę na pograniczu jednostek podziału terytorialnego. W gminie – wyjaśniła Rose. Obawiała

się tego, co za chwilę nastąpi, i faktycznie Flo poczęstowała Patricka historią o mężczyźnie, który poderżnął sobie gardło, „swoje własne gardło”, od ucha do ucha; o mężczyźnie, który chciał się zastrzelić, ale udało mu się to dopiero za drugim razem; o innym mężczyźnie, który powiesił się, używając do tego łańcucha, takiego, jakim mocuje się przyczepę do traktora, aż dziw bierze, że nie oderwało mu głowy.

„Oderwało”, powiedziała Flo.

Przeszła do kobiety, którą, choć nie popełniła samobójstwa, znaleziono martwą w domu. Przeleżała tam tydzień, a było lato... Spytała Patricka, czy sobie to wyobraża. A wszystko zdarzyło się zaledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie się urodziła. Przedstawiała fakty, nie starając się wstrząsnąć Patrickiem, przynajmniej nie bardziej, niż to było do zaakceptowania na spotkaniu towarzyskim; nie chciała go wprowadzić w zakłopotanie. Jak mógł to zrozumieć?

– Miałś rację – rzekł Patrick, gdy wracali autobusem z Hanratty. – To jest nora. Musisz być zadowolona, że stamtąd uciekłaś.

Rose natychmiast poczuła, że nie powinien był tego mówić.

– Oczywiście, to nie jest twoja rodzona matka. Twoi rodzice nie mogli być tacy. – To również nie spodobało się Rose, mimo że sama tak uważała. Widziała, że Patrick usiłuje wymyślić jej lepsze pochodzenie, może wzorując się na domach swoich niezamożnych kolegów; kilka książek, taca do podawania herbaty, pocerowana serweta, przyszarzały dobry smak; dumni, zmęczeni, wykształceni ludzie. Ależ z niego tchórz, myślała

ze złością, ale wiedziała, że sama jest tchórzem, ponieważ nie umie czuć się swobodnie ze swoimi bliskimi ani w kuchni Flo. Po latach nauczy się, jak to wykorzystywać, będzie wiedziała, jak rozbawić lub onieśmielić prawomyślnych obywateli na przyjęciach migawkami ze swego dzieciństwa. W tej chwili czuła zażenowanie, przygnębienie.

Do głosu jednak doszła lojalność. Teraz, gdy już była pewna, że się stąd wyrwała, wokół każdego jej wspomnienia o sklepie i miasteczku, o płaskim, porośniętym krzakami, niczym się niewyróżniającym krajobrazie, twardniała ochronna warstwa lojalności. Przeciwstawiała je potajemnie górom i oceanowi Patricka, jego rezydencji z kamienia i drewna. Jej lojalność była znacznie bardziej dumna i uparta niż jego.

Okazało się jednak, że on niczego nie zapomina.

Patrick podarował jej pierścionek z brylantem i oznajmił, że przez wzgląd na nią rzuca historię. Zamierza pracować w firmie ojca.

Powiedziała, że wydawało się jej, iż Patrick nienawidzi rodzinnego interesu. Odparł, że nie stać go na grymasy, skoro będzie miał na utrzymaniu żonę.

Najwyraźniej jego pragnienie, by się ożenić, nawet z Rose, ojciec uznał za przejaw rozsądku. W tej rodzinie szczodrość była przemieszana z urazą. Ojciec natychmiast zaproponował mu pracę w jednym ze sklepów i zaofiarował się, że kupi im dom. Patrick nie potrafił odrzucić oferty ojca, podobnie jak Rose nie potrafiła odrzucić jego, z powodów równie merkantylnych.

– Będziemy mieli taki dom jak twoi rodzice? – spytała Rose. Naprawdę myślała, że być może trzeba będzie rozpocząć życie w tym stylu.

– Cóż, może nie na początku. Niezupełnie taki...

– Nie chcę takiego domu! Nie chcę tak mieszkać!

– Będziemy mieszkać, jak zechcesz. Będziemy mieli taki dom, jaki ci się spodoba.

Zakładając, że nie będzie to nora, pomyślała złośliwie.

Dziewczęta, których prawie nie znała, zatrzymywały się, by obejrzeć pierścionek, podziwiałały go i życzyły jej szczęścia. Gdy przyjechała do Hanratty na weekend, tym razem dzięki Bogu sama, spotkała na głównej ulicy żonę dentysty.

– Ach, Rose, czy to nie cudowne! Kiedy znowu do nas przyjedziesz? Wydamy dla ciebie podwieczorek, wszystkie panie w miasteczku się na to szykują!

Ta kobieta nigdy z nią nie rozmawiała, nigdy nie dała po sobie poznać, że wie, kim Rose jest. Teraz otwierały się przed nią drzwi, bariery znikają. A Rose – och, to było najgorsze, wstyd i hańba – Rose, zamiast przerwać żonie dentysty, spiekała raka i nerwowo błyskając brylantem, odrzekła, że to uroczy pomysł. Gdy ludzie mówili, jak musi być szczęśliwa, faktycznie czuła się szczęśliwa. To było takie proste. Uśmiechała się, aż robiły jej się dołeczki, oczy jej błyszcząły, zmieniała się w narzeczoną, która nie ma żadnych kłopotów. Gdzie będziesz mieszkała, pytali, a ona odpowiadała: ach, w Kolumbii Brytyjskiej! To dodawało opowieści więcej magii. Naprawdę jest tam tak pięknie, pytali, nigdy nie ma zimy?

– O, tak! – wykrzykiwała Rose. – O, nie!

Obudziła się bardzo wcześnie, wstała, ubrała się i wyszła bocznymi drzwiami garażu doktor Henshawe. Autobusy jeszcze nie kursowały, poszła więc pieszo przez park do mieszkania Patricka. Wokół pomnika South African War Memorial dokazywały dwa charty, obok stała starsza pani, trzymając ich smycze. Słońce już weszło, trawę pokrywała rosa, kwitły żonkile i narcyzy.

Patrick otworzył drzwi, potargany, zaspany, w piżamie w szaro-czerwone paski.

– Rose! Co się stało?

Nie mogła wykrztusić słowa. Pociągnął ją do mieszkania. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła twarz do jego piersi.

– Proszę, Patrick – powiedziała nienaturalnym głosem. – Błagam, nie pozwól mi wyjść za ciebie.

– Jesteś chora? Co się dzieje?

– Proszę, nie pozwól mi wyjść za ciebie – powtórzyła z nieco mniejszym przekonaniem.

– Oszalałaś.

Nie miała do niego pretensji, że tak myśli. Jej głos brzmiał tak teatralnie, przymilnie, głupio. W chwili, gdy otworzył jej drzwi, gdy ujrzała jego zaspane oczy, piżamę, pojęła, że to, po co przyszła, przerasta ją, jest niemożliwe. Musiałaby wyjaśnić mu wszystko, a tego oczywiście nie mogła zrobić. Nie potrafiła sprawić, by zrozumiał jej racje. Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego tonu głosu, odpowiedniej mimiki.

– Jesteś zdenerwowana? – spytał Patrick. – Co się stało?

– Nic.

– Jak tutaj dotarłaś?

– Pieszo.

Walczyła z potrzebą pójścia do łazienki. Wydawało jej się, że jeśli tam pójdzie, straci część swojej siły. Ale musiała. Uwolniła się z jego objęć.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała. – Muszę iść do kibla.

Gdy stamtąd wyszła, zobaczyła, że tymczasem Patrick włączył czajnik elektryczny i odmierza kawę rozpuszczalną. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Jeszcze się całkiem nie obudziłem. Usiądź. Przede wszystkim, jesteś przed miesiączką?

– Nie. – Ale uświadomiła sobie z konsternacją, że jest i że Patrick może to wyliczyć, ponieważ w zeszłym miesiącu obawiali się, czy nie jest w ciąży.

– Hm, jeśli nie jesteś przed menstruacją i nic się nie stało, to o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie chcę wyjść za mąż – odparła, oszczędzając mu okrutnego stwierdzenia „nie chcę wyjść za ciebie”.

– Kiedy podjęłaś tę decyzję?

– Dawno. Dzisiaj rano.

Rozmawiali szeptem. Rose spojrzała na zegar. Było trochę po siódmej.

– O której wstają twoi współlokatorzy?

– Koło ósmej.

– Jest mleko do kawy? – Podeszła do lodówki.

– Uważaj, bo drzwi skrzypią – ostrzegł ją Patrick, za późno.

– Przepraszam – powiedziała tym dziwnym głupkowatym tonem.

– Wczoraj wieczorem na spacerze wszystko było w najlepszym porządku, a dziś rano przychodzisz i oświadczasz, że nie chcesz wyjść za mąż. Dlaczego?

– Bo nie. Nie chcę i już.

– A czego chcesz?

– Nie wiem.

Patrick przyglądał się jej z surową miną, pijąc kawę. On, który zawsze pytał błagalnym tonem: „Kochasz mnie?”, teraz nie poruszał tego tematu.

– Ach, już wiem.

– Co?

– Wiem, z kim rozmawiałaś.

– Z nikim nie rozmawiałam.

– Założę się, że z doktor Henshawem.

– Nie.

– U wielu osób nie cieszy się dobrą opinią. Podobno ma duży wpływ na dziewczęta. Nie lubi, kiedy mieszkające u niej dziewczyny mają chłopaków. To prawda? Nigdy mi nic o tym nie mówiłaś. Nie lubi, jak są normalne.

– Wcale nie.

– Co ona ci powiedziała, Rose?

– Kompletnie nic. – Rose wybuchnęła płaczem.

– Jesteś pewna?

– Och, Patrick, wysłuchaj mnie, proszę, nie mogę za ciebie wyjść, proszę, nie wiem, dlaczego, nie mogę, proszę, przepraszam, uwierz mi, nie mogę – bełkotała Rose, płacząc.

– Ćśś! Obudzisz ich! – szepnął Patrick. Podniósł ją z kuchennego krzesła i zaciągnął do swego pokoju, gdzie usiadła na łóżku. Zamknął drzwi. Objęła się rękami w pół i kołysała się w przód i w tył.

– O co chodzi, Rose? Co się stało? Jesteś chora?!

– Tak trudno mi o tym mówić!

– Ale o czym?

– O tym, co ci właśnie powiedziałam.

– Stwierdzono u ciebie gruźlicę czy jakąś inną chorobę?

– Nie!

– Zataiłaś jakieś wstydlive sprawy w swojej rodzinie? Chorobę psychiczną? – naciskał Patrick.

– Nie! – odparła Rose, kiwając się i płacząc.

– No to co się dzieje?

– Nie kocham cię! – odrzekła. – Nie kocham cię. Nie kocham cię. – Padła na łóżko, chowając głowę w poduszce. – Tak mi przykro. Przepraszam, nic na to nie poradzę.

Po paru chwilach Patrick powiedział:

– Cóż, skoro mnie nie kochasz, to trudno. Nie mogę zmusić cię do miłości. – W jego głosie brzmiało napięcie i złośliwość, które kłóciły się z rozsądnymi słowami: – Zastanawiam się tylko, czy sama wiesz, czego chcesz. Bardzo w to wątpię. Nie sądzę, byś miała blade pojęcie o tym, czego pragniesz. Jesteś po prostu zdenerwowana.

– Nie muszę wiedzieć, czego chcę, żeby wiedzieć, czego nie chcę! – warknęła Rose, przewracając się na bok. Kompletnie przestała się hamować. – Nigdy cię nie kochałam!

– Ćśś, obudzisz ich. Musimy przestać.

– Nigdy cię nie kochałam. Nigdy tego nie pragnęłam. To pomyłka.

– Dobrze, już dobrze. Przedstawiłaś swoje racje.

Twarz Patricka była tak blada, że znamię wyglądało jak skaleczenie, co tylko bardziej prowokowało Rose do dalszego mamrotania.

– Dlaczego mam cię kochać? Dlaczego zachowujesz się, jak gdyby brak miłości z mojej strony oznaczał, że coś jest ze mną nie tak? Gardzisz mną. Gardzisz moją rodziną, moim pochodzeniem i uważasz, że wyświadczasz mi wielką łaskę...

– Zakochałem się w tobie – przerwał jej Patrick. – Nie gardzę tobą. Och, Rose, ja cię uwielbiam.

– Jesteś maminsynkiem. Świętoszkiem. – Zeskoczyła z łóżka, czuła ogromną przyjemność, wyrzuciwszy to z siebie. Rozsadzała ją energia. Zbliżało się coś strasznego. – Nie potrafisz nawet kochać się, jak należy. Od samego początku chciałam się z tego wyplątać. Było mi ciebie żal. Nie patrzysz, dokąd idziesz, zawsze wszystko przewracasz, ponieważ nie chce ci się uważać, nie dostrzegasz niczego, tak jesteś pochłonięty sobą, zawsze się przechwalasz, to takie głupie, nawet tego nie umiesz dobrze robić, jeśli chcesz naprawdę wywrzeć wrażenie na ludziach, nigdy nie rób tego w taki sposób, bo wszyscy będą się śmiali!

Patrick usiadł na łóżku i spojrzał na nią, twarz miał otwartą na wszystko, co od niej usłyszy. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami i bić go, bić go, mówić coraz gorsze, coraz wstrętniejsze i okrutniejsze rzeczy. Wzięła głęboki oddech, by powstrzymać słowa, które cisnęły się jej na wargi.

– Nie chcę cię więcej widzieć, już nigdy! – zawołała nienawistnie. Ale w progu odwróciła się i powiedziała normalnym i pełnym żalu głosem: – Do widzenia.

Patrick napisał do niej list: „Nie rozumiem, co się stało kilka dni temu, i chciałbym z tobą o tym porozmawiać. Myślę jednak, że powinniśmy odczekać jakieś dwa tygodnie, zanim się spotkamy, by tymczasem wszystko sobie poukładać, poznać do końca swoje uczucia”.

Rose zapomniała oddać mu pierścionek. Gdy tamtego ranka wybiegła z jego mieszkania, wciąż miała go na palcu. Nie mogła wrócić, a wydawał się zbyt cenny, by wysłać go pocztą. Nosiła go dalej. Przede wszystkim dlatego, że nie chciała wtajemniczać doktor Henshawe w to, co się stało. Poczuli ulgę, gdy otrzymała list od Patricka. Pomyślała, że będzie mogła oddać mu pierścionek, gdy się spotkają.

Zastanawiała się nad tym, co Patrick powiedział o doktor Henshawe. Bez wątplenia było w tym ziarnko prawdy, w przeciwnym razie nie ociągałaby się tak bardzo z wyznaniem, że zerwała zaręczyny. Nie chciała zobaczyć na jej twarzy wyraźnej aprobaty, wysłuchać powściągliwych, pełnych ulgi gratulacji.

Poinformowała więc doktor Henshawe, że nie widuje się z Patrickiem w okresie przed egzaminami, bo musi się uczyć. Widziała, że nawet to sprawiło jej satysfakcję.

Nie powiedziała nikomu o zmianie swojej sytuacji. Nie chodziło tylko o doktor Henshawe. Nie chciała, by dowiedzieli się inni, by przestali jej zazdrościć. To doświadczenie było dla niej całkiem nowe.

Próbowała się zastanowić, co dalej. Nie mogła zostać u doktor Henshawe. Wydawało się oczywiste, że skoro uciekła od Patricka, musi uciec również od doktor Henshawe. I nie chciała zostać w college'u, gdzie wszyscy wiedzieli o zerwanych zaręczynach, wśród dziewcząt, które jej tego zerwania gratulowały, twierdząc, że od początku wiedziały, iż jej związek z Patrickiem to zwykły przypadek. Będzie musiała znaleźć pracę.

Kierowniczka biblioteki zaproponowała jej pracę w lecie, ale chyba na prośbę doktor Henshawe. Kiedy Rose wyprowadzi się od niej, propozycja może się okazać nieaktualna. Zdawała sobie sprawę, że zamiast uczyć się do egzaminów, powinna wybrać się do śródmieścia, by szukać pracy archiwistki w firmach ubezpieczeniowych, próbować zatrudnić się w Bell Telephone, w supermarketach. Przerazała ją ta myśl. Nie przerwie nauki. To jedyna rzecz, jaką naprawdę umie robić. W końcu jest stypendystką.

W sobotnie popołudnie, gdy pracowała w bibliotece, zobaczyła Patricka. Nie był to przypadek. Zeszła na dół, starając się nie robić hałasu na krętych metalowych schodach. Było takie miejsce przy regałach, gdzie mogła stanąć prawie w ciemności i skąd było widać jego stanowisko. Ukryła się tam. Nie widziała jednak twarzy, tylko długą różową szyję i starą kraciatą koszulę, którą wkładał w soboty. Długa szyja. Kościste ramiona. Już jej nie drażnił, nie bała się go; była wolna. Mogła patrzeć na niego, tak jak na każdego innego człowieka. Mogła go oceniać. Zachowywał się nienagannie. Nie próbował wzbudzić w niej litości, nie zmuszał jej do niczego, nie naprzykrzał się telefonami i listami. Nie przychodził i nie siadał na progu

domu doktor Henshawe. Był człowiekiem honoru i nigdy się nie dowie, jak bardzo Rose była mu za to wdzięczna. Ogarnął ją wstyd z powodu tego, co mu powiedziała. W dodatku to wcale nie była prawda. Przynajmniej nie wszystko. Potrafił się kochać. Rose była poruszona, tak się rozczuliła i rozrzewniła na jego widok, że bardzo chciała coś mu dać, jakąś zaskakującą nagrodę, chciała naprawić wszystko, żeby dłużej nie cierpiał.

Następnie wyobraziła sobie nęcącą sytuację – podbiega cichutko do biurka Patricka, obejmuje go od tyłu ramionami i zwraca mu wszystko. Czy przyjmie to od niej, czy nadal tego pragnie? Widziała, jak się śmieją i płaczą, wyjaśniają, wybaczą. „Kocham cię, naprawdę cię kocham, już dobrze, byłam okropna, wcale tak nie myślę, postradałam rozum, kocham cię, wszystko dobrze”. Odczuwała gwałtowną, nieodpartą pokusę, impuls, by gdzieś się rzucić. Nieważne gdzie – w przepaść czy na ciepły kobierzec przyjaznej trawy i kwiatów.

Nie potrafiła się oprzeć tej wizji. I zrobiła to.

Kiedy później Rose analizowała ten moment swojego życia i rozmawiała o nim – ponieważ, jak większość ludzi obecnie, przechodziła przez okres, kiedy opowiadała swobodnie o swoich najbardziej osobistych decyzjach przyjaciółom, kochankom i znajomym z przyjęć, których miała być może nigdy więcej nie spotkać, oni zaś odwzajemniali się tym samym – dochodziła do wniosku, że ośwładnęło ją przyjacielskie współczucie, zabrakło jej odporności na widok nagiej wygiętej szyi. Następnie posuwała się o krok dalej, mówiąc, że to zachłanność, chciwość. Powiedziała, że podbiegła i przyłgnęła do niego,

przewyciężyła jego podejrzenia, całowała go i płakała, wróciła do niego po prostu dlatego, że nie wiedziała, jak sobie poradzi bez jego miłości i obietnicy, że będzie się nią opiekował; bała się świata i nie umiała wymyślić dla siebie żadnego innego planu. Kiedy postrzegała życie w kategoriach ekonomicznych albo była wśród ludzi, którzy tak je postrzegali, twierdziła, że tylko przedstawiciele klasy średniej mają jakiś wybór, że gdyby miała chociaż tyle pieniędzy, ile potrzeba na bilet do Toronto, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Bzdura, mówiła później, nieważne, to była po prostu próżność, czysta i zwyczajna próżność, że go wskrzesiła, zwróciła mu szczęście. Żeby sprawdzić, czy jej się uda. Nie mogła się oprzeć takiemu sprawdzianowi władzy. Potem za to zapłaciła. Byli małżeństwem przez dziesięć lat i podobne sceny zerwania i pojednania powtarzały się co jakiś czas. Ona wykrzykiwała to samo, co za pierwszym razem, i to, od czego się wtedy powstrzymała, jak również wiele innych rzeczy, które jej ślina na język przyniosła. Ma nadzieję, iż nie opowiedziała nikomu (wcale nie jest to takie pewne), że tłuła głową o słupek łóżka z baldachimem, że cisnęła sosjerką w okno jadalni; że była tak przerażona, czuła taką odrazę do tego, co zrobiła, że leżała rozdygotana na łóżku i błagała, błagała go o wybaczenie. A on jej wybaczwał. Czasami rzucała się na niego; czasami ją bił. Nazajutrz wstawali wcześnie rano, przygotowywali specjalne śniadanie, siedzieli, jedząc jajka na bekonie i pijąc kawę parzoną przez filtr, wykończeni, oszołomieni, traktując się nawzajem z pełną skruchy uprzejmością.

Jak sądzisz, co wywołuje taką reakcję? – pytali.

Czy waszym zdaniem powinniśmy wyjechać na urlop? Razem? Osobno?

Okazało się, że te próby to marnotrawstwo, fikcja. Ale w danej chwili oboje się starali. Uspokoiwszy się, pocieszali się, że prawdopodobnie większość ludzi przechodzi przez to w małżeństwie, i faktycznie mieli chyba znajomych z podobnymi kłopotami. Nie chcieli separacji, dopóki pewna granica nie została przekroczona, dopóki nie stała się prawie śmiertelna krzywda. I dopóki Rose nie dostała pracy i nie zaczęła zarabiać, co w końcu było całkiem zwyczajną przyczyną.

Nigdy jednak nikomu nie wyjawiała, nigdy się nie zwierzyła, że czasami myślała, że to nie litość, nie zachłanność, tchórzostwo czy próżność, lecz coś całkiem innego, jakby wizja szczęścia. Z powodu wszystkich innych rzeczy, o których opowiedziała, nie mogła teraz się do tego przyznać. Wydawało się to bardzo dziwne; nie potrafiła tego wytłumaczyć. Nie miała na myśli zupełnie zwyczajnych, znośnych momentów małżeństwa, długich okresów, kiedy kładli tapetę, spędzali razem urlop, jedli, robili zakupy, martwili się z powodu choroby dziecka, lecz czasami, bez ostrzeżenia, zaskakiwało ich szczęście, nadzieja szczęścia. Zupełnie jakby byli w różnych, a jednak identycznie wyglądających skórach, jak gdyby istnieli promienni, sympatyczni i niewinni Rose i Patrick, na ogół prawie niewidoczni w cieniu swoich zwykłych wcieleń. Może właśnie takiego Patricka widziała, gdy była od niego wolna, niewidzialna, podglądająca go w bibliotece. Być może. Powinna była go tam zostawić.

Zdała sobie sprawę, że tak właśnie jest, tak go widziała. Przekonała się o tym, ponieważ zdarzyło się to znowu. W środku nocy znalazła się na lotnisku w Toronto. Zdarzyło się to jakieś dziewięć lat po rozwodzie z Patrickiem. W tamtym czasie była już dość sławna, jej twarz znało wiele osób w kraju. Miała swój program telewizyjny, w którym przeprowadzała wywiady z politykami, aktorami, pisarzami, znanymi osobistościami i wieloma zwykłymi ludźmi, którzy mają jakieś pretensje do rządu, policji i związków. Czasami rozmawiała z ludźmi, którzy widzieli osobliwe rzeczy, UFO lub morskie potwory, albo mieli niezwykle osiągnięcia, kolekcje lub zachowali jakiś dawny zwyczaj.

Była sama. Nikt po nią nie wyszedł. Przyleciała właśnie z Yellowknife. Lot był spóźniony, a ona zmęczona, w pomiętym ubraniu. Zauważyła Patricka – stał tyłem do niej w barze kawowym. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Był masywniejszy niż kiedyś, ale poznała go od razu. I owładnęło ją to samo uczucie, że jest z nim związana, że za sprawą pewnej magicznej, a jednak możliwej sztuczki, odnajdą się i zaufają sobie. Na początek będzie musiała tylko podejść do niego od tyłu i dotknąć jego ramienia, zaskoczyć go jego szczęściem.

Oczywiście nie zrobiła tego, ale zatrzymała się. Stała spokojnie, kiedy Patrick się odwrócił, kierując się w stronę jednego z małych plastikowych stolików i zaokrąglonych ławek przed barkiem kawowym. Zniknęła gdzieś cała jego chudość i zaniedbanie, jego wygląd sztywnego autokraty. Wyglądził się, przytył, był modnie ubrany, robił teraz wrażenie przyjemne-

go, odpowiedzialnego, dość zadowolonego z siebie człowieka. Znamię było niewidoczne. Pomyślała, że ona musi wyglądać mizernie i szaro w zmiętym trenczu, długie, siwiejące włosy opadały jej na twarz, tusz rozmazał się pod oczami.

Skrzywił się na jej widok. Była to mina pełna autentycznej nienawiści, wściekle ostrzegawcza; infantylna, zadowolona z siebie, choć rozmyślna; bomba odrazy i pogardy z opóźnionym zapłonem. Trudno było w to uwierzyć. Ale ona widziała.

Czasami, przeprowadzając z kimś wywiad telewizyjny, wyczuwała w rozmówcy chęć zrobienia okropnej miny. Wyczuwała to u najrozmaitszych ludzi – zręcznych polityków, dowcipnych liberalnych biskupów i szanowanych społeczników, u gospodyń domowych, które były świadkami klęsk żywiołowych, u robotników, którzy dokonali bohaterских czynów, niosąc pomoc, lub zostali oszustwem pozbawieni rent inwalidzkich. Pragnęli dopuścić się sabotażu wobec siebie, zrobić minę lub powiedzieć brzydkie słowo. Czy właśnie taką okropną minę chcieli zrobić? By pokazać komuś, pokazać wszystkim? Nie robili tego jednak; nie ryzykowali. Do tego potrzebne były szczególne okoliczności. Ponure, nierzeczywiste miejsce, środek nocy, ogromne znużenie, zdenerwowanie, niespodziewane, widmowe pojawienie się twojego prawdziwego wroga.

Oddaliła się śpiesznie długim wielobarwnym korytarzem, drząc na całym ciele. Widziała Patricka. Patrick widział ją. Zrobił właśnie taką minę. Ale ona nie rozumiała, jak może uważać ją za wroga. Jak ktokolwiek mógł nienawidzić jej tak bardzo w chwili, gdy była gotowa okazać dobrą wolę, przyznać

się z uśmiechem do wyczerpania, nieśmiało uczynić ludzki,
przyjazny gest?

Och, Patrick mógł. Patrick mógł.

Niewinny flirt

Rose zakochała się w Cliffordzie na przyjęciu wydanym przez niego i Jocelyn. Przyszli na nie z Patrickiem. Byli wtedy małżeństwem od około trzech lat, Clifford i Jocelyn jakiś rok dłużej.

Clifford i Jocelyn mieszkali pod Zachodnim Vancouver, w jednym z tych letnich domków, byle jak zabezpieczonych przed mrozem, stojących przy krótkich krętych uliczkach między autostradą a oceanem. Przyjęcie odbywało się w marcu, pewnego deszczowego wieczoru. W drodze do nich Rose była bardzo zdenerwowana. Gdy jechali przez Zachodni Vancouver, miała niemal mdłości. Przyglądała się światłom neonów odbijającym się w kałużach na ulicy, słuchała monotonnego tykania wycieraczek na przedniej szybie. Często wracała pamięcią do tamtej chwili, widziała siebie, siedzącą obok Patricka, w czarnej wydekolowanej bluzce i czarnej aksamitnej spódnicy. Miała nadzieję, że jest odpowiednio ubrana na tę okazję; żałowała, że nie jada po prostu do kina. Nie miała pojęcia, że ten wieczór odmieni jej życie.

Patrick też był zdenerwowany, choć się do tego nie przyznawał. Życie towarzyskie było dla nich obojga niezrozumiałym,

często nieprzyjemnym obowiązkiem. Gdy przeprowadzili się do Vancouver, nie znali nikogo. Szli za przykładem innych. Rose nie była pewna, czy naprawdę pragną mieć przyjaciół, czy po prostu uważają, że powinni ich mieć. Stroili się i wychodzili z wizytą lub sprząтали salon i czekali na zaproszonych gości. Ustalili stały szablon postępowania w niektórych sytuacjach. Na takich przyjęciach najpierw podawali drinki, a później, koło jedenastej, w pół do dwunastej – bywało, że czas włókł się niemiłosiernie – Rose wychodziła do kuchni, parzyła kawę i szykowała jakąś przekąskę. Były to zwykle kwadratowe kanapeczki z plasterkiem pomidora, na nim żółty ser i odrobina bekonu, wszystko zapieczone i spięte wykałaczką. Nie potrafiła wymyślić nic innego.

Łatwiej było im się zaprzyjaźnić z ludźmi, których lubił Patrick, niż z tymi, których lubiła Rose, ponieważ Rose bez trudu potrafiła się przystosować, a raczej prawdę mówiąc, umiała oszukiwać. Patrick w ogóle sobie z tym nie radził. Ale w tym przypadku, w przypadku Jocelyn i Clifforda, byli to przyjaciele Rose. A przynajmniej Jocelyn była jej przyjaciółką. Obie miały na tyle rozsądku, by nie organizować spotkań we czworo. Patrick nie lubił Clifforda, choć nawet go nie znał, ponieważ Clifford był skrzypkiem; bez wątplenia Clifford nie lubił Patricka, ponieważ Patrick pracował w jednym z supermarketów z sieci należącej do rodziny Blatchfordów. W tamtych dniach bariery między ludźmi wciąż były zauważalne i silne; między artystami i ludźmi biznesu; między mężczyznami i kobietami.

Rose nie znała przyjaciół Jocelyn, ale wiedziała, że są muzykami, dziennikarzami i wykładowcami na uniwersytecie. Była

wśród nich nawet pisarka, której sztuka szła w radiu. Spodziewała się, że będą inteligentni, dowcipni i traktujący wszystko z lekceważeniem. Miała wrażenie, że przez cały czas, kiedy ona i Patrick składają wizyty lub przyjmują gości, naprawdę mądrzy i zabawni ludzie, którzy mają prawo nimi gardzić, wiodą niekonwencjonalne życie i bywają na innych przyjęciach. Teraz trafiała im się okazja, by spędzić czas właśnie z nimi, ale jej żołądek protestował, ręce miała mokre od potu.

Jocelyn i Rose poznały się na oddziale położniczym North Vancouver General Hospital. Pierwszą osobą, jaką zobaczyła Rose, gdy wróciła na oddział po urodzeniu Anny, była Jocelyn, siedząca na łóżku i czytająca *Dziennik André Gide'a*. Rose poznała książkę po kolorowej okładce, zwróciła na nią uwagę na stojaku w drogerii. Gide był na liście autorów, których zamierzała dokładnie przestudiować. W tamtym okresie czytała wyłącznie wielkich pisarzy.

Co z miejsca zaskoczyło i pocieszyło Rose, to fakt, że Jocelyn wyglądała na studentkę, nie pozwoliła, by oddział położniczy wycisnął na niej swoje piętno. Miała długie czarne warkoczki, bladą twarz o topornych rysach, okulary o grubych szklach. Nie można się w niej było dopatrzeć śladu urody, ale roztaczała wokół siebie aurę swobodnej koncentracji.

Kobieta na łóżku obok Jocelyn opisywała rozmieszczenie produktów w swoich szafkach kuchennych. Zapomniała powiedzieć, gdzie coś trzyma – powiedzmy, ryż lub brązowy cukier – i musiała zacząć od początku, upewniając się, że jej słuchają.

– Po prawej stronie na najwyższej półce obok kuchenki trzymam paczuszki zupy, ale nie zupę w puszkach. Zupę w puszkach trzymam pod blatem bufetu, razem z innymi konserwami, po prawej...

Inne kobiety próbowały jej przerwać, by opisać własny sposób przechowywania produktów, ale im się nie udało, przynajmniej nie od razu. Jocelyn siedziała, nie odrywając się od czytania i obracając w palcach koniec warkocza, jak gdyby była w bibliotece w college'u i zbierała materiały do dysertacji, świat tamtych kobiet w ogóle dla niej nie istniał. Rose żałowała, że sama tak nie potrafi.

Wciąż jeszcze była oszołomiona po porodzie. Ilekroć zamknęła oczy, widziała zaćmienie, wielką czarną kulę w pierścieniu ognia. To była główka dziecka, w pierścieniu bólu, na chwilę przedtem, nim ją wyparła. Na ten obraz niepokojącymi falami nakładały się kuchenne półki trajkoczącej kobiety, uginające się pod oczywistym ciężarem puszek i paczuszek. Ale mogła otworzyć oczy i patrzeć na Jocelyn, czarno-biała, z warkoczami opadającymi na szpitalną koszulę. Jocelyn była jedyną osobą, która wyglądała na tyle spokojnie i poważnie, by pasować do okoliczności.

Po krótkim czasie Jocelyn wstała z łóżka, pokazując długie białe nieogolone nogi i brzuch ciągle jeszcze rozciągnięty przez ciążę. Włożyła pasiasty szlafrok. Zamiast paskiem, przewięzała go męskim krawatem. Człapała po szpitalnym linoleum bosymi stopami. Nadbiegła pielęgniarka i kazała jej włożyć kapcie.

– Nie mam kapci.

– A buty pani ma? – spytała pielęgniarka niezbyt przyjemnym tonem.

– O tak, mam buty.

Jocelyn wróciła do małej metalowej szafki przy łóżku i wyjęła z niej duże brudne znoszone mokasyny. Wyszła, człapiąc równie głośno i bezczelnie jak przedtem.

Rose gorąco pragnęła ją poznać.

Nazajutrz Rose zaczęła czytać swoją książkę. Był to *Ostatni purytanin* George'a Santayany, niestety egzemplarz wypożyczony z biblioteki; niestety, ponieważ tytuł na okładce był zatarty i niewyraźny, Jocelyn nie mogła podziwiać czytelniczego wyboru Rose, tak jak Rose podziwiała jej wybór. Rose bezskutecznie próbowała znaleźć jakiś pretekst do nawiązania rozmowy.

Kobieta, która przedtem opowiadała o swoich szafkach kuchennych, teraz objaśniała, w jaki sposób posługuje się odkurzaczem. Mówiła, że bardzo ważne jest, by używać wszystkich nasadek, ponieważ każda ma swoje przeznaczenie, zresztą przecież płaci się za nie. Wiele osób z nich nie korzysta. W tej chwili opisywała, jak odkurza zasłony w salonie. Inna kobieta powiedziała, że próbowała to robić, ale materiał wciąż się gniótł, na co tamta podsumowała, że po prostu robi to nie tak, jak trzeba.

Rose przyłapała spojrzenie Jocelyn zza czytanej przez nią książki.

– Mam nadzieję, że polerujesz kurki w swojej kuchence – powiedziała szeptem.

– Oczywiście, że tak – odrzekła Jocelyn.

– Robisz to codziennie?

– Nawet dwa razy dziennie, ale teraz, gdy urodziło mi się dziecko, nie wiem, jak sobie poradzę.

– Używasz specjalnej pasty do polerowania?

– Ma się rozumieć. I używam specjalnych ściereczek do polerowania, załączonych w opakowaniu.

– To dobrze. Niektórzy tego nie robią.

– Niektórzy używają byle czego.

– Starych zmywaków.

– Starych chustek do nosa.

– Starych smarków.

Właśnie wtedy nastąpił gwałtowny rozkwit ich przyjaźni. Był to rodzaj takiej żywiołowej zażyłości, jakie pojawiają się jak grzyby po deszczu w różnych instytucjach: w szkołach, na obozach, w więzieniu. Spacerowały po korytarzach, nie słuchając pielęgniarek. Drażniły i zadziwiały inne kobiety. Dostawały histerycznych ataków śmiechu, czytając sobie na głos. Nie był to Gide ani Santayana, lecz teksty w rodzaju *Prawdziwa miłość* czy *Osobiste romanse*, które znalazły w poczekalni.

– Tu jest napisane, że można sobie kupić sztuczne tydki – czytała Rose. – Ale zupełnie nie rozumiem, jak można je zamaskować. Chyba przywiązuje się je do nóg. Albo są umocowane pod pończochami, ale nie sądzisz, że byłoby je widać?

– Przywiązuje się do nóg? – Wszystko je śmieszyło. – Sztuczne tydki, sztuczne cycki, sztuczne tyłki!

– Ciekawe, co jeszcze wymyślą!

Kobieta od odkurzacza powiedziała, że zawsze się wcinają i przeszkadzają innym w rozmowie, że nie widzi nic zabawnego w nieprzyzwoitym języku. Dodała, że jeśli nie przestaną zachowywać się w ten sposób, mleko im się skwasi.

– Zastanawiam się, czy moje już się nie skwasiło – rzekła Jocelyn. – Jest naprawdę obrzydliwego koloru.

– Jakiego? – spytała Rose.

– Hm, odcień niebieskiego.

– Dobry Boże, może to jest atrament!

Kobieta od odkurzacza zagroziła, że poskarży się pielęgniarce, iż przeklinają. Nie jest pruderyjna, ale... Zapytała, czy nadają się do tego, żeby być matkami. Jak Jocelyn poradzi sobie z praniem pieluch, skoro każdy widzi, że nigdy nie prała swojego szlafroka?

Jocelyn odparła, że jest Indianką i zamierzała użyć mchu.

– Bardzo w to wierzę – odrzekła kobieta.

Od tej pory Jocelyn i Rose zaczynały wiele uwag od: „Nie jestem pruderyjna, ale...”.

– Nie jestem pruderyjna, ale spójrz na ten pudding!

– Nie jestem pruderyjna, ale wydaje mi się, że to dziecko ma wszystkie zęby.

Pielęgniarka spytała je, czy nie czas już dorosnąć.

Spacerując z Rose po korytarzu, Jocelyn poinformowała ją, że ma dwadzieścia pięć lat, że jej dziecko będzie miało na imię Adam, że ma już jednego synka, Jerome’a, i że jej mąż Clifford jest skrzypkiem. Gra w vancouverkiej orkiestrze symfonicznej. Są niezamożni. Jocelyn pochodzi z Massachusetts

i studiowała w Wellesley College. Jej ojciec jest psychiatrą, a matka pediatrą. Rose powiedziała jej, że pochodzi z małego miasteczka w Ontario, a Patrick z wyspy Vancouver i że jego rodzice nie aprobują ich małżeństwa.

– W miasteczku, z którego pochodzę – mówiła Rose – wszyscy przeciągają samogłoski.

– Aha, tak jak w Teksasie. A gdzie pracuje Patrick?

– W supermarkecie. Jego rodzina ma sieć supermarketów.

– To nie jesteście teraz bogaci? Nie jesteś zbyt zamożna na to, żeby tu rodzić?

– Wydaliśmy wszystkie pieniądze na dom, jakiego pragnął Patrick.

– A ty go nie chciałaś?

– Nie tak bardzo jak on.

Tego Rose nie zdradziła nikomu nigdy przedtem.

Takich zwierzeń było znacznie więcej.

Jocelyn nienawidziła matki, która kazała jej spać w pokoju z zasłonami z organdy i zachęcała do zbierania kaczuszek. W wieku trzynastu lat Jocelyn miała chyba największą na świecie kolekcję kaczuszek – gumowych, ceramicznych, haftowanych, jak również ich zdjęć. Napisała też coś, co określiła jako odrażająco nad wiek dojrzałą opowieść pod tytułem *Wspaniałe przygody Olivera, Wielkiego Kaczora*, którą jej matka wydrukowała i rozdała przyjaciołom i krewnym w prezencie pod choinkę.

– To osoba, która pokrywa wszystko beznadziejną przymilnością. Która wszystko lukruje. Nigdy nie mówi normalnym głosem, nigdy. Udaje nieśmiałą. Wstrętna obłudnica. Oczywiście

ście jest świetnym pediatrą. Używa takich obrzydliwych pieszczotliwych nazw dla wszystkich części ciała.

Rose, która byłaby zachwycona, mając zasłony z organdy, dostrzegała cienkie granice, sposoby obrażania kogoś, które istniały w świecie Jocelyn. Ten świat wydał jej się znacznie mniej prymitywny i mniej tymczasowy od jej własnego. Miała obawy, czy może opowiedzieć Jocelyn o Hanratty, ale powoli zaczęła próbować. Odmalowywała Flo i sklep szerokimi pociągnięciami pędzla. Przerysowywała ubóstwo. Szczerze mówiąc, nie musiała tego robić. Prawdziwe wydarzenia z jej dzieciństwa były dla Jocelyn wystarczająco egzotyczne i, w co trudno uwierzyć, godne pozazdroszczenia.

– To wydaje się bardziej realne – powiedziała Jocelyn. – Wiem, że to romantyczna uwaga.

Rozmawiały o swoich młodzieńczych ambicjach. (Naprawdę uważały, że ich młodość należy już do przeszłości.) Rose wiedziała, że kiedyś chciała być aktorką, ale była zbyt tchórzliwa, żeby kiedykolwiek stanąć na scenie. Jocelyn pragnęła zostać pisarką, lecz onieśmiało ją wspomnienie Wielkiego Kaczora.

– Potem poznałam Clifforda. Gdy się przekonałam, jak ogromnie jest uzdolniony, pomyślałam, że tylko bym się oszukiwała, próbując pisać, lepiej zajmę się nim, zrobię dla niego wszystko, cokolwiek to oznacza. On naprawdę ma talent. Czasami zachowuje się obrzydliwie. Uchodzi mu to na sucho, ponieważ jest cholernie zdolny.

– Myślę, że to jest romantyczna uwaga – powiedziała Rose stanowczo i z zazdrością. – Że zdolnym ludziom wiele rzeczy powinno uchodzić na sucho.

– Doprawdy? Wielcy artyści zawsze tak mają.

– Nie kobiety.

– Ale kobiety zazwyczaj nie są wielkimi artystkami, nie w ten sam sposób.

Takie były w owych czasach poglądy świetnie wykształconych, dociekliwych, nawet niekonwencjonalnych lub politycznie radykalnych kobiet. Jednym z powodów, dla których Rose ich nie podzielała, był brak świetnego wykształcenia. W dużo późniejszym okresie ich przyjaźni Jocelyn powiedziała jej, że od początku uważała rozmowę z nią za bardzo interesującą między innymi dlatego, że Rose miała poglądy, lecz była niewykształcona. Zaskoczyło to Rose i wspomniała o college'u, do którego uczęszczała w Zachodnim Ontario. Dostrzegła wtedy na twarzy Jocelyn – niezwykle dla niej – zaniepokojenie lub ubolewanie, nagły brak szczerości, mówiące, że Jocelyn to właśnie miała na myśli.

Po rozmowie, w trakcie której wyszło, że mają odmiennie zdania na temat artystów obojga płci, Rose przyjrzała się dobrze Cliffordowi, gdy odwiedził wieczorem żonę. Pomyślała, że jest blady, wyraźnie lubi sobie dogadzać i wygląda na neurotyka. Dalsze odkrycia dotyczące taktu, wysiłku, zwykłej fizycznej energii, jaką Jocelyn poświęcała temu małżeństwu (to ona naprawiała cieknące krany i przepychała zatkałe odpływy) upewniły Rose, że Jocelyn się marnuje, że popełniła błąd. Miała wrażenie, że Jocelyn również nie widzi wiele sensu w jej małżeństwie z Patrickiem.

Z początku na przyjęciu było łatwiej, niż Rose się spodziewała. Obawiała się, że jest za bardzo wystrojona; wolałaby włożyć swoje obcisłe spodnie do połowy łydki, ale Patrick nigdy by się na to nie zgodził. Tylko kilka dziewczyn było w spodniach. Pozostałe nosiły pończochy, kolczyki, były ubrane podobnie jak ona. Jak to zwykle bywa u młodych kobiet w pewnym okresie życia, trzy lub cztery były w zaawansowanej ciąży. Większość mężczyzn miała na sobie garnitury, koszule i krawaty, podobnie jak Patrick. Rose poczuła ulgę. Pragnęła nie tylko, żeby Patrick pasował do całego towarzystwa, lecz żeby zaakceptował tych ludzi, przekonał się, że nie wszyscy są ekscentrykami. Gdy Patrick jeszcze studiował, zabierał ją na koncerty i przedstawienia, i nie patrzył podejrzliwym okiem na ludzi, którzy w nich występowali; prawdę mówiąc, darzył takie imprezy szczególnymi względami, ponieważ nie cierpiała ich jego rodzina, a w tamtym czasie – czasie, gdy wybrał Rose – był w krótkim okresie buntu przeciwko swej rodzinie. Pewnego razu wybrali się z Rose do Toronto i usiedli w chińskiej sali z eksponatami sztuki sakralnej, by podziwiać freski. Patrick opowiedział jej, że przywieziono je w drobnych elementach z prowincji Shanxi; wydawał się dumny ze swojej wiedzy, a jednocześnie rozbijając, nietypowo dla niego, skromny; przyznał, że dowiedział się tego wszystkiego podczas wycieczki. Dopiero odkąd poszedł do pracy, zaczął głosić ostre opinie, wyrażać totalną krytykę. Sztuka nowoczesna to mistyfikacja. Sztuki awangardowe są obsceniczne. Patrick wymawiał słowo „awangarda” w szczególny, afektowany sposób, jakby je wypluwając, co sprawiało, że brzmiało obrzydliwie pretensjonalnie.

I takie są rzeczywiście, myślała Rose. W pewnym sensie rozumiała, o co mu chodzi. Widziała nie tylko jedną stronę medalu. Patrick nie miał tego problemu.

Nie licząc wielkich awantur, które zdarzały się co jakiś czas, Rose zachowywała się wobec Patricka bardzo potulnie, starała się utrzymać jego względy. Nie było to łatwe. Nawet przed ślubem miał zwyczaj wygłaszania pełnych dezaprobaty kazań w odpowiedzi na proste pytanie czy uwagę. W tamtym okresie zadawała mu czasami pytanie w nadziei, że wykaże się jakąś wybitną wiedzą, za którą mogłaby go podziwiać, lecz zwykle tego żałowała, odpowiedź była bowiem bardzo długa i wygłoszona strofującym tonem, a wiedza wcale nie rzucała na kolana. Szczerze pragnęła podziwiać go i szanować; chyba zawsze była od tego o krok.

Później doszła do wniosku, że szanowała Patricka, ale nie w taki sposób, na jakim mu zależało, i kochała go również nie w taki sposób, jakiego pragnął. Wtedy tego nie wiedziała. Myślała, że trochę go zna, myślała, że Patrick tak naprawdę wcale nie chce być taki, na jakiego uparcie stara się wyglądać. Tę arogancję można nazwać szacunkiem; tę arbitralność miłością. To nie wystarczało, żeby go uszczęśliwić.

Kilku mężczyzn było w dżinsach i golfach lub bluzach. Wśród nich także Clifford, cały na czarno. Był to czas bitników w San Francisco. Jocelyn zadzwoniła kiedyś do Rose i przeczytała jej wiersz *Skowyt*. Czerń podkreślała opaleniznę Clifforda, włosy miał wtedy długie i jasne jak len; oczy również jasne, szaroniebieskie. Przy Rose wydawał się niski, dość zniewieściały. Miała nadzieję, że zbytnio nie odstręczy Patricka.

Pili piwo i poncz na bazie wina. Jocelyn, która była wspaniałą kucharką, przygotowała jambalaye, pikantną potrawę z ryżu, warzyw i owoców morza. Rose poszła do łazienki, żeby pozbyć się Patricka, który dosłownie przykleił się do niej (pomyślała, że przypomina psa obronnego; zapomniała, że bywa nieśmiały). Gdy stamtąd wyszła, nadal jej nie odstępował. Wypiła trzy szklaneczki ponczu jedną po drugiej i przedstawiono ją kobiecie, która napisała sztukę. Ku zdziwieniu Rose była ona jedną z najbardziej bezbarwnych i chyba najmniej pewnych siebie osób w pokoju.

– Podobała mi się twoja sztuka – powiedziała Rose. Prawdę mówiąc, uważała, że jest zaskakująca, a Patrick, że odrażająca. Była chyba o kobiecie, która zjadała własne dzieci. Rose wiedziała, że jest to symboliczne, ale nie rozumiała, co ma symbolizować.

– Och, ale przedstawienie było okropne! – skrzywiła się kobieta. W swoim zakłopotaniu, podekscytowaniu i chęci rozmowy o swojej sztuce ochlapała Rose ponczem. – Odczytali wszystko tak dosłownie. Bałam się, że to wypadnie okropnie, a nie delikatnie jak w moim zamysle. Wyszło zupełnie nie tak, jak chciałam. – Zaczęła opowiadać Rose, że wszystko poszło nie tak, zła obsada, wycięcie najważniejszych – „kluczowych” – momentów. Rose schlebiały jej wynurzenia, usiłowała niepostrzeżenie wytrzeć poncz z bluzki.

– Ale rozumiesz, o co mi chodzi? – spytała kobieta.

– O tak!

Clifford nalał Rose kolejną szklaneczkę ponczu i uśmiechnął się do niej.

– Rose, wyglądasz przepysznie.

„Przepysznie” zabrzmiało dziwnie w jego ustach. Może był pijany. A może, ponieważ, jak twierdziła Jocelyn, nie cierpiał przyjąć, zgrywał się, udawał faceta, który obsypuje kobietę tego typu komplementami, może był mistrzem kamuflażu; Rose zaczynała myśleć o sobie, że powoli też się staje mistrzynią w tej dziedzinie. Rozmawiała dalej z pisarką i wykładowczynią siedemnastowiecznej literatury angielskiej. I ona mogła być biedna i bystra, radykalna i prześmiewcza.

Jakaś para obejmowała się namiętnie w wąskim korytarzu. Ilekroć ktoś chciał przejść, musieli się od siebie odsunąć, ale nie przestawali wpatrywać się w siebie, nie zamykali nawet ust. Na widok tych rozchylonych wilgotnych warg Rose przeniknął dreszcz. Nigdy w życiu nikt jej nie obejmował w taki sposób, nigdy nie rozchylił jej ust. Patrick uważał pocałunek z jęczyczkiem za obrzydliwy.

Niski łysy mężczyzna imieniem Cyril zajął pozycję obok łazienki i całował każdą dziewczynę, która stamtąd wychodziła, mówiąc:

– Witaj, kochanie, tak się cieszę, że przyszedłeś, tak się cieszę, że wyszedłeś.

– Cyril jest okropny – powiedziała pisarka. – Uważa, że musi zgrywać poetę. Nie przychodzi mu nic lepszego do głowy jak wystawanie pod kibelem i denerwowanie ludzi. Wydaje mu się, że jest skandalistą.

– Jest poetą? – spytała Rose.

– Powiedział mi, że spalił wszystkie swoje wiersze – odrzekła wykładowczyni literatury angielskiej.

– Jakie to płomienne z jego strony – zauważyła Rose. Była zadowolona z siebie, słysząc śmiech, jakim powitano jej słowa.

Wykładowczyni przytoczyła różne kalambury.

– Mnie nic takiego nigdy nie przychodzi do głowy – powiedziała smętnie pisarka. – Zbyttnio przejmuję się językiem.

Z salonu dobiegły podniesione głosy. Rose poznała głos Patricka, gwałtownie się natężający, przytłumiający inne. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć cokolwiek, by go zagłuszyć – czuła, że zbliża się jakaś katastrofa – ale właśnie wtedy korytarzem nadszedł wysoki mężczyzna o kędzierzawych włosach, bezceremonialnie rozdzielając namiętą parę. Wyraźnie podniecony, gestem dłoni poprosił o uwagę.

– Posłuchajcie tylko – powiedział do zebranych w kuchni. – Nie uwierzycie, co opowiada tamten facet w salonie.

W salonie najwyraźniej toczyła się dyskusja o Indianach. Teraz do głosu doszedł znowu Patrick.

– Zabierzcie je – perorował – zabierzcie je rodzicom natychmiast po narodzeniu, umieśćcie w cywilizowanym środowisku, kształćcie, a pewnego dnia staną się równie wartościowe jak biali. – Bez wątpienia uważał, że jest wyrazicielem liberalnych poglądów. Jeśli według nich było to zdumiewające, powinni go byli sprowokować do wypowiedzi na temat egzekucji Rosenbergów lub procesu Algiera Hissa czy też konieczności prób atomowych.

– No cóż, oni mają swoją własną kulturę – wtrąciła łagodnie jakaś dziewczyna.

– Ich kultura jest zrujnowana – odrzekł Patrick. – Kaput.

Było to słowo, którego obecnie bardzo często używał. Potrafił używać pewnych słów, komunalów, gazetowych określeń – jednym z nich była „kolosalna rewizja poglądów” – z taką lubością i paraliżującym przekonaniem, że można by pomyśleć, iż jest ich autorem, lub przynajmniej sam fakt użycia ich przez niego dodaje im wagi i poloru.

– Oni chcą, żeby ich ucywilizować – oznajmił. – W każdym razie ci mądrzejsi.

– A może oni wcale nie uważają się za niecywilizowanych – odgryzła się dziewczyna z lodowatą fałszywą skromnością, czego Patrick nie załapał.

– Niektórzy ludzie potrzebują bodźca.

Apodyktyczny, pełen samozadowolenia ton spowodował, że mężczyzna w kuchni rozłożył ręce i pokiwał głową z zachwytem i niedowierzaniem.

– To musi być jakiś polityk Socredu.

Patrick rzeczywiście głosował na partię Social Credit.

– Czy wam się to podoba, czy nie – mówił teraz – trzeba ich na siłę przeciągnąć, kopiających i wrzeszczących, do dwudziestego wieku.

– Kopiających i wrzeszczących? – powtórzył ktoś.

– Kopiających i wrzeszczących, do dwudziestego wieku – rzekł Patrick, który nigdy nie miał nic przeciwko mówieniu czegoś po raz drugi.

– Cóż za interesujące wyrażenie. I jakie humanitarne.

Czy jeszcze nie zrozumiał, że przypierają go do muru, chwytają w pułapkę i wyśmiewają? Ale Patrick, przyparty do muru, stawał się coraz głośniejszy. Rose nie mogła już dłużej tego słu-

chać. Skierowała się do tylnego wyjścia, zawalonego butami, płaszczami, butelkami, pudełkami, zabawkami, wszystkim, co Jocelyn i Clifford usuwali z drogi przed przyjęciem. Dzięki Bogu nie było tam nikogo. Wyszła na dwór i stała, rozpalona, rozdygotana w chłodnym, wilgotnym mroku. Miała kompletny mętlik w głowie i w uczuciach. Była upokorzona, wstydziała się Patricka. Ale zdawała sobie sprawę, że najbardziej upokarza ją jego styl, sprawia, że sama doszukuje się w sobie czegoś zepsutego i frywolnego. Była zła na tych ludzi, którzy są mądrzejsi, a przynajmniej o wiele bystrzejsi od niego. Chciała źle o nich myśleć. Co ich tak naprawdę obchodzi Indianie? Gdyby Patrick miał sposobność, by zachować się przyzwoicie wobec Indianina, okazałby się znacznie lepszy od nich. Był to strzał w ciemno, ale musiała w to wierzyć. Patrick jest dobrym człowiekiem. Jego poglądy są złe, ale on sam jest dobry. Rose wierzyła, że w głębi serca jest prostolinijny, uczciwy i godny zaufania. Ale jak ma do tego dotrzeć, uspokoić się, a tym bardziej wydobyć na jaw, pokazać innym?

Usłyszała trzaśnięcie drzwi i przestraszyła się, że Jocelyn wyszła jej szukać. Jocelyn nie była osobą, która uwierzyłaby w ukryte zalety Patricka. Uważała go za upartego, ciężko myślącego tępaka.

Nie była to jednak Jocelyn, lecz Clifford. Rose nie miała ochoty z nim rozmawiać. Lekko wstawiona, zboląta, z mokrą od deszczu twarzą, rzuciła mu odpychające spojrzenie. Ale on ni stąd, ni zowąd otoczył ją ramionami i zaczął kołysać.

– Och, Rose, dziecino, nie przejmuj się. Rose.

A więc taki był Clifford.

Przez jakieś pięć minut całowali się, mamrocząc, drżąc, przytulając się, dotykając. Wrócili na przyjęcie frontowymi drzwiami, przy których stał Cyril.

– Hej, gdzie wy dwoje się podziewaliście? – spytał.

– Spacerowaliśmy w deszczu – odparł chłodnym tonem Clifford. Tym samym lekkim, być może nieprzyjaznym tonem, jakim powiedział Rose, że wygląda „przepysznie”. Podpuszczanie Patricka już się skończyło. Poruszano teraz luźniejsze, mniej ważne tematy, wszyscy byli mocno podchmieleni. Jocelyn podała jambalayę. Rose weszła do łazienki, by wysuszyć włosy i umalować podrażnione wargi. Była odmieniona, już nie bezbronna. Pierwszą osobą, którą spotkała po wyjściu stamtąd, był Patrick. Zapragnęła go uszczęśliwić. Nie obchodziło jej teraz, co powiedział czy co powie.

– Chyba się jeszcze nie znamy, proszę pana – szepnęła zalotnym tonem, jakiego czasami używała wobec niego, gdy oboje byli zrelaksowani i dobrze się czuli w swoim towarzystwie. – Ale pozwałam panu ucałować moją dłoń.

– Na litość boską – roześmiał się serdecznie Patrick, uściskał ją i pocałował z głośnym cmoknięciem w policzek. Zawsze cmokał przy pocałunku. I zawsze udawało mu się boleśnie wbić łokieć w jej ciało.

– Dobrze się bawisz? – spytała.

– Nieźle, nieźle.

Oczywiście przez resztę wieczoru odgrywała komedię, obserwując Clifforda i udając, że w ogóle na niego nie patrzy, a on wyraźnie robił to samo. Kilkakrotnie ich oczy się spotkały, bez wyrazu, wysyłając absolutnie czytelny sygnał, aż nogi się pod

nią uginały. Widziała go teraz w zupełnie innym świetle. Jego ciało, które przedtem wydawało jej się drobne i mdłe, teraz odbierała jako zwinne, pełne energii; przypominał jej rysia. Została mu jeszcze opalenizna po wyjeździe na narty na Seymour Mountain. Kosztowne hobby, ale Jocelyn nie mogła mu tutaj rzucać kłód pod nogi, ponieważ jako skrzypek Clifford miał kłopoty ze swoim wizerunkiem w tym towarzystwie. Ze swoim męskim wizerunkiem. Tak twierdziła Jocelyn. Jocelyn opowiedziała Rose wszystko o pochodzeniu Clifforda: artretyczny ojciec, mały sklepik spożywczy w północnej części stanu Nowy Jork, niebezpieczna uboga dzielnica. Mówiła o jego problemach w dzieciństwie; niewłaściwy talent, niechętni rodzice, naśmiewający się szkolni koledzy. Jocelyn powiedziała, że to dzieciństwo wycisnęło na nim piętno, stał się zgorzkniały. Tylko że Rose już nie wierzyła, że Jocelyn ma ostatnie słowo, jeśli chodzi o Clifforda.

Przyjęcie było w piątek wieczorem. Telefon zadzwonił naza jutrz rano, kiedy Patrick i Anna siedzieli przy stole, jedząc jajka.

– Jak się masz? – spytał Clifford.

– Świetnie.

– Musiałem do ciebie zadzwonić. Mogłaś odnieść wrażenie, że byłem pijany albo coś w tym rodzaju. Nie byłem.

– Ach, nie.

– Myślałem o tobie przez całą noc. Zresztą myślałem też wcześniej.

– Tak. – Kuchnia wypełniła się nagle oślepiającym światłem. Cała scena przed nią: Patrick i Anna przy stole, dzbanek

kawy z zaciekami po jednej stronie, słoik marmolady – eksplodowała radością, nadzieją, ryzykiem. Rose tak zaschło w ustach, że ledwie udało jej się wykrztusić:

– Piękny dzień dzisiaj. Może wybierzemy się z Patrickiem i Anną w góry.

– Patrick jest w domu?

– Tak.

– O Boże, jaki ze mnie dureń. Zapomniałem, że nikt poza mną nie pracuje w soboty. Jestem na próbie.

– Tak.

– Możesz udawać, że rozmawiasz z kimś innym? Na przykład, z Jocelyn.

– Jasne.

– Kocham cię, Rose – rzekł Clifford i wyłączył się.

– Kto to był? – spytał Patrick.

– Jocelyn.

– Czy ona musi dzwonić, kiedy jestem w domu?

– Zapomniała. Clifford jest na próbie i zapomniała, że inni ludzie nie pracują. – Rose z lubością wymówiła imię Clifforda. Oszusztwo, zatajanie czegoś przyszły jej ze wspaniałą łatwością; same w sobie stanowiły przyjemność. – Nie zdawałam sobie sprawy, że muszą pracować w soboty – powiedziała, by podtrzymać temat. – Tyle godzin, to okropne.

– Nie pracują dłużej niż normalni ludzie, po prostu inaczej się to rozkłada w czasie. On nie wygląda na szczególnie pracowitego.

– Podobno jest całkiem dobry. Jako skrzypek.

– Wygląda na palanta.

– Tak uważasz?

– A ty nie?

– Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Jocelyn zadzwoniła w poniedziałek i powiedziała, że nie ma pojęcia, po co robi imprezy, do tej pory nie uporała się z bagażem.

– Clifford nie pomógł ci posprzątać?

– Chyba żartujesz. Prawie go nie widziałam przez cały weekend. W sobotę miał próbę, a wczoraj występ. Mówi, że przyjęcia to mój pomysł, więc powinnam sama potem sobie radzić. To prawda. Miewam te napady towarzyskości, jedynym lekarstwem jest przyjęcie. Patrick był interesujący.

– Bardzo.

– Jest dosyć zaskakującym facetem, prawda?

– Podobnych facetów jest na pęczki. Po prostu nigdy nie spotkałaś nikogo takiego.

– O ja nieszczęsna!

Była to rozmowa z Jocelyn jak każda inna. Ich rozmowy, ich przyjaźń mogą być takie jak zawsze. Rose nie czuła się związana lojalnością wobec Jocelyn, ponieważ podzieliła Clifforda: jeden to ten, którego znała Jocelyn, ten sam, o którym zawsze jej opowiadała; ale był też Clifford, którego teraz znała Rose. Pomyślała, że Jocelyn może się co do niego mylić. Na przykład, gdy mówiła, że dzieciństwo wycisnęło na nim piętno, że stał się zgorzkniały. To, co Jocelyn nazywała zgorzkniałością, wydawało się Rose znacznie bardziej skomplikowane i jednocześnie zwyczajniejsze; po prostu zmęczenie, unizoność,

przebiegłość, małostkowość typowe dla tej klasy społecznej. Typowe dla klasy Clifforda i Rose. Jocelyn była pod pewnymi względami odizolowana, pozostała niewinna. I pod pewnymi względami była podobna do Patricka.

Od tej chwili Rose postrzegała Clifforda i siebie jako jeden rodzaj ludzi, a Jocelyn i Patricka, mimo że wydawali się tak różni i tak się nawzajem nie lubili, jako zupełnie inny. Byli absolutnie przewidywalni. Brali życie bardzo serio. Natomiast zarówno po Cliffordzie, jak i po Rose nie wiadomo było, czego się można spodziewać.

Co zrobiłaby Jocelyn, gdyby zakochała się w żonatym mężczyźnie? Zanim jeszcze dotknęłaby jego ręki, prawdopodobnie zwołałaby konferencję. Zaprosiłaby Clifforda i owego mężczyznę, jego żonę i przypuszczalnie swojego psychiatrę. (Mimo że odrzucała swoją rodzinę, uważała, że w różnych zawirowaniach życia każdy powinien chodzić do psychiatry; sama chodziła raz w tygodniu.) Jocelyn rozważyłaby ewentualne konsekwencje; chwyciłaby byka za rogi. Nigdy nie próbuje podkraść przyjemności. Nigdy nie nauczyła się niczego podkraść. Dlatego mało prawdopodobne, by kiedykolwiek zakochała się w innym mężczyźnie. Nie była zachłanna. I Patrick także nie był zachłanny, przynajmniej na miłość.

O ile miłość do Patricka była poszukiwaniem w nim czegoś dobrego i prostodusznego, to miłość do Clifforda była czymś zupełnie innym. Rose nie musiała wierzyć, że Clifford jest dobry, a już z pewnością wiedziała, że nie jest prostoduszny. Żadne odkrycie jego obłudy czy bezduszności wobec ludzi poza nią samą nie miało dla niej znaczenia. Co więc w nim kochała,

czego od niego chciała? Chciała prowokacji, skrzęcej się tajemnicy, czulej celebracji pożądania, stałego pożaru zmysłów. A wszystko to po pięciu minutach w deszczu.

Po upływie pół roku od przyjęcia Rose nie zmrużyła oka przez całą noc. Patrick spał obok niej w ich kamiennie-cedrowym domu w podmiejskiej dzielnicy zwanej Capilano Heights, leżącej na zboczu Grouse Mountain. Następnej nocy to Clifford miał spać przy niej, w Powell River, gdzie grał z orkiestrą na tournée. Nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę stanie. To znaczy, pokładała całą swoją wiarę w tym wydarzeniu, ale nie udawało się jej wpasować go w istniejący porządek rzeczy.

Podczas tych wszystkich miesięcy Clifford i Rose ani razu nie poszli ze sobą do łóżka. Nie kochali się też w żadnym innym miejscu. Sytuacja wyglądała tak: Jocelyn i Clifford nie mieli samochodu. Patrick i Rose, owszem, mieli, ale Rose nie prowadziła. Wprawdzie Clifford nie pracował w stałych godzinach, co było atutem, ale jak miał widywać się z Rose? Czy mógł pojechać autobusem przez most Lions Gate, następnie przejść jej podmiejską ulicą w pełnym świetle dnia, obok panoramicznych okien sąsiadów? Czy Rose mogła zatrudnić opiekunkę, udawać, że ma wizytę u dentysty, pojechać autobusem do miasta, spotkać się z Cliffordem w restauracji, iść z nim do pokoju hotelowego? Ale nie wiedzieli, do którego hotelu pójść; obawiali się, że bez bagażu wyproszą ich na ulicę albo doniosą na nich do obyczajówki, będą musieli siedzieć na posterunku, a Patrick i Jocelyn zostaną wezwani, żeby po nich przyjechali. Poza tym nie mieli dość pieniędzy.

Mimo wszystko Rose pojechała do Vancouver, pod pretekstem wizyty u dentysty. Usiedli obok siebie w kafejce, w czarnym boksie, całowali się i pieścili, w miejscu publicznym, często odwiedzanym przez studentów Clifforda i kolegów z orkiestry; było to mocno ryzykowne. W drodze powrotnej do domu spozjrzała w dół na sukienkę poplamioną potem między piersiami i omal nie zemdląła z zachwytu nad sobą i na myśl o ryzyku, na jakie się naraziła. Kiedy indziej znowu, upalnego sierpniowego popołudnia, czekała w zaułku za teatrem, gdzie Clifford miał próbę, czając się w cieniu, po czym zmagąca się z nim w uniesieniu, bez satysfakcji. Zauważyli otwarte drzwi i wślizgnęli się do środka. Wszędzie stały sterty kartonów. Szukali jakiegoś zacisznego kącika, kiedy nagle usłyszeli męski głos:

– Czym mogę państwu służyć?

Trafili do składziku na tyłach sklepu z obuwiem. Głos mężczyzny był lodowaty; groźny. Obyczajówka. Posterunek policji. Rose miała sukienkę rozpiętą do pasa.

Pewnego dnia spotkali się w parku, dokąd Rose często zabierała Annę na huśtawki. Trzymali się za ręce na ławce, pod osłoną szerokiej bawełnianej spódnicy Rose. Spletli palce i ściskali je aż do bólu. Nagle Anna zaskoczyła ich, podbiegając z tyłu do ławki, krzycząc: „Buu! Przyłapałam was!”. Clifford zrobił się błądy jak ściana. W drodze do domu Rose powiedziała do Anny:

– To było zabawne, kiedy wyskoczyłaś na nas zza ławki. Myślałam, że jesteś jeszcze na huśtawce.

– Wiem.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że nas przyłapałaś?

– Przyłapałam was – powtórzyła Anna i zachichotała w sposób, który wydał się Rose niepokojąco szelmowski i przemądrzały.

– Masz ochotę na loda na patyku? Bo ja tak! – powiedziała Rose radośnie, myśląc o szantażu i układzie, o Annie, która po dwudziestu latach odgrzebie tę historię u swojego psychiatry. Trzęsa się, było jej niedobrze i zastanawiała się, czy ten epizod nie zrazi do niej Clifforda. Zraził, ale tylko na krótko.

Gdy tylko zrobiło się widno, wstała i wyrzała przez okno, chcąc się upewnić, że pogoda nie pokrzyżuje jej planów lotu. Niebo było czyste; ani śladu mgły, która często uniemożliwia start o tej porze roku. Nikt poza Cliffordem nie wiedział, że Rose wybiera się do Powell River. Planowali to od sześciu tygodni, od kiedy poznał termin tournée. Patrick myślał, że Rose jedzie do Victorii, gdzie mieszkała jej przyjaciółka ze studiów. W ciągu kilku ostatnich tygodni udawała, że znowu nawiązała z nią kontakt. Powiedziała, że wróci nazajutrz wieczorem. Była sobota. Patrick nie pracował i miał zająć się Anną.

Weszła do jadalni, żeby sprawdzić jeszcze raz pieniądze z zasiłku rodzinnego, które zaoszczędziła. Ukryła je na dnie naczynia na muffinki. Zamierzała dodać je do tych, które dostała od Patricka na wyjazd. Patrick zawsze dawał jej pieniądze, kiedy prosiła, ale chciał wiedzieć, ile i na co. Kiedyś, gdy byli na spacerze, chciała wejść do apteki. Poprosiła go o pieniądze, on zaś zapytał ze zwykłą surowością: „Na co?”. Rose wybuchnęła

placzem, ponieważ miała zamiar kupić galaretkę dopochwową. Równie dobrze mogła parsknąć śmiechem i teraz by się roześmiała. Od kiedy zakochała się w Cliffordzie, w ogóle nie kłóciła się z Patrickiem.

Policzyła jeszcze raz, ile będzie potrzebowała pieniędzy. Bilet lotniczy, pieniądze na autobus z Vancouver na lotnisko, a potem z lotniska do Powell River. Być może będzie musiała wziąć taksówkę, coś zostanie jej na jedzenie i na kawę. Clifford zapłaci za hotel. Ta myśl napełniała ją zmysłową błogością, uległością, mimo że wiedziała, iż Jerome potrzebuje nowych okularów, a Adam kaloszy. Wyobrażała sobie to neutralne, gładkie, duże łóżko, które już istnieje, czeka na nich. Dawno temu, kiedy była nastolatką (teraz miała dwadzieścia trzy lata), często myślała o nijakich łóżkach i zamkniętych na klucz drzwiach wynajętych pokoiów z pełną oczekiwania nadzieją, a teraz robiła to znowu, chociaż w czasie, który upłynął między tymi rojeniami, przed wyjściem za mąż i po wyjściu za mąż, myśl o czymkolwiek związanym z seksem irytowała ją mniej więcej w taki sposób, w jaki nowoczesna sztuka irytowała Patricka.

Obeszła cicho dom, planując dzień jako serię czynności. Wziąć kąpiel, posmarować się balsamem nawilżającym i popudrować, włożyć do torebki krążek dopochwowy i galaretkę. Pamiętać o pieniądzach. Tusz do rzęs, krem do twarzy, szminka. Stała na wyższym z dwóch stopni prowadzących do salonu. Ściany w salonie były zielonkawe, koloru mchu, kominiek biały. Zasłony i pokrowce na meble miały delikatny wzorek, szare, zielone i żółte listki na białym tle. Na gzymsie

kominka stały dwa wazony z porcelany Wedgwood również ze wzorkiem z zielonych listków wokół szyjki. Patrick bardzo je lubił. Czasami po powrocie z pracy szedł prosto do salonu i przestawiał je o milimetry na gzymsie, uważając, że zakłócono ich symetryczną pozycję.

– Czy ktoś ruszał te wazony?

– Oczywiście. Gdy tylko wychodzisz z domu, biegnę, żeby nimi żonglować.

– Miałem na myśli Annę. Chyba nie pozwalasz jej ich dotykać?

Patrick nie znosił, gdy mówiła o wazonach żartobliwym tonem. Jego zdaniem nie doceniała domu. Wprawdzie nie słyszał, ale być może domyślał się, co powiedziała do Jocelyn, kiedy przyjaciółka odwiedziła ich po raz pierwszy i stały w miejscu, gdzie teraz stała Rose, rozglądając się po salonie.

– Tak dziedzic supermarketu wyobraża sobie szczyty elegancji.

Nawet Jocelyn była zaskoczona tą zdradą. Zresztą Rose nieco mijała się z prawdą. Patrick marzył, żeby stać się o wiele elegantszym. I nie było również prawdą, że to on wybierał wszystko i że Rose zawsze trzymała się od tego z daleka. Owszem, wybór należał do Patricka, ale było mnóstwo rzeczy, które się jej podobały. Wdrapywała się na drabinkę i czyściła szklane wisiorki żyrandola w jadalni ściereczką zwilżoną w wodzie z dodatkiem sody. Lubiała ten żyrandol z wisiorkami w niebieskawym lub liliowym odcieniu. Ale ludzie, których podziwiała, nie mieli żyrandoli w jadalni. Przypuszczalnie nie mieli w ogóle jadalni. A jeśli już, to zapalali tam świece w skandy-

nawskich lichtarzach z czarnego metalu. Albo ustawiali grube świece w butelkach po winie oblepionych zastrygniętymi strużkami kolorowego wosku. Jak było do przewidzenia, ludzie, których podziwiała, byli biedniejsi od niej. Los spletał jej brzydkiego figła. Po życiu spędzonym w miejscu, w którym bieda nigdy nie była powodem do dumy, teraz musiała czuć się winna i zakłopotana ze względu na wręcz przeciwną sytuację – na przykład, w towarzystwie kogoś takiego jak Jocelyn, która potrafiła wycedzić z taką złośliwością i pogardą: „dobrobyt klasy średniej”.

Ale gdyby nawet nie miała kontaktu z innymi ludźmi, gdyby nie nauczyła się wielu rzeczy od Jocelyn, czy dom nadal by się jej podobał? Nie. Musiała się do niego zniechęcić. Kiedy znajomi odwiedzali ich po raz pierwszy, Patrick zawsze ich oprowadzał, pokazując żyrandol, damską toaletę z ukrytym oświetleniem obok frontowych drzwi, garderoby i żaluzjowe drzwi otwierające się na patio. Był dumny z tego domu, tak chętnie zwracał uwagę na jego drobne wspaniałości, jak gdyby to on, a nie Rose, pochodził z ubogiej rodziny. Rose od początku była niechętna tym „wycieczkom” i wlokła się z tyłu w milczeniu albo wygłaszała pełne dezaprobaty komentarze, czego Patrick nie znosił. Po chwili zostawała w kuchni, ale wciąż słyszała głos Patricka i z góry wiedziała, co powie. Wiedziała, że porozsuwa zasłony w jadalni i pokaże niedużą podświetloną fontannę – Neptuna z figowym listkiem – którą kazał wznieść w ogrodzie, a potem powie:

– Oto jest nasza odpowiedź na podmiejską basenomanie.

Wykąpała się, po czym sięgnęła po buteleczkę. Myśląc, że to dziecięca oliwka, polała nią ciało. Przezroczysta ciecz, szczypiąc boleśnie, spłynęła po jej piersiach i brzuchu. Spojrzała na etykietkę. Zamiast oliwki użyła zmywacza do paznokci. Starła go, splukała się zimną wodą, osuszyła się ręcznikiem, myśląc rozpaczliwie o zniszczonej skórze, szpitalu; przeszczepy, blizny, kara.

Anna sennie, ale natarczywie drapała w drzwi łazienki. Rose zamknęła je na zasuwkę, choć zwykle nie robiła tego, gdy się kąpała. Wpuściła córkę.

– Cała jesteś czerwona z przodu – powiedziała Anna, sadowiąc się na sedesie. Rose znalazła oliwkę i próbowała schłodzić piekącą skórę. Polała się zbyt obficie i poplamiała w kilku miejscach nowy biustonosz.

Myślała, że może Clifford napisze do niej z trasy, ale nie napisał. Zadzwoił z Prince George i był bardzo rzeczowy.

– O której przylatujesz do Powell River?

– O czwartej.

– Dobrze, przyjedź z lotniska autobusem czy co tam mają.

Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– Ja też nie. Znam tylko nazwę hotelu. Nie możesz tam czekać.

– To może na dworcu autobusowym? Każde miasto ma dworzec autobusowy.

– Niech będzie dworzec autobusowy. Przyjadę po ciebie koło piątej i poszukamy ci jakiegoś innego hotelu. Mam

nadzieję, że jest tam więcej niż jeden. To jesteśmy umówieni.

Udawał przed innymi członkami orkiestry, że spędzi noc u przyjaciół w Powell River.

– Mogłabym przyjść i posłuchać, jak grasz – zaproponowała Rose. – Czy nie mogę?

– Jasne, oczywiście, że możesz.

– Będę bardzo dyskretna. Usiądę z tyłu. Przebiorę się za starą kobietę. Ogromnie chciałabym zobaczyć twój występ.

– Dobrze.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie.

– Clifford?

– Tak?

– Nadal chcesz, żebym przyjechała?

– Och, Rose.

– Wiem. Po prostu twój głos brzmi tak dziwnie.

– Jestem w holu hotelowym. Czekają na mnie. Myślą, że rozmawiam z Jocelyn.

– Rozumiem. Przyjadę.

– Powell River. Dworzec autobusowy. Piąta.

Była to rozmowa zupełnie różna od tych, które zwykle prowadzili. Zazwyczaj były tęskne i niemądre; albo tak się nawzajem podniecali, że w ogóle nie mogli mówić.

– Ciężko oddychasz.

– Wiem.

– Musimy porozmawiać o czymś innym.

– Na przykład, o czym?

– Czy tam, gdzie jesteś, jest mgła?

– Tak, a u ciebie?

– Też. Słyszysz syrenę mgłową?

– Słyszę.

– Czy to nie okropny dźwięk?

– Mnie nie przeszkadza. Nawet go dosyć lubię.

– Jocelyn nie lubi. Wiesz, jak go opisuje? Mówi, że to dźwięk kosmicznej nudy.

Początkowo unikali nawet napomykania o Jocelyn i Patric-ku. Mówili o nich w zwięzły, rzeczowy sposób, jak o dorosłych ludziach, rodzicach, których trzeba przechytrzyć. Teraz mogli wspominać o nich niemal z czułością, podziwem, jak gdyby byli ich dziećmi.

W Powell River nie było dworca autobusowego. Rose wsiadła wraz z czterema innymi osobami do limuzyny przewożącej pasażerów z lotniska i powiedziała kierowcy, że chce pojechać na dworzec autobusowy.

– Wie pani, gdzie to jest?

– Nie – odparła. Czowała, że wszyscy się jej przyglądają.

– Chce pani złapać autobus?

– Nie.

– Po prostu chce pani jechać na dworzec autobusowy?

– Mam się tam z kimś spotkać.

– Nawet nie wiedziałem, że jest tutaj taki dworzec – zauważył jeden z pasażerów.

– Bo nie ma. Przynajmniej ja nic o nim nie wiem – rzekł kierowca. – Jest autobus, który kursuje rano do Vancouver

i wraca późnym wieczorem. Zatrzymuje się przy domu spokojnej starości. Dla starych drwali. Tam ma przystanek. Mogę tam panią zawieźć. Pasuje to pani?

Rose odrzekła, że owszem. Czula wewnętrzną potrzebę dalszego wyjaśniania.

– Umówiłam się tam z przyjaciółką, ponieważ nie miałyśmy pojęcia, gdzie możemy się spotkać. Nie znamy Powell River i po prostu wydawało nam się, że w każdym miasteczku musi być dworzec autobusowy!

Pomyślała, że nie powinna była powiedzieć: „z przyjaciółką”, tylko „z mężem”. Na pewno spytają, po co tu przyjechały z przyjaciółką, skoro żadna z nich nie zna miasta.

– Moja przyjaciółka gra w orkiestrze, która daje tu koncert. Jest skrzypaczką.

Wszyscy odwrócili od niej wzrok, jak gdyby na tyle zasługiwało jej kłamstwo. A jeśli spytają o nazwisko?

Kierowca wysadził ją przed dwupiętrowym drewnianym budynkiem z łuszczącą się farbą.

– Chyba może pani poczekać na oszklonej werandzie na końcu budynku. W każdym razie stamtąd autobus zabiera pasażerów.

Na werandzie stał stół bilardowy. Nikt z niego nie korzystał. Kilku staruszków grało w szachy, inni się przyglądali. Rose zastanawiała się, czy nie wytłumaczyć im swojej obecności tutaj, ale zrezygnowała; na szczęście wydawali się kompletnie niezainteresowani. Była wyczerpana wyjaśnieniami w limuzynie.

Zegar na werandzie wskazywał dziesięć po czwartej. Pomyślała, że do piątej czas szybciej jej minie, jeśli pospaceruje po mieście.

Gdy tylko wyszła na zewnątrz, poczuła brzydki zapach i zaczęła się martwić, czy to przypadkiem nie od niej.

Wyjęła perfumy w sztyfcie, które kupiła na lotnisku w Vancouver – chociaż nie było jej na nie stać – i potarła nadgarstki i szyję. Zapach się utrzymywał i w końcu uświadomiła sobie, że niesie się od celulozowni. Po mieście spacerowało się trudno, ponieważ ulice były bardzo strome, a w wielu miejscach brakowało chodnika. Nie było gdzie powalęsać się bez celu. Miała wrażenie, że ludzie gapią się na nią, poznając obcą. Kilku mężczyzn zawołało coś do niej z samochodu. Przeglądając się w szybie wystawowej, zrozumiała, że wygląda tak, jakby chciała, żeby się na nią gapić i ją zaczepiać. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie z aksamitu, czarny, bardzo dopasowany golf i beżowy żakiet, który przerzuciła przez ramię, choć wiał chłodny wiatr. Ona, która kiedyś wołała szerokie spódnice i jasne kolory, dziecinne sweterki z angory, ozdobione ścięciem muszelkowym dekolty, obecnie nosiła prowokujące seksualnie stroje. Nowa bielizna, którą dziś włożyła, była z czarnej koronki i różowego nylonu. Na lotnisku w Vancouver pokryła rzęsy grubą warstwą tuszu, podkreśliła oczy czarnym ołówkiem i srebrnym cieniem do powiek; jej szminka była prawie biała. Taka była moda w tamtych czasach i Rose wyglądała mniej upiornie, niż wyglądałaby w latach późniejszych, ale i tak dość intrygująco. Pewność, z jaką nosiła taki strój, zmieniała się zależnie od okoliczności. Nie odważyłaby się paradować w nim przed Patrickiem ani Jocelyn. Kiedy szła w odwiedziny do Jocelyn, zawsze wkładała workowate spodnie i powyciągane swetry. Mimo to, gdy

Jocelyn otwierała drzwi, zawsze witała ją słowami: „Cześć, panienko sexy”, tonem przyjaznej wyższości. Sama Jocelyn była drastycznie zaniedbana. Ubierała się wyłącznie w stare ciuchy Clifforda. Stare spodnie, które się nie dopinały, ponieważ wciąż jeszcze nie straciła brzucha po ciąży, i wystrzępione białe koszule, które Clifford kiedyś wkładał na występy. Jocelyn najwyraźniej uważała dbanie o figurę, robienie sobie makijażu i wszelkie starania, by wyglądać ponętnie, za godne najwyższej pogardy; mniej więcej tak samo jak odkurzanie zasłon. Twierdziła, że Clifford jest podobnego zdania, że ceni sobie kompletny brak kobiecych sztuczek i ozdób; lubi nieogolone nogi i pachy, jak również naturalną woń. Rose była ciekawa, czy Clifford naprawdę to powiedział i dlaczego. Z litości czy z przyjaźni? A może jako żart?

Rose natknęła się na bibliotekę publiczną, weszła do środka i przebiegła wzrokiem po tytułach, ale nie mogła się skupić. Czowała obezwładniające, lecz nie przykre, pulsowanie w głowie i w całym ciele. Za dwadzieścia piątą wróciła na werandę i czekała.

Dziesięć po szóstej nadal czekała. Policzyła pieniądze w portmonetce. Dolar sześćdziesiąt trzy centy. Nie mogła pójść do hotelu. Przecież nie pozwolą jej zostać na werandzie przez całą noc. Mogła się jedynie modlić, żeby zjawił się Clifford. Nie wierzyła w to. Pewnie wypadło coś niespodziewanego; musiał pilnie wracać do domu, ponieważ zachorowało któreś z dzieci; złamał rękę w nadgarstku i nie mógł grać na skrzypcach; Powell River nie istnieje naprawdę, jest brzydko pachnącym mirażem, gdzie grzeszni podróżni są zwabiani za karę. Właści-

wie nie była zdziwiona. Uczyniła krok, którego nie powinna była robić, i oto, jak wylądowała.

Zanim staruszkowie udali się na kolację, spytała ich, czy przypadkiem nie słyszeli o koncercie, który ma się odbyć tego wieczoru w auli szkoły średniej. Odparli zrzędliwie, że nic im o tym nie wiadomo.

– Nigdy nie słyszeliśmy, żeby odbywały się tu jakieś koncerty.

Powiedziała, że jej mąż gra w orkiestrze i przyjechał na tournée z Vancouver. Miała się tu z nim spotkać.

Tutaj?

– Może zablądził – rzekł jeden ze staruszków. Wydało się jej, że mówi to złośliwym, znaczącym tonem. – Może się zgubił, he? Mężowie zawsze się gubią!

Zrobiło się już prawie ciemno. Był październik, a Powell River leżało na północ od Vancouver. Zastanawiała się gorączkowo, co robić. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to udać, że zemdląca i straciła pamięć. Czy Patrick kiedykolwiek w to uwierzy? Będzie zmuszona kłamać, że nie ma pojęcia, co robi w Powell River. Powiedzieć, że nie pamięta niczego, co mówiła w limuzynie, nic nie wie o orkiestrze. Będzie musiała przekonać policjantów i lekarzy, opiszą ją w gazetach. Och, gdzie jest Clifford, dlaczego zostawił ją na pastwę losu, może mieli wypadek na drodze? Powinna zniszczyć karteluszek w torebce, na którym zapisała jego wskazówki. Pomyślała, że musi również pozbyć się krążka dopochwowego.

Grzebała w torebce, gdy zobaczyła, że przed domem opieki parkuje mikrobus. Pomyślała, że to na pewno policja. Musieli

po nią zadzwonić staruszkowie i donieść, że jakaś kobieta zachowuje się podejrzanie.

Z mikrobusu wysiadł Clifford i wbiegł po stopniach na werandę. Poznała go dopiero po chwili.

Zamówili piwo i hamburgery w jednym z hoteli, innym niż ten, w którym zatrzymali się członkowie orkiestry. Dłonie Rose drżały tak bardzo, że rozchlapała piwo. Clifford wyjaśnił, że była dodatkowa próba, której nie przewidział. Potem przez pół godziny szukał dworca autobusowego.

Jej dłoń spoczywała na stole. Wytrzeł serwetką rozlane piwo, po czym nakrył ją swoją dłonią. Później często to wspominała.

– Może teraz zameldujmy cię tutaj.

– Nie zameldujemy się razem?

– Może lepiej ty sama.

– Od momentu, kiedy tu przyjechałam – powiedziała Rose – wszystko jest takie dziwne. Takie złowrogie. Miałam wrażenie, że wszyscy wiedzą.

Zaczęła mu opowiadać, miała nadzieję, że w zajmujący sposób, o kierowcy limuzyny, innych pasażerach, staruszkach w domu opieki.

– Poczulałam taką ulgę, kiedy cię zobaczyłam, ogromną ulgę. Dlatego tak się trzęsę.

Opowiedziała mu o swoim planie udawania amnezji i o decyzji, że powinna raczej wyrzucić krążek dopochwowy. Roześmiał się, ale bez zachwyty. Wydawało się jej, że gdy wspomniała o diafragmie, zacisnął lekko wargi, z niesmakiem lub naganą.

– Ale teraz jest cudownie – dodała pośpiesznie. Była to ich najdłuższa rozmowa twarzą w twarz.

– To tylko twoje poczucie winy. Co jest naturalne.

Pogłaskał ją po dłoni. Próbowwała pocierać palcem miejsce, gdzie wyczuwała jego puls, jak to zwykli robić. Zabrał rękę. Po upływie pół godziny spytała:

– Czy będzie w porządku, jeśli pójdę na koncert?

– A masz w dalszym ciągu ochotę?

– A co mogłabym tu poza tym robić?

Wzruszyła ramionami, mówiąc te słowa. Spuściła powieki, wyduła w zamyśleniu wargi. Bezwiednie naśladowała chyba Barbarę Stanwyck, wyobrażając sobie, jak zagrałaby w takiej sytuacji. Próbowwała znaleźć sposób bycia ponętną, na tyle powściągliwą i ponętną, żeby nakłonić go do zmiany decyzji.

– Chodzi o to, że muszę wrócić do mikrobusu i pojechać po resztę chłopaków.

– Mogę pójść piechotą. Powiedz mi, gdzie to jest.

– Niestety, trzeba stąd iść pod górę.

– Nie szkodzi.

– Rose, tak jest o wiele lepiej. Naprawdę.

– Skoro tak mówisz.

Nie udało jej się po raz drugi wzruszyć ramionami. Ciągle miała nadzieję, że można jakoś wszystko odkręcić i zacząć jeszcze raz. Od początku; sprostować; sprawić, żeby to nie było prawdą. Już popełniła błąd, pytając, co powiedziała lub zrobiła źle, on zaś odrzekł, że nic. Nic. Ona nie ma z tym nic wspólnego. To miesięczny pobyt z dala od domu spowodował, że widzi całą sytuację w innym świetle. Jocelyn. Dzieci. Krzywda.

– To tylko niewinny flirt – powiedział.

Był ostrzyżony krócej, niż kiedykolwiek widziała. Opaleni-
zna już zbladła. Właściwie wyglądał tak, jakby zrzucił skórę,
skórę, która kiedyś tak tęskniła za jej skórą. Znowu był bla-
dym i dość irytującym, lecz oddanym młodym mężem, jakie-
go obserwowała, gdy odwiedzał Jocelyn na oddziale położ-
niczym.

– Co takiego?

– To, co jest między nami. To nie coś wielkiego, bez czego
nie da się żyć, lecz zwykły flirt.

– Dzwoniłeś do mnie z Prince George. – Barbara Stanwyck
zniknęła, Rose usłyszała swój płaczliwy głos:

– Wiem – odrzekł tonem udręczonego męża.

– Czujesz się teraz tak jak wtedy?

– I tak, i nie. Mieliśmy takie plany. Czy nie byłoby gorzej,
gdybym powiedział ci przez telefon?

– Co rozumiesz przez niewinny flirt?

– Och, Rose.

– No, słucham.

– Wiesz, co mam na myśli. Gdybyśmy posunęli się dalej,
czy coś dobrego wynikłoby z tego dla nas wszystkich? Jak
sądzisz? Rose?

– Dla nas? – odrzekła. – Dużo dobrego.

– Nieprawda. Skończyłoby się wielkimi kłopotami.

– Tylko raz. Powiedziałeś: „tylko raz”. Powiedziałeś, że
będziemy mieli wspomnienie zamiast marzenia.

– Jezu, mówiłem mnóstwo głupot.

Mówił, że jej język jest jak ciepłokrwisty wąż, piękny wąż, a jej sutki jak jagody. Nie miał ochoty, żeby mu o tym przypomniano.

Uwertura do *Rustana i Ludmiły*: Glinka

Serenada na smyczki: Czajkowski

Symfonia nr 6 „Pastoralna”, część pierwsza: Beethoven

Moldawia: Smetana

Uwertura do *Wilhelma Tella*: Rossini

Przez długi czas nie mogła słuchać żadnego z tych utworów bez napadu wstydu, miała wrażenie, że ściany się na nią wałają, dusi ją sypiący się gruz.

Tuż przed wyjazdem Clifforda na tournée Jocelyn zadzwoniła do Rose i powiedziała, że opiekunka do dzieci nie może przyjść, a jest to dzień jej wizyty u psychiatry. Rose zaproponowała, że przyjdzie i zajmie się Adamem i Jerome'em. Już to kiedyś robiła. Zabrała ze sobą Annę i odbyła długą podróż trzema autobusami.

Dom Jocelyn był ogrzewany piecem na ropę w kuchni i ogromnym kominkiem w małym saloniku. Piec był cały w zaciekach; przed kominkiem wałały się skórki pomarańczy, fusy z kawy, kawałki zwęglonego drewna i popiół, który wysypał się z paleniska. Nie mieli piwnicy ani pralki z suszarką do bielizny. Pogoda była deszczowa i sznury pod sufitem, jak również stojące suszarki były zawieszane wilgotnymi poszarzałymi

prześcieradłami i pieluchami, sztywniejącymi ręcznikami. Z powodu braku pralki Jocelyn prała wszystko w wannie.

– Nie ma pralki ani suszarki, ale chodzi do psychiatry – rzekł z przekąsem Patrick, któremu Rose czasami nielojalnie opowiadała o tym, co jej zdaniem chciałby usłyszeć.

– Musi być chora psychicznie – powiedziała Rose. Patrick wybuchnął śmiechem.

Ale nie lubił, kiedy chodziła tam opiekować się dziećmi.

– Jesteś na każde jej zawołanie – narzekał. – Dziwne, że jeszcze nie szorujesz jej podłóg.

Prawdę mówiąc, robiła to.

Gdy Jocelyn była w domu, bałagan wydawał się naturalny, był zupełnie innej, sugestywnej jakości. Kiedy jej nie było, stawał się nie do wytrzymania. Rose zabierała się do roboty, zeskrobywała nożem starą, zaschniętą kaszkę z kuchennych krzesel, pucowała dzbanek do kawy, ścierała na mokro podłogę. Część czasu udawało się jej zaoszczędzić na małe śledztwo. Wchodziła do sypialni – musiała uważać na Jerome'a, nad wiek rozwiniętego, irytującego dzieciaka – by popatrzeć na skarpetki i bieliznę Clifforda, zmięte i poniewierające się razem ze starymi biustonoszami Jocelyn dla karmiących piersią i zniszczonymi pasami do pończoch. Sprawdzała, czy ma jakąś płytę w adapterze, szukając czegoś, co świadczyłoby o tym, że o niej myśli.

Telemann. Mało prawdopodobne. Ale włączyła płytę, żeby posłuchać tego, czego on słucha. Wypiła kawę z filiżanki, z której – jak przypuszczała – korzystał przy śniadaniu. Przykryła naczynie z ryżem po hiszpańsku, który jadł na kolację wczoraj

wieczorem. Szukała jakichś śladów jego obecności (nie używał maszynki elektrycznej, lecz staroświeckiego mydła do golenia, które rozrabiał w drewnianej miseczce), ale wierzyła, że jego życie w tym domu, domu Jocelyn, jest wyłącznie pozorem i czekaniem, tak jak jej życie w domu Patricka.

Gdy Jocelyn wróciła do domu, Rose czuła, że powinna przeprosić ją za to, że posprzątała. Jocelyn zaś tak naprawdę chciała pogadać o swojej sprzeczce z lekarką psychiatrą, która przypominała jej matkę, więc przyznała, że faktycznie potrzeba sprzątania Rose z pewnością jest tchórzliwą manią i niech lepiej sama idzie do psychiatry, jeśli kiedyś zechce się jej pozbyć. Żartowała; ale gdy Rose wracała autobusem do domu z marudną Anną, mając w perspektywie szykowanie kolacji dla Patricka, zastanawiała się, dlaczego chyba zawsze to, co robi, obraca się przeciwko niej. Sąsiadki miały jej za złe, że poświęca zbyt mało uwagi pracom domowym, a Jocelyn ganiła ją za to, że jest niewystarczająco tolerancyjna dla naturalnego chaosu i śmietnika życia. Żeby się z tym pogodzić, pomyślała o miłości. Jest kochana, nie tak, jak mąż kocha żonę, z obowiązku, lecz szaleńczo, cudzołożnie. Ani Jocelyn, ani sąsiadki Rose nie znają takiego uczucia. Godziła się z różnymi rzeczami, na przykład, gdy Patrick odwracał się w łóżku na bok z cichym pobłażliwym cmoknięciem, które oznaczało, że odpuszcza jej wszystkie wady na ten moment, kiedy będą uprawiali seks.

Przyzwoite i rozsądne słowa Clifforda nie przekonały Rose. Uważała, że ją zdradził. Nigdy nie wymagała od niego roz-

sądku ani przyzwoitości. Przyglądała się, siedząc na widowni szkoły średniej w Powell River, jak wodzi smyczkiem po skrzypcach z ponurą i uważną miną, z jaką kiedyś patrzył na nią. Nie wyobrażała sobie, jak się bez tego obejdzie.

Zadzwoniła w środku nocy do hotelu, w którym się zatrzymał.

– Proszę, porozmawiaj ze mną.

– Dobrze – rzekł Clifford po chwili milczenia. – Już dobrze, Joss.

Najwyraźniej dzielił pokój ze współlokatorem, którego musiał obudzić jej telefon. Udawał, że rozmawia z Jocelyn. A może był taki zaspany, że naprawdę pomylił ją z Jocelyn.

– Clifford, to ja.

– W porządku – powiedział Clifford. – Uspokój się. Idź spać.

Odłożył słuchawkę.

Jocelyn i Clifford mieszkają w Toronto. Nie są już biedni. Clifford odnosi sukcesy. Jego nazwisko widnieje na okładkach płyt, słyszy się je w radiu. Jego twarz, jeszcze częściej ręce, można zobaczyć w telewizji, gdy gra na skrzypcach. Jocelyn przeszła na dietę i zeszczuplała, jest modnie ostrzyżona. Ma fryzurę z przedziałką pośrodku głowy, włosy szczesane od twarzy, siwiejące na skroniach.

Mieszkają w dużym ceglany domu na skraju wąwozu. W ogródku na tyłach stoją karmniki dla ptaków. Wybudowali saunę, w której Clifford spędza mnóstwo czasu. Uważa, że dzięki temu nie zachoruje na artretyzm, tak jak ojciec. Boi się artretyzmu jak ognia.

Rose odwiedzała ich od czasu do czasu. Mieszkała sama na wsi. Uczyła w dwuletnim college'u przygotowującym do wyższych studiów i chętnie korzystała z ich gościnności, kiedy przyjeżdżała do Toronto i musiała zostać na noc. Chyba lubili jej wizyty. Mówili, że jest ich najdawniejszą przyjaciółką.

Pewnego razu podczas takiej wizyty Jocelyn opowiedziała jej historię o Adamie. Adam zajmował pokoje w suterenie ich domu. Jerome przeprowadził się do centrum i zamieszkał ze swoją dziewczyną. Adam sprowadzał do siebie dziewczyny.

– Czytałam w pracowni – powiedziała Jocelyn – a Clifforda nie było w domu. Z mieszkania Adama na dole dobiegł głos dziewczyny: „Nie, nie!”. Sypialnia znajduje się bezpośrednio pod pracownią. Zwróciliśmy mu uwagę, myśleliśmy, że będzie zakłopotany...

– Ja tak wcale nie myślałem – wtrącił Clifford.

– Ale on odparł, żebyśmy włączyli sobie głośno muzykę z płyty. Słuchałam więc dalej jęków i protestów jakiejś nieszczęsnej dziewczyny i nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że te sytuacje są naprawdę czymś nowym, nie mają precedensu... Czy powinno się powstrzymać własnego syna od gwałcenia jakiejś dziewczyny, jeśli robi to pod twoim nosem, a właściwie pod twoimi stopami? W końcu zeszałam na dół i zaczęłam wyjmować wszystkie nasze narty z szafy przylegającej do jego sypialni. Hałasowałam nimi jak diabli, myśląc, że powiem, iż zamierzam je wypolerować. Był wtedy lipiec. Adam nigdy nie pisał słowa na ten temat. Marzę, żeby się wyprowadził.

Rose z kolei opowiedziała, ile pieniędzy ma Patrick i że ożenił się z rozsądną kobietą, jeszcze bogatszą od niego, która

urządziła olśniewający salon z lustrami, meblami obitymi jasnym aksamitem oraz rzeźbą z drutu, przypominającą zdeformowane klatki dla ptaków. Patrickowi już nie przeszkadzała sztuka nowoczesna.

– Oczywiście nie mieszkają w naszym dawnym domu – wyjaśniła Rose. – Ciekawe, co zrobiła z wazonami z porcelany Wedgwood.

– Może ma kiczowatą pralnię. W jednym trzyma wybielacz, a w drugim detergent.

– Są symetrycznie ustawione na półce.

Ale Rose poczuła nagle, dobrze znane, wyrzuty sumienia.

– Mimo wszystko lubię Patricka.

– Dlaczego? – spytała Jocelyn.

– Jest miłszy od większości ludzi.

– Kompletnie bzdury – warknęła Jocelyn. – I założę się, że on ciebie nie lubi.

– Masz rację – przyznała Rose.

Zaczęła im opowiadać o podróży autobusem. To był jeden z tych przypadków, kiedy nie przyjechała własnym samochodem, ponieważ za wiele rzeczy naraz się w nim popsuło i nie stać jej było na naprawę.

– Mężczyzna, który siedział naprzeciwko mnie, opowiadał mi, że był kierowcą dużych ciężarówek. I że w naszym kraju w ogóle nie ma takich ciężarówek jak u nich w Stanach. – Zaczęła mówić z wiejskim akcentem. – W Ameryce mają specjalne drogi, które nazywają płatnymi autostradami, i mogą po nich jeździć wyłącznie ciężarówki. Ich przeglądu dokonuje się na tych drogach, prowadzących z jednego krańca kraju na

drugi, toteż większość ludzi w ogóle ich nie widuje. Są tak ogromne, że kabina jest wielkości połowy autobusu, w środku mieści się kierowca, pomocnik kierowcy i druga para kierujących. Śpią na przemian, żeby odpocząć, mają tam łóżka, toaletę, kuchnię, wszystko. Jeżdżą sto trzydzieści, sto czterdzieści kilometrów na godzinę, ponieważ na tych autostradach nie ma ograniczenia prędkości.

– Dziwaczejesz, mieszkając tam – zauważył Clifford.

– Pal licha ciężarówki, pal licha mitologię – przerwała mu Jocelyn. – Clifford znowu chce mnie zostawić.

Usadowili się wygodnie, pijąc i rozmawiając o tym, co powinni zrobić Clifford i Jocelyn. Taka rozmowa nie była niczym nowym. Czego tak naprawdę pragnie Clifford? Czy naprawdę nie chce dłużej być mężem Jocelyn, czy też pragnie czegoś nieosiągalnego? Przeżywa kryzys wieku średniego?

– Nie bądź taka banalna – rzekł Clifford do Rose. To ona wspomniała o kryzysie wieku średniego. – Przeżywam to, od kiedy skończyłem dwadzieścia pięć lat. Chciałem odejść już w chwili, gdy się w to wplątałem.

– To coś nowego u Clifforda – zauważyła Jocelyn. Wyszła do kuchni, by przynieść ser i winogrona. – Podjąć decyzję o odejściu i powiedzieć o tym – krzyknęła stamtąd.

Rose unikała wzroku Clifforda, nie dlatego, że łączyły ich sekrety, lecz z uprzejmości wobec Jocelyn, której w tej chwili nie było w pokoju.

– Ta sytuacja różni się od poprzednich – mówiła dalej Jocelyn, wracając z kuchni z półmiskiem serów i winogron w jednej ręce, i butelką ginu w drugiej – tym, że Clifford jest

całkiem szczerzy. Przedtem zrzędził i denerwował się, plótki rozmaite banialuki, które nie miały nic wspólnego z prawdziwym problemem. Teraz po prostu wywała go na stół. Wielka oślepiająca prawda. Absolutna iluminacja.

Rose miała kłopot z połapaniem się w intencjach przyjaciółki. Miała wrażenie, że mieszkanie na wsi sprawiło, iż wolniej kojarzy. Czy gadanina Jocelyn była parodią, sarkazmem? Nie. Mówiła całkiem poważnie.

– Zatem odejdę i zszargam tę prawdę dla ciebie – powiedział Clifford, uśmiechając się szeroko. Pił piwo z butelki. Uważał, że lepiej mu służy niż gin. – To niezaprzeczalna prawda, że od początku chciałem odejść. Ale prawdą jest też, że chciałem zostać. Chciałem być twoim mężem i chcę być twoim mężem, a jednocześnie nie mogłem znieść małżeństwa z tobą i nie mogę znieść małżeństwa z tobą. Jest to stała sprzeczność.

– Akurat! – prychnęła Rose.

– Usiłuję jedynie powiedzieć, że to nie kryzys wieku średniego.

– Cóż, może to było zbyt uproszczenie – zgodziła się Rose.

Niemniej jednak stwierdziła pewnym, rozsądnym, trzeźwym tonem, którego nabyła na wsi i który pasował jej do tej chwili, że wszystko kręci się wokół Clifforda. Czego Clifford naprawdę pragnie, czego potrzebuje? Czy musi mieć studio, czy potrzebne mu wakacje, czy powinien sam wyjechać do Europy? Co każe mu uważać, że Jocelyn będzie bez końca troszczyła się o jego dobro? Jocelyn nie jest jego matką.

– I to twoja wina – zwróciła się do Jocelyn – że nie kazałaś mu czegoś zrobić albo się zamknąć. Nieważne, czego on chce. „Zamknij się albo się wynoś” – tylko tyle powinnaś mu powiedzieć. Zamknij się albo się wynoś – powiedziała do Clifforda z udawaną szorstkością. – Wybacz, że jestem tak mało subtelna. Albo szczerze mówiąc, nieprzyjazna.

Wiedziała, że niczego nie ryzykuje, mówiąc nieprzyjaznym tonem. Więcej ryzykowałyby, będąc przesadnie uprzejmą lub obojętną. Sposób, w jaki do nich mówiła, świadczył o tym, że jest ich prawdziwą przyjaciółką i traktuje ich poważnie. I do tego momentu tak ich traktowała.

– Ona ma rację, ty pieprzony sukinsynu! – krzyknęła Jocelyn, tytułem eksperymentu. – Zamknij się albo się wynoś!

Kiedy wiele lat temu Jocelyn zadzwoniła do Rose, by przeczytać jej wiersz *Skowyt*, nie potrafiła, mimo swej zwykłej śmiałości, wymówić słowa „pieprzyć”. Próbowала się zmusić, po czym rzekła: Och, to głupie, ale nie mogę. Będę musiała mówić «tratata». Będziesz wiedziała, o co mi chodzi, jak powiem «tratata»?

– Ale ona wyraźnie powiedziała, że to twoja wina – bronił się Clifford. – To ty chcesz matkować. To ty chcesz być dorosła. To ty chcesz być cierpiętnicą.

– Bzdura! – odparła Jocelyn. – Ach, być może. Może tak. Może rzeczywiście.

– Założę się, że w szkole zawsze uczeptałaś się dzieciaków z problemami – powiedział Clifford z tym swoim czułym uśmiechem. – Tych biednych lub z trądzikiem, okropnie

ubranych albo z wadami wymowy. Na pewno odnosiłaś się do tych nieszczęśników z życzliwością.

Jocelyn podniosła nóż do sera i pogroziła mu.

– Uważaj. Nie masz trądziku ani wady wymowy. Jesteś obrzydliwie przystojny. I utalentowany. I fartowny.

– Mam trudne do przewyciężenia problemy z zaakceptowaniem roli dorosłego mężczyzny – oznajmił z fałszywą skromnością Clifford. – Tak twierdzi psychiatra.

– Nie wierzę ci. Psychiatrzy nigdy nie mówią, że coś jest nie do przewyciężenia. I nie używają tego żargonu. I nie wygłaszają takich opinii. Nie wierzę ci, Clifford.

– Cóż, tak naprawdę nie chodzę do psychiatry, tylko do kina na Yonge na sprośne filmy.

Clifford zostawił je i poszedł do sauny.

Rose odprowadziła go wzrokiem. Miał na sobie dżinsy i T-shirt z nadrukiem „Jestem przejazdem”. W pasie i biodrach był wąski jak dwunastolatek. Siwe włosy miał ostrzyżone króciutko na jeża, tak że prześwitywała skóra czaszki. Czy tak się obecnie strzygą muzycy, w czasach gdy politycy i księżowi noszą długie włosy i brody, czy też to tylko przewrotność Clifforda? Jego opalenizna wyglądała jak teatralny podkład, choć prawdopodobnie była naturalna. W ogóle było w nim coś teatralnego, napiętego, błyszczącego, szyderczego. Coś nieprzyzwoitego w jego chudości i w słodkim, a jednocześnie surowym uśmiechu.

– On dobrze się czuje? – spytała Rose Jocelyn. – Jest okropnie chudy.

– Chce tak wyglądać. Żywi się jogurtem i ciemnym chlebem.

– Nigdy się nie rozstaniecie – powiedziała Rose. – Macie zbyt piękny dom. – Wyciągnęła się na wzorzystym kilimie. Salon miał białe ściany, grube białe zasłony, stare sosnowe meble, duże jasne obrazy, wzorzyste kilimy. Na niskim okrągłym stoliku obok jej łokcia stała misa z polerowanymi kamyczkami. Niektórzy goście lubili obracać je w palcach. Kamyczki pochodziły z plaż Vancouver – Sandy Cove, English Bay, Kitsilano, Ambleside i Dundarave. Jerome i Adam nazbierali ich mnóstwo bardzo dawno temu.

Jocelyn i Clifford wyjechali z Kolumbii Brytyjskiej wkrótce po powrocie Clifforda z tournée. Przeprowadzili się do Montrealu, potem do Halifaxu i wreszcie do Toronto. Prawie nie pamiętali Vancouver. Kiedyś próbowali przypomnieć sobie nazwę ulicy, przy której mieszkali, i dopiero Rose ją im podsunęła. Kiedy Rose mieszkała w Capilano Heights, wiele czasu spędzała na przypominaniu sobie części Ontario, gdzie kiedyś mieszkała; w pewnym sensie pozostała wierna tamtym stronom. Teraz, gdy znowu przeniosła się do Ontario, wkładała tyle samo wysiłku w ożywienie w pamięci Vancouver, głowiąc się nad szczegółami, które same w sobie były zupełnie zwyczajne. Na przykład, usiłowała przywołać w pamięci miejsce, gdzie czeka się na autobus Pacific Stage jadący z Północnego do Zachodniego Vancouver. Wyobrażała sobie, że wsiada do tego starego zielonego autobusu, powiedzmy, o pierwszej w wiosenny dzień. Jedzie zaopiekować się dziećmi Jocelyn. Obok niej siedzi Anna w żółtym nieprzemakalnym płaszczu i takim samym kapeluszu. Zimny deszcz. Długi pas

pod-mokłego gruntu, gdy wjeżdża się do Zachodniego Vancouver. Obecnie znajdują się tam centra handlowe i wieżowce. Oczama wyobraźni widziała ulice, domy, stary supermarket Safeway, hotel St. Mawes, ścianę gęstego lasu, przystanek przy małym sklepiku, gdzie wysiada się z autobusu. Reklama papierosów Black Cat. Cedrowa wilgoć, gdy idzie się przez las do domu Jocelyn. Martwota wczesnego popołudnia. Czas drzemki. Młode kobiety pijące kawę i wyglądające przez zalane deszczem szyby. Starsze małżeństwa wyprowadzające psy. Odgłos stąpania po miękkiej ziemi. Rozkwitające krokusy, wczesne żonkile. Zupełnie inne nadmorskie powietrze, spokój. Anna uwieszona u jej ręki, brązowy drewniany domek Jocelyn. Coraz większy lęk, zbliżające się komplikacje, gdy podchodziła do domu.

Innych rzeczy tak chętnie sobie nie przypomiwała.

Wracając z Powell River, przez cały czas płakała w samolocie, ukryta za ciemnymi okularami. Płakała w poczekalni na lotnisku w Vancouver. Nie mogła powstrzymać łez i pojechać do domu do Patricka. Policjant w cywilu usiadł obok niej, rozpiął marynarkę, by pokazać jej odznakę i spytał, czy może jakoś jej pomóc. Ktoś musiał go wezwać. Przerazona, że tak zwraca na siebie uwagę, uciekła do damskiej toalety. Nie przeszło jej przez myśl, żeby poszukać baru i poprawić sobie samopoczucie drinkiem. W tamtych czasach nie chodziła do barów. Nie wzięła środka uspokajającego, nie miała żadnego, nie знаła ich. Może takie rzeczy nie istniały.

Cierpienie. Czym było? Wszystko było marnotrawstwem, nie przysporzyło jej chwały. Absolutnie niegodny żal. Zdep-

rana duma i wystawione na pośmiewisko marzenie. Zupełnie jakby wzięła młotek i celowo roztrzaskała sobie duży palec u nogi. Tak czasami myśli. Kiedy indziej znowu myśli, że było to konieczne, stało się początkiem zniszczeń i zmian, które doprowadziły do tego, że jest teraz tutaj, a nie w domu Patricka. Jak zwykle wielkie zamieszanie w życiu przyniosło nikły skutek.

Patrick zaniemówił, kiedy mu powiedziała. Nie miał przygotowanego kazania. Nie odzywał się przez długi czas, tylko chodził za nią po domu, gdy ona się usprawiedliwiała, skarżyła. Wyglądało na to, że chce, by mówiła dalej, chociaż nie mógł dać wiary temu, co słyszał, ponieważ byłoby znacznie gorzej, gdyby zamilkła.

Nie wyznała mu całej prawdy. Oznajmiła jedynie, że „ma romans” z Cliffordem, dając sobie w ten sposób mizerną pociechę, która została po chwili nadszarpnięta, lecz nie całkiem zniszczona, przez wygląd i milczenie Patricka. Wydało jej się nie fair z jego strony, nie w porę, że pokazał taką obnażoną twarz, taki niewłaściwy, niestrawny smutek.

Zadzwoił telefon i przez chwilę myślała, że to Clifford, który zmienił decyzję. Ale był to mężczyzna, którego poznała na przyjęciu u Jocelyn. Powiedział, że reżyseruje sztukę w radiu i potrzebuje wiejskiej dziewczyny. Zapamiętał jej akcent.

Nie Clifford.

Wolała tego nie wspominać. Lepiej było myśleć o widocznych przez okno mokrych od deszczu cedrach, krzewach malin i bujnej zieleni deszczowego lasu, o widokach utraconego

codziennego życia. Żółty nieprzemakalny płaszcz Anny. Dym z zatkanego przewodu kominowego u Jocelyn.

– Chcesz zobaczyć, jakie szmaty kupiłam? – spytała Jocelyn i zabrała Rose na górę. Pokazała jej haftowaną spódnicę i ciemnoczerwoną atlasową bluzkę. Jedwabną piżamę w kolorze żonkili. Długą nieforemną suknię z grubego materiału, sprowadzoną z Irlandii. – Wydaję majątek, a przynajmniej to, co kiedyś uważałabym za majątek. Długo się na to wyczekałam. Oboje długo czekaliśmy, zanim stać nas było na wydawanie pieniędzy. Nie potrafilismy tego robić. Gardziliśmy ludźmi, którzy mieli kolorowe telewizory. I wiesz co? Kolorowa telewizja jest fantastyczna! Siadamy teraz i zastanawiamy się: co jeszcze chcielibyśmy mieć? Może minipiekarnik do domku letniskowego? Może suszarkę do włosów? Wszystkie rzeczy, które inni ludzie znali od lat, ale my uważaliśmy, że jesteśmy ponad to. Wiesz, kim jesteśmy? – pytamy się nawzajem. Konsumentami! I dobrze nam z tym! I kupujemy nie tylko obrazy, książki i płyty. Zawsze je ceniliśmy. Kolorowy telewizor! Suszarki do włosów! Gofrownice!

– Kłatki dla ptaków na pilota! – wykrzyknęła radośnie Rose.

– To jest pomysł.

– Podgrzewane ręczniki.

– Podgrzewane suszarki do ręczników, kretyńko! Są śliczne.

– Elektryczne noże do mięsa, elektryczne szczoteczki do zębów, elektryczne wykałaczki!

– Niektóre z tych rzeczy wcale nie są takie złe, mimo że brzmią tak idiotycznie. Naprawdę.

Kiedyś Rose odwiedziła ich, gdy wydawali przyjęcie. Gdy już goście rozjechali się do domów, siedzieli we trójkę, Jocelyn, Clifford i Rose, na podłodze w salonie, wszyscy mocno wstawieni i bardzo zrelaksowani. Przyjęcie się udało. W Rose obudziło się jakieś dalekie i tęskne pożądanie; być może wspomnienie pożądania. Jocelyn powiedziała, że nie chce jeszcze iść spać.

– A co będziemy robili? – zainteresowała się Rose. – Nie powinniśmy już więcej pić.

– Możemy się kochać – zaproponował Clifford.

– Doprawdy? – spytały jednocześnie Jocelyn i Rose. Potem splotyły małe palce i wyrecytowały: – Dym idzie z komina.

Clifford rozebrał je powoli. Nie drżały, przed kominkiem było ciepło. Clifford uprzejmie okazywał swoje względy to jednej, to drugiej. Sam również zrzucił ubranie. Rose czuła się dziwnie, nie dowierzała temu, co się dzieje, była lekko podniecona, ale niezbyt chętna, zbyt spowolniona, by się zaangażować, przerażona i smutna. Mimo że w grze wstępnej Clifford pieścił je obie, to z nią ostatecznie się kochał, raczej szybko, na szorstkim kilimie. Jocelyn zdawała się unosić nad nimi, wydając dopingujące pomruki przyzwolenia.

Nazajutrz rano Rose musiała wyjść, zanim Jocelyn i Clifford się obudzili. Musiała jechać do centrum metrem. Przyłapała się na tym, że przygląda się mężczyznom z tym badawczym pragnieniem, z tą zimną i bolesną potrzebą, od której przez jakiś czas była wolna. Zaczęła ją ogarniać wściekłość. Była zła na Clifforda i Jocelyn. Czuła, że wystrychnęli ją na dudka, oszukali ją; pokazali jej, jak bardzo brakuje jej czegoś,

z czego nie zdawała sobie sprawy. Postanowiła, że nigdy więcej się z nimi nie spotka i że napisze do nich list, w którym skomentuje ich egoizm, tępotę i zwyrodnienie moralne. Do czasu, gdy skończyła pisać ten list w myślach, dla własnej satysfakcji, zdążyła już dojechać na wieś i uspokoić się. Zrezygnowała. Po pewnym czasie podjęła decyzję, że nadal będzie się przyjaźnić z Cliffordem i Jocelyn, albowiem na tym etapie życia potrzebni jej byli tacy przyjaciele.

Fatum

Rose przyśniła się Anna. To było krótko po tym, gdy odeszła od Patricka, zostawiając z nim Annę. Śniło jej się, że Anna wchodzi pod górę na Gonzales Hill. Wiedziała, że wraca ze szkoły. Podeszła do niej i chciała coś powiedzieć, ale Anna minęła ją bez słowa. Nic dziwnego. Była cała pokryta gliną, z której sterczały gałęzie i liście, tworząc wrażenie martwych girland. Dekoracja. Zniszczenie. A glina czy błoto nie były suche, wciąż z niej skapywały, tak że wydawała się jakaś niedokończona i smętna, spartaczony, tępy bożek.

– Czy chcesz jechać ze mną, czy zostać z tatusem? – spytała ją, ale Anna tylko pokręciła głową, mówiąc:

– Nie chcę, żebyś jechała.

Rose dostała pracę w stacji radiowej w górach Kootenay.

Anna leżała na łóżu z baldachimem, gdzie wcześniej sypiała Rose z Patrickiem, a od pewnego czasu Patrick sypiał sam. Rose przeniosła się do pracowni.

Anna układała się do snu właśnie w tym łóżku, a później Patrick przenosił ją do jej własnego łóżeczka. I Patrick, i Rose przegapili moment, kiedy przestało zdarzać się to sporadycznie i stało się normą. Wszystko w domu szwankowało. Rose

pakowała swoje rzeczy do bagażnika. Robiła to za dnia, kiedy Patricka i Anny nie było w domu. Ona i Patrick spędzali wieczory w różnych częściach domu. Pewnego razu weszła do salonu i zobaczyła, że Patrick umocowuje świeżą taśmą klejącą fotografie w albumie. Była na niego o to zła. Zobaczyła swoje zdjęcie z Anną w parku, jak buja ją na huśtawce; na innym ona w bikini, z uśmiechem wyższości; oczywiste kłamstwa.

– Wtedy nie było lepiej – powiedziała. – Ani trochę.

Miała na myśli, że podświadomie zawsze planowała to, co robi teraz. Nawet w dniu ślubu wiedziała, że ten czas nadejdzie, a jeśli nie, wolałaby umrzeć. To ona zdradziła.

– Wiem o tym – rzekł ze złością Patrick.

Ale oczywiście było lepiej, ponieważ nie próbowała zerwać od razu, zapominała na dłuższe okresy, że jest to nieuchronne. Nawet mówienie, że planowała zerwanie, że zaczęła się do tego przygotowywać, nie było prawdą, ponieważ nie robiła niczego celowo, z rozmysłem, było to bardzo bolesne i wyniszczające, następowało powoli, z wieloma wahaniem, godzeniem się i awanturami. W tej chwili czuła się, jak gdyby szła po chwiejnym wiszącym moście, patrząc tylko prosto przed siebie, nie spoglądając w dół ani na boki.

– Co wolisz, Anno? – spytała cicho córkę. Zamiast odpowiedzi Anna zawołała Patricka. Kiedy przyszedł, pociągnęła jedno i drugie na łóżko, po swoich obu stronach. Wtulona w rodziców, rozszłochała się, drżąc na całym ciele. Straszliwie dramatyczne dziecko, czasami takie bezbronne.

– Nie musicie – powiedziała głosem przerywanym łkaniem. – Już się przecież nie kłóćcie.

Patrick spojrział na Rose bez pretensji. Od lat, nawet gdy się kochali, zawsze oskarżał ją spojrzeniem, lecz teraz tak bardzo cierpiał z powodu Anny, że nawet i ten wyrzut gdzieś zniknął. Rose musiała wstać i wyjść, zostawiając Patricka, by sam pocieszał Annę, obawiała się bowiem wielkiego, zwodniczego przypływu uczuć do niego.

Rzeczywiście już się nie kłócili. Na przegubach i na ciele miała blizny po samookaleczeniach (nie w najbardziej niebezpiecznych miejscach), których dokonała za pomocą żyłki. Kiedyś w kuchni tego domu Patrick próbował ją udusić. Kiedy indziej wybiegła na dwór w nocnej koszuli i uklęknęła, by wyrwać garściami trawę. A jednak dla Anny ta utkana przez rodziców przeklęta pajęczyna błędów i dysharmonii, którą już dawno należało zerwać i wyrzucić (co widzieli wszyscy dookoła), wciąż była prawdziwym życiem, matką i ojcem, początkiem i schronieniem. Co za oszustwo, pomyślała Rose, oszustwo wobec wszystkich. Pochodzimy ze związków, które nie mają w sobie niczego, na co naszym zdaniem zasługujemy.

Napisała do Toma, co zamierza zrobić. Tom wykładał na uniwersytecie w Calgary. Rose była w nim trochę zakochana (tak mówiła przyjaciółkom: „trochę zakochana”). Poznała go rok temu – był bratem kobiety, z którą czasami grywała w sztukach w radiu – i od tamtej pory raz spędziła z nim noc w Victorii. Pisali do siebie długie listy. Był szarmanckim mężczyzną, historykiem, jego listy były dowcipne i delikatnie miłosne. Odrobinę się obawiała, że gdy Tom się dowie, iż odeszła od Patricka, będzie pisał do niej rzadziej albo bardziej powściągliwie, na wypadek gdyby za wiele od niego oczekiwała. Gdyby

coś jej chodziło po głowie. Ale tak się nie stało, nie był taki prostacki ani taki tchórzliwy. Ufał jej.

Przyjaciółkom powiedziała, że porzucenie Patricka nie ma nic wspólnego z Tomem i że prawdopodobnie nie będzie się z nim widywała częściej niż przedtem. Wierzyła w to, ale wybrała pracę w górskim miasteczku, a nie na wyspie Vancouver, ponieważ podobała jej się myśl, że będzie bliżej Calgary.

Rano Anna była wesoła, powiedziała, że nie ma problemu, chce zostać. Ma tutaj swoją szkołę, swoje przyjaciółki. Odwróciła się w połowie zbrocza, pomachała i zawołała do rodziców:

– Wszystkiego najlepszego z okazji rozwodu!

Rose myślała kiedyś, że gdy już odejdzie z domu Patricka, będzie mieszkała w pustym pokoju o brudnych, odrapanych ścianach. Będzie jej wszystko jedno, nie będzie zwracała sobie głowy urządzaniem go, nie cierpi tego wszystkiego. Mieszkanie, które znalazła – na piątym domu z brązowej cegły na górskim zboczu – faktycznie było brudne i odrapane, lecz natychmiast zabrała się do roboty. Śpiesznie położyła czerwono-złote tapety (w tutejszych mieszkaniach, jak się miała dowiedzieć, ściany były często przyozdobione eleganckimi, w mniemaniu właściciela, tapetami), które zwijały się i odrywały przy listwie. Kupiła klej i umocowała je. Kupiła rośliny zwisające i pielęgnowała je, by nie uschły. Powiesiła w łazience zabawne plakaty. Zapłaciła horrendalne pieniądze za indiańską narzutę, kosze, wyroby garncarskie i malowane kubki w jedynym sklepie w mieście, gdzie można było znaleźć takie rzeczy. Pomalowała kuchnię na biało-niebiesko, próbując uzyskać wzór

jak na chińskiej porcelanie. Właściciel obiecał zapłacić za farbę, ale nie dotrzymał słowa. Kupiła niebieskie świece, trochę kadzidełek, duży bukiet suszonych złotych liści i traw. Gdy skończyła, widać było, że mieszkanie niewątpliwie należy do kobiety, samotnej, raczej już niemłodej, która jest związana lub ma nadzieję być związana z uczelnią lub sztuką. Tak jak dom, w którym mieszkała przedtem, dom Patricka, wyraźnie należał do mężczyzny, biznesmena lub fachowca, który odziedziczył pieniądze i zasady.

Górskie miasteczko wydawało się odizolowane od świata, ale Rose właśnie częściowo z tego powodu je lubiła. Kiedy wraca się do małego miasteczka po latach mieszkania w dużych miastach, wszystko wydaje się zrozumiałe i łatwe, niemal jak gdyby zebrała się garstka ludzi, którzy zaproponowali: „Pobawmy się w miasteczko”. Ma się wrażenie, że tutaj nikt nie może umrzeć.

Tom napisał, że musi przyjechać, by się z nią spotkać. W październiku (nie spodziewała się, że nastąpi to tak wcześnie) nadarza się okazja, konferencja w Vancouver. Planował urwać się z konferencji dzień wcześniej, a w domu udawać, że został tam o dzień dłużej, by mieć w ten sposób dwa dni wolnego. Ale zadzwonił z Vancouver, że nie może przyjechać z powodu infekcji zęba. Bolało go straszliwie i musiał poddać się zabiegowi chirurgicznemu właśnie tego dnia, gdy miał się spotkać z Rose. Musiał więc i tak wziąć dodatkowy wolny dzień i czy Rose nie uważa, że spotkała go kara? Powiedział, że to kalwiński punkt widzenia, poza tym jest zamroczony bólem i pigułkami.

Jej przyjaciółka Dorothy spytała, czy Rose mu wierzy. Rose nawet nie przeszło przez myśl, że mogłaby nie uwierzyć.

– Nie sędzę, żeby wyciął taki numer – odparła.

– Och, oni robią różne rzeczy – wesoło, a nawet lekceważąco skwitowała jej słowa Dorothy.

Dorothy była jedyną kobietą w radiostacji poza Rose; dwa razy w tygodniu prowadziła program dla gospodyń domowych i jeździła po okolicy, wygłaszając pogadanki dla grup kobiet; miała wzięcie jako mistrz ceremonii na przyjęciach, na których rozdawano nagrody organizacjom młodzieżowym; i tak dalej, i tak dalej. Zaprzyjaźniły się z Rose przede wszystkim dlatego, że obie były mniej lub bardziej samotne, a także śmiały z natury. Dorothy miała kochanka w Seattle i nie ufała mu.

– Robią różne rzeczy – powtórzyła.

Piły kawę w Hole-in-One, małej kawiarence, gdzie sprzedawano też pączki, a która znajdowała się blisko miejsca pracy. Dorothy opowiedziała Rose o swoim dawnym romansie z właścicielem stacji, który jest już teraz stary i spędza większość czasu w Kalifornii. Podarował jej kiedyś na Gwiazdkę naszyjnik, jak twierdził, z nefrytów, który kupił podobno w Vancouver. Gdy oddawała naszyjnik do naprawy, bo zepsuło się zapięcie, spytała dumnie, ile jest wart. Jubiler podniósł go do światła i powiedział, że to wcale nie są nefryty. Kilka dni później żona właściciela przyszła go odwiedzić w pracy i pochwaliła się identycznym naszyjnikiem. Dorothy opowiadała, a Rose przyglądała się jej popielatej peruce, z pozoru efektownej i bujnej (choć ani przez chwilę nie można jej było wziąć za naturalne włosy), twarzy o zniszczonej, brzydkiej cerze, co

jeszcze podkreślały turkusowe cienie do powiek i peruka własnie. W dużym mieście wyglądałaby jak dziwka; tutaj ludzie uważali, że jest dziwaczną, lecz malowniczą przedstawicielką jakiegoś legendarnego świata mody.

– To był ostatni raz, kiedy zaufałam mężczyźnie – oznajmiła Dorothy. – W tym samym czasie, co ze mną, sypiał z inną kobietą, która tu pracowała – mężatką, kelnerką – i z opiekunką swoich wnuków! Jak ci się to podoba?

Na święta Bożego Narodzenia Rose pojechała do Patricka. Nie widziała się jeszcze z Tomem, ale przysłał jej haftowany ciemnobłękitny szal z frędzlami, który kupił podczas wyjazdu na konferencję do Meksyku na początku grudnia. Zabrał na nią żonę (po tym wszystkim, co jej obiecywał – zwierzyła się Rose Dorothy). Anna wyrosła przez te trzy miesiące. Uwielbiała wciągać brzuch, wypinając żebra, co nadawało jej wygląd zagłodzonego dziecka. Była pełna życia, wygimnastykowana, lubiła wygłupy i łamigłówki. Wchodząc z matką do sklepu – ponieważ Rose znowu robiła zakupy, gotowała, czasami ogarniał ją rozpaczliwy strach, że jej praca, mieszkanie i Tom są jedynie wytworem wyobraźni – powiedziała:

– Zawsze zapominam, kiedy jestem w szkole.

– Zapominasz o czym?

– Że nie ma cię w domu; a potem sobie przypominam. Jest tylko pani Kreber. – Pani Kreber była gosposią, którą zatrudnił Patrick.

Rose postanowiła zabrać Annę. Patrick nie oponował, powiedział, że może to najlepsze wyjście. Nie wytrzymał jednak w domu, gdy Rose pakowała rzeczy Anny.

Później Anna utrzymywała, że nie zdawała sobie sprawy, iż ma zamieszkać z Rose, myślała, że jedzie do niej w odwiedzin. Rose uznała, że córka musiała mówić i myśleć w taki sposób, by nie czuć się winną z powodu jakiegokolwiek decyzji.

Pociąg jadący w góry był opóźniony z powodu obfitych opadów śniegu. Stał długo na małych stacyjkach, spowity kłębam pary, gdy rozmrażano rury. Włożyły wierzchnie ubrania i biegały po peronie.

– Muszę ci kupić zimową kurtkę. I ciepłe buty.

Podczas ponurych zim na wybrzeżu kalosze i nieprzemakalny płaszcz z kapturem były całkiem wystarczające. Anna z pewnością rozumiała, że zostanie z matką, ale nie powiedziała nic.

W nocy, gdy Anna spała, Rose wyglądała przez okno na przeraźliwe zwały skrzącego się śniegu. Pociąg wspinał się pod górę powoli, w obawie przed lawinami. Rose nie odczuwała strachu, podobała się jej myśl, że są obie zamknięte w tym ciemnym przedziale, pod szorstkimi kocami z wyposażenia kolei, że jadą przez taki nieubłagany krajobraz. Zawsze wydawało się jej, że podróż pociągiem, chociaż ryzykowna, jest bezpieczna i właściwa. Miała natomiast wrażenie, że samolot może w każdej chwili przestraszyć się tego, co robi, i spaść bez jednego słowa protestu.

Posłała Annę do szkoły w nowym zimowym stroju. Wszystko układało się dobrze, Anna nie migała się ani nie cierpiała jako outsiderka. Nie minął tydzień, a przyprowadzała dzieciaki do domu i odwiedzała koleżanki. Rose wychodziła jej na spotkanie, ponieważ wcześniej zapadał mrok. Wzdłuż ulic leżały

wysokie hałdy śniegu. Jesienią z gór przywędrował niedźwiedź, pojawił się w mieście. Wiadomość o tym podano przez radio. „Niezwykły gość, czarny niedźwiedź, spaceruje po Fulton Street. Zaleca się nie wypuszczać dzieci na dwór”. Rose zdawała sobie sprawę, że jest mało prawdopodobne, żeby niedźwiedź przechadzał się zimą po mieście, mimo to jednak martwiła się. Obawiała się też samochodów, ponieważ ulice były bardzo wąskie i na skrzyżowaniach trudno było coś dostrzec. Czasami Anna wybierała inną drogę do domu i Rose szła do jej koleżanki tylko po to, żeby się dowiedzieć, iż córki tam nie ma. Potem biegła przez całą drogę powrotną stromymi ulicami i po długich schodach, serce omal jej nie wyskakiwało z piersi ze zmęczenia i ze strachu, który starała się ukryć, gdy znajdowała w domu Annę.

Serce waliło jej również, gdy targała rzeczy do pralni i zakupy ze sklepu. Pralnia samoobsługowa, supermarket, sklep monopolowy, wszystkie mieściły się u stóp wzgórza. Była na okrągło zajęta. Zawsze miała niecierpiące zwłoki plany na następną godzinę. Zabrać buty od szewca, umyć i ufarbować włosy, załatać kurtkę Anny przed jutrzejszą szkołą. Poza tym praca, która była dość męcząca; wprawdzie Rose robiła to samo co zawsze, lecz w trudniejszych warunkach. Te codzienne obowiązki dawały jej zadziwiająco duży komfort psychiczny.

Kupiła Annie dwie rzeczy: złotą rybkę i telewizor. W mieszkaniu nie wolno było trzymać kotów ani psów, wyłącznie ptaszki i rybki. Pewnego dnia w styczniu, w drugim tygodniu pobytu Anny u niej, Rose wyszła jej na spotkanie po szkole i zabrała ją do Woolwortha, żeby kupić rybkę. Gdy spojrzała

na twarz córki, wydało jej się, że jest brudna, dopiero po chwili zorientowała się, że to ślady łez.

– Słyszałam dzisiaj, jak ktoś wołał Jeremego – powiedziała Anna – i myślałam, że Jerem jest tutaj. – Jerem był chłopczykiem, z którym często bawiła się w domu.

Rose napomknęła o rybce.

– Brzuch mnie boli.

– Może jesteś głodna? Ja chętnie napiłabym się kawy. A ty na co masz ochotę?

To był okropny dzień. Szły przez park, skrótem do centrum. Nastąpiła odwilż, potem znowu złapał mróz i warstwa lodu wszędzie była pokryta wodą lub topniejącym śniegiem. Świeciło słońce, ale był to ten rodzaj słonecznego blasku, od którego bołą oczy, ubrania stają się za ciężkie, który potęguje chaos i trudności, takie jak na przykład w tej chwili, gdy ledwie udawało im się iść po śliskim lodzie. Dookoła pełno było nastolatków obojga płci, radośnie pokrzykujących i ślizgających się, nieopodal chłopak i dziewczyna siedzieli na oblodzonej ławce, całując się ostentacyjnie, co sprawiło, że Rose poczuła się jeszcze bardziej zniechęcona.

Anna poprosiła o mleko o smaku czekoladowym. Nastolatki towarzyszyły im do restauracji, staroświeckiego lokalu z wysokimi boksami z lat czterdziestych, którego właścicielką była kucharka o pomarańczowych włosach, potocznie nazywana Dree. Obskurna rzeczywistość, którą ludzie oglądają z nostalgią na filmach, ale co najlepsze, tutaj nikt nie widzi niczego, za czym warto by tęsknić. Dree prawdopodobnie zbierała pieniądze, żeby wyremontować knajpkę. Dziś jednak Rose myś-

łała o restauracjach, które jej to miejsce przypominało, a do których chodziła kiedyś po szkole. Pamiętała, jaka była w nich nieszczęśliwa.

– Nie kochasz tatusia – powiedziała Anna. – Wiem, że go nie kochasz.

– Cóż, lubię go – odrzekła Rose. – Po prostu nie możemy mieszkać razem, to wszystko.

Jak w wielu sprawach, gdy człowiek udziela odpowiedzi, jaką zalecają psycholodzy, zabrzmiało to fałszywie i Anna zareagowała natychmiast:

– Nie lubisz go. Po prostu kłamiesz.

Zaczynała mówić coraz pewniejszym głosem i wyraźnie nie mogła się doczekać, żeby zatriumfować nad matką.

– Może nie?

Rose była bliska potwierdzenia, że go nie lubi. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, proszę bardzo – miała ochotę powiedzieć. Anna chciała, ale czy sobie z tym poradzi? Jak ocenić, co dziecko zdoła znieść? I prawdę mówiąc, w odniesieniu do Patricka słowa „kocham”, „niekocham”, „lubię”, „nie lubię”, nawet „nie-nawidzę”, nie miały dla Rose znaczenia.

– Brzuch wciąż mnie boli – oznajmiła Anna z pewną satysfakcją i odsunęła napój czekoladowy. Odebrała jednak sygnał ostrzegawczy i nie chciała ciągnąć tego dalej.

Kupiły pomarańczową rybkę, niebieską nakrapianą rybkę, czarną rybkę o aksamitnym ciele i okropnie wylupiastych oczach i zaniósły wszystkie w plastikowej torebce do domu. Kupiły też kuliste akwarium, kolorowe kamyczki i sztuczną zieloną roślinkę. Obydwóm u Woolwortha wrócił humor,

wśród lśniących rybek, śpiewających ptaszków, jasnoróżowej i zielonej bielizny, luster w połączonych ramach, kuchennych plastików. Wyróżniał się zwłaszcza wielki homar z czerwonej gumy.

W telewizji Anna lubiła oglądać *Sąd rodzinny*, program o nastolatkach chcących dokonać aborcji, paniach przyłapanych na kradzieży w sklepie i ojcach, którzy zjawili się po wielu latach, by odzyskać dzieci, które wołały swoich ojczymów. Poza tym serial *Grunt to rodzinka*. Występowała w nim rodzina Bradych, składająca się z sześciorga ślicznych, pełnych życia dzieciaków (które były w sposób komiczny źle rozumiane lub same źle rozumiały innych), pięknej jasnowłosej matki, przystojnego ciemnowłosego ojca i wesołej gosposi. Nadawano go o szóstej wieczorem i Anna oglądała go, jedząc kolację. Rose pozwalała na to, ponieważ o tej porze często chciała popracować. Zaczęła nakładać jedzenie do miseczek, żeby Anna mogła sobie łatwiej poradzić. Zrezygnowała z podawania na kolację mięsa, ziemniaków i warzyw, ponieważ większość szła do śmieci. Zamiast tego przygotowywała chili, jajecznicę, kanapki z bekonem i pomidorem, parówki w cieście. Czasami Anna miała ochotę na płatki zbożowe i Rose godziła się na to. Potem jednak przechodziło jej przez myśl, że coś jest straszliwie nie w porządku, gdy widziała Annę wpatrzoną w ekran telewizora i jedzącą płatki Captain Crunch, w czasie gdy inne rodziny gromadziły się przy stołach w kuchni lub w jadalni, szykując się do jedzenia, kłócili się, rozśmieszały i dokuczały sobie nawzajem. Kupiła kurę i ugotowała pożywną zupę z warzywami i kaszą

jęczmienną. Anna zażądała płatków, twierdząc, że zupa ma dziwny smak.

– To pyszna zupa! – krzyknęła Rose. – Prawie nie wzięłaś jej do ust, Anno. Proszę, spróbuj.

Omam nie powiedziała: „Zrób to dla mnie”. Poczwała ulgę, gdy Anna odrzekła spokojnie:

– Nie.

O ósmej zwykle zaczynała zaganiać Annę do kąpieli, do łóżka. Dopiero gdy wszystko było dopięte na ostatni guzik – kiedy przyniosła ostatnią szklankę napoju czekoladowego, sprzątnęła łazienkę, pozbierała papiery, kredki, filcowe wyci-nanki, nożyczki, brudne skarpetki, warcaby, a także koc, którym owijała się Anna, oglądając telewizję, ponieważ w mieszkaniu było zimno, przygotowała dla córki drugie śniadanie do szkoły na następny dzień, zgasiła światło mimo protestów Anny – Rose mogła usiąść z drinkiem lub filiżanką kawy z dodatkiem rumu i oddać się uczuciu satysfakcji, aprobaty. Gasiła światło i siadała przy frontowym oknie, patrząc na to górskie miasteczko, o którego istnieniu jeszcze rok temu nie wiedziała, i myślała, że to cud, iż to wszystko się wydarzyło. Przejechała taki szmat drogi, pracowała, miała Annę, utrzymywała i ją, i siebie. Obecność Anny w tym mieszkaniu była tak naturalna, jak niegdyś fakt, że nosiła ją pod sercem. Nie musiała wchodzić do sypialni, żeby widzieć z zaskakującą, trwożną przyjemnością jasne włosy i bladą skórę, lśniące brwi, profil. Jeśli przyjrzeć się z bliska, w świetle można było dostrzec na policzkach delikatny, niemal niewidoczny puszek. Po raz pierwszy w życiu

Rose zrozumiała znaczenie słów „zacisze domowe”, „schronienie” i usiłowała sobie z tym poradzić.

– Z jakiego powodu postanowiłaś zakończyć swoje małżeństwo? – spytała Dorothy. Ona również dawno temu była zamężna.

Rose nie wiedziała, o czym wspomnieć najpierw. O bliznach na nadgarstkach? O duszeniu w kuchni, o wrywaniu garściami trawy? Nie o to przecież chodziło.

– Ja byłam po prostu znudzona – powiedziała Dorothy. – Szczerze mówiąc, zanudziłam się niemal na śmierć.

Była mocno podpita. Rose wybuchnęła śmiechem.

– Z czego się, u diabła, śmiejesz? – spytała Dorothy.

– To taka ulga słyszeć, że ktoś to mówi. Zamiast ściemniać o niezgodności charakterów.

– Cóż, zgodni też nie byliśmy. Tak naprawdę oszalałam na punkcie kogoś innego. Miałam romans z facetem, który pracował w gazecie. Był dziennikarzem. Wyjechał do Anglii i napisał do mnie zza Atlantyku list, wyznając, że naprawdę mnie kocha. Napisał list, ponieważ był po drugiej stronie Atlantyku, a ja byłam tutaj, ale ja nie miałam dość rozumu, żeby to do mnie dotarło. I wiesz, co zrobiłam? Rzuciłam męża – to najmniejsza strata – pożyczylam w banku pieniądze, tysiąc pięćset dolarów. I poleciałam za nim do Anglii. Zadzwoiłam do redakcji jego gazety, gdzie mnie poinformowano, że jest teraz w Turcji. Siedziałam w hotelu, czekając na jego powrót. Co za koszmarny czas. Nie wyściubiłam nosa z pokoju. Gdy szłam na masaż albo do fryzjera, zostawiałam wiadomość, gdzie można mnie znaleźć. Zadręczałam recepcjonistów kilkadziesiąt razy

dziennie. Czy nie ma listu? Czy nikt nie dzwonił? Boże, Boże, Boże!

– A on w końcu wrócił?

– Zadzwoiłam jeszcze raz do redakcji. Powiedziano mi, że wyjechał do Kenii. Dosłownie mną zatrzęsło. Zrozumiałam, że muszę się pozbierać i pozbierałam się, w samą porę. Poleciałam z powrotem do domu. Powoli zaczęłam spłacać ten cholerny bank.

Dorothy napiła się czystej wódki ze szklaneczki na wodę.

– Ach, po jakichś dwóch czy trzech latach spotkałam go, zaraz, gdzie to było? Na lotnisku. Nie, w supermarkecie. „Tak mi przykro, że się minęliśmy, gdy przyjechałaś do Anglii”, powiedział. „Och, nic się nie stało, odparłam, świetnie się bawiłam”. Wciąż jeszcze spłacałam wtedy bank. Powinnam była mu powiedzieć, że jest gnojkiem.

W pracy Rose czytała reklamy i prognozy pogody, odpowiadała na listy, odbierała telefony, przepisywała na maszynie wiadomości, podkładała głosy w niedzielnych skeczach napisanych przez miejscowego pastora i planowała przeprowadzać wywiady. Chciała napisać książkę o pierwszych osadnikach miasteczka; rozmawiała z niewidomym mężczyzną, który mieszkał nad sklepem z paszą dla zwierząt. Opowiedział jej, że w dawnych czasach przywiązywano jabłka i czereśnie do gałęzi sosen i cedrów, robiono zdjęcia, po czym wysyłano je do Anglii. To przyciągało angielskich imigrantów, przekonanych, że jadą do kraju, gdzie już kwitną sady. Gdy zrelacjonowała tę historię w swojej stacji, wszyscy się śmiali; słyszeli ją niezliczoną ilość razy.

Nie zapominała o Tomie. On pisał; ona pisała. Bez tego związku z mężczyzną wydawałaby się sobie niepewna i godna politowania; przytrzymał na miejscu jej nowe życie. Przez chwilę wydawało się, że im się poszczęściło. W Calgary organizowano konferencję na temat roli radia w życiu wsi czy coś w tym rodzaju i stacja zdecydowała wysłać Rose. I to bez żadnych zabiegów z jej strony. Oboje z Tomem cieszyli się jak wariaci podczas rozmowy telefonicznej. Spytała jedną z młodych nauczycielek mieszkających po drugiej stronie korytarza, czy mogłaby u niej zamieszkać i zaopiekować się Anną. Dziewczyna zgodziła się z wielką chęcią, ponieważ do mieszkania, które dzieliła z drugą nauczycielką, wprowadził się chłopak tamtej i chwilowo zrobiło się ciasno. Rose odwiedziła sklep, w którym kupiła kiedyś narzutę i wyroby garncarskie; tym razem skusiła się na wielobarwną suknię z wyhaftowanymi ptaszkami, przypominającą kaftan lub koszulę nocną. Ptaszki przywodziły jej na myśl słowika cesarza. Zrobiła sobie świeżą płukankę do włosów. Musiała jechać prawie sto kilometrów autobusem, a następnie złapać samolot. Zamieni godzinę panicznego strachu na dodatkowy czas w Calgary. Koledzy w stacji świetnie się bawili, strasząc ją opowieściami, jak małe samoloty wzbijają się niemal pionowo w powietrze z lotniska położonego wśród gór, a potem wpadają w turbulencje nad pasmem Rockies. Rose uważała, że nie przystoi umierać w taki sposób, zginąć w katastrofie lotniczej w drodze do Toma. Myślała tak mimo gorączkowego podniecenia, z jakim czekała na tę podróż. Głupio byłoby umrzeć podczas niej. Podejmowanie takiego ryzyka wydawało się zdradą. Nie wobec

Anny, a już z pewnością nie wobec Patricka, lecz wobec samej siebie. Ponieważ jednak zdecydowała się na podróż lekkomyślnie, ponieważ nie była ona całkiem rzeczywista, wierzyła, że nie umrze.

Była w tak świetnym humorze, że cały czas grała z Anną w chińskie warcaby i w każdą grę, na którą tylko córka miała ochotę. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu – zamówiła taksówkę na wpół do szóstej rano – gdy grały w chińskie warcaby, Anna powiedziała: „Och, nie widzę niebieskich kulek” i spuściła głowę nad planszą, bliska płaczu, co się jej nigdy nie zdarzało podczas gry. Rose dotknęła jej czoła i zaprowadziła, pojękującą, do łóżka. Zmierzyła temperaturę – Anna miała prawie trzydzieści dziewięć stopni. Było za późno, żeby dzwonić do Toma do pracy, a nie mogła oczywiście telefonować do domu. Zadzwoiła natomiast na lornisko i do korporacji taxi, żeby odwołać lot i kurs na dworzec autobusowy. Nawet gdyby Anna poczuła się rano lepiej, nie mogłaby jej zostawić. Poszła do dziewczyny, która miała opiekować się Anną, a następnie zawiadomiła organizatora konferencji w Calgary.

– O mój Boże, no cóż – jęknął. – Dzieci!

Rano, gdy Anna opatulona w koc oglądała kreskówki, Rose zadzwoniła do Toma, do biura.

– Jesteś tutaj, jesteś wreszcie! – zawołał. – Gdzie się zatrzymałaś?

Musiła mu powiedzieć.

Annę męczył kaszel, gorączka to jej rosła, to opadała. Rose próbowała zwiększyć ogrzewanie, majstrowała przy termostacie, odpowietrzyła kaloryfery, w końcu zostawiła właścicielowi

wiadomość na automatycznej sekretarce w jego biurze. Nie odezwał się. Nazajutrz o siódmej rano zatelefonowała do niego do domu, powiedziała mu, że jej dziecko ma zapalenie oskrzeli (w co, być może, wtedy wierzyła, ale co nie było prawdą) i że daje mu godzinę na naprawę ogrzewania albo zadzwoni do gazety, nie zostawi na nim suchej nitki w radiu, wystąpi na drogę sądową, znajdzie odpowiednie kanały. Zjawił się natychmiast, z udręczoną miną (biedny człowiek, z trudem wiążący koniec z końcem, prześladowany przez rozhisteryzowaną kobietę), zrobił coś przy termostacie w korytarzu i kaloryfery zaczęły grzać. Nauczycielki powiedziały Rose, że ustawił termostat w taki sposób, by kontrolować temperaturę, i nigdy nie reagował na ich protesty. Była dumna, czuła się jak zawzięta matka ze slumsów, która krzyczy, przeklina i nie ustępuje, dla dobra dziecka. Zapomniała, że matki ze slumsów rzadko bywają zawzięte, są na to zbyt zmęczone i zdezorientowane. To jej pewność przedstawicielki klasy średniej, oczekiwanie sprawiedliwości, napełniły ją taką energią, pozwoliły potraktować właściciela mieszkania z arogancją, która go przestraszyła.

Po dwóch dniach musiała pójść do pracy. Anna czuła się lepiej, ale Rose ciągle się martwiła. Gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła przelknąć łyka kawy. Annie nic już nie dolegało, brała syrop na kaszel i siedziała w łóżku, kolorując rysunki. Kiedy matka wracała do domu, Anna opowiadała jej różne historie. O księżniczkach.

Była biała księżniczka w sukni ślubnej, ze sznurem pereł na szyi. Jej zwierzątkami domowymi były łabędzie, owieczki i niedźwiedzie polarne, w ogródku rosły lilie i narcyzy. Ja-

dała purée ziemniaczane, lody waniliowe, wiórki kokosowe i bezy z wierzchu ciasta. Różowa księżniczka hodowała róże, żywiła się truskawkami i trzymała na smyczy flamingi (Anna opisywała je, ale nie wymyśliła imion). Błękitna księżniczka utrzymywała się przy życiu dzięki winogronom i atramentowi. Brązowa księżniczka, choć w burym stroju, ucztowała wystawniej od pozostałych; w jej jadłospisie była pieczeń wołowa w sosie, tort czekoladowy z czekoladową polewą i lody czekoladowe z sosem czekoladowo-karmelowym. A co miała w ogródku?

– Wstrętne rzeczy – odrzekła Anna. – Wszędzie na ziemi.

Tym razem Tom i Rose nie mówili tak otwarcie o swoim rozczarowaniu. Zaczęli trochę się hamować, być może podejrzewać, że przynoszą sobie nawzajem pecha. Pisali czułe, troskliwe i zabawne listy, jak gdyby ostatnie zdarzenie nie miało miejsca.

W marcu zadzwonił, by ją poinformować, że żona wyjeżdża z dziećmi do Anglii, a on ma po dziesięciu dniach dołączyć do niej. Ach, będziemy mieli całe dziesięć dni, wykrzyknęła Rose, wymazując z umysłu jego długą późniejszą nieobecność (miał zostać w Anglii do końca lata). Okazało się, że właściwie to nie będzie całe dziesięć dni, ponieważ w drodze do Anglii wstępuje jeszcze do Madison w stanie Wisconsin. „Ale najpierw musisz przyjechać tutaj – powiedziała Rose, tłumiąc rozczarowanie – ile będziesz mógł zostać? Tydzień”. Wyobraziła sobie, jak długo jedzą śniadanie w promieniach słońca. Widziała siebie w stroju z haftowanym słowikiem cesarza. Zaparzy filtrowaną kawę (powinna kupić dzbanek z filtrem) i poda tę pyszną

wytrawną marmoladę w kamiennym słoiku. Nie poświęciła ani jednej myśli porannym obowiązkom w stacji.

Odparł, że nie jest pewien, przyjeżdża jego matka, by pomóc wyprawić Pamelę i dzieci, nie może po prostu spakować manatków i zostawić jej. Byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby to Rose przyjechała do Calgary.

Potem nagle rzekł radośnie, że mogliby pojechać do Banff. Czy udałoby się jej wziąć kilka dni urlopu, co powiedziałyby na długi weekend? Spytała, czy uważa, że Banff to dla niego dobry wybór, może przecież wpaść tam na kogoś znajomego. Nie, odparł, nie, wszystko będzie dobrze. Rose nie była taka szczęśliwa jak on, ponieważ pobyt z nim w Victorii nie pozostawił jej najlepszych wspomnień. Tom zszedł na dół do holu hotelowego po gazetę i zadzwonił do ich pokoju, żeby sprawdzić, czy jest na tyle mądra, by nie odbierać telefonu. Owszem, była na tyle mądra, ale to zagranie ją przygnębiło. Mimo to zgodziła się, świetnie, cudownie, oboje wyciągnęli kalendarze, żeby uzgodnić dni. Obojgu pasował weekend, Rose miała cały weekend wolny. I prawdopodobnie uda się jej również wziąć wolny piątek i przynajmniej część poniedziałku. Dorothy załatwi za nią absolutnie konieczne sprawy, jest jej winna kilka godzin pracy. Rose zastąpiła ją, gdy Dorothy z powodu mgły utknęła na lotnisku w Seattle. Przez godzinę czytała na antenie porady domowe i przepisy kulinarne, które jej zdaniem były do kitu.

Zostały jej dwa tygodnie na załatwienie wszystkich spraw. Porozmawiała jeszcze raz z nauczycielką, która obiecała zająć się Anną. Kupiła sweter. Miała nadzieję, że nikt nie będzie od

niej oczekiwał, że nauczy się w tym czasie jeździć na nartach. Będą raczej chodzili na spacer. Pomyślała, że większość czasu spędzą, jedząc, pijąc, rozmawiając i kochając się. Myśl o tym ostatnim ćwiczeniu trochę ją martwiła. Ich rozmowy telefoniczne były obyczajne, prawie nieśmiałe, ale listy, gdy już byli pewni, że się spotkają, pełne namiętnych obietnic. Rose lubiła je czytać i pisać, ale nie pamiętała Toma tak wyraźnie, jak by tego pragnęła. Nie zapomniała, jak wygląda, że jest niezbyt wysoki, szczupły, ma siwe falujące włosy i długą inteligentną twarz, ale kompletnie uleciały jej z pamięci drobne irytujące cechy, nastrój czy zapach. Aż za dobrze pamiętała natomiast, że nie cały wspólny pobyt w Victorii był sukcesem, coś między przekleństwem a przeprosinami, śliski skraj porażki. Zwłaszcza z tego powodu miała wielką ochotę ponownie spróbować, by tym razem wszystko się udało.

Miała wyjechać w piątek wczesnym rankiem, tymi samymi środkami lokomocji, jakie zaplanowała przy poprzedniej okazji.

We wtorek rano zaczął padać śnieg. Nie przejęła się tym. To był mokry, śliczny śnieg, który sypał z nieba wielkimi płatkami. Zastanawiała się, czy w Banff też pada. Miała nadzieję, że tak, podobał się jej pomysł, że będzie leżała w łóżku i przyglądała się wirującym w powietrzu śnieżynkom. Padało mniej więcej równomiernie przez dwa dni i późnym popołudniem w czwartek, kiedy pojechała odebrać swój bilet w biurze podróży, powiedziano jej, że lotnisko zostało zamknięte. Nie pokazała po sobie, że jest zmartwiona. Prawdę mówiąc, wcale się nie zmartwiła, wręcz poczuła lekką ulgę,

że nie będzie musiała podróżować samolotem. Spytała o połączenie kolejowe, ale oczywiście pociąg nie kursował do Calgary, tylko do Spokane. To wiedziała już wcześniej. „W takim razie autobus”, powiedziała. Pracownik biura podróży zadzwonił gdzieś, by się upewnić, że autostrady są czynne i autobusy kursują. Podczas tej rozmowy serce zaczęło jej bić mocniej, ale okazało się, że wszystko jest w najlepszym porządku, drogi są przejezdne i autobusy kursują. Powiedziano jej, że niestety autobus wyjeżdża o wpół do pierwszej, to znaczy, o wpół do pierwszej w nocy, i dociera do Calgary nazajutrz koło drugiej po południu.

– Nie szkodzi.

– Musi pani bardzo zależeć, by dostać się do Calgary – zauważył niechłujny młody mężczyzna. Biuro podróży było naprawdę w oplakanyim stanie, mieściło się w holu hotelowym tuż przy wejściu do piwiarni.

– Właściwie chcę się dostać do Banff – rzekła odważnie. – I rzeczywiście bardzo mi zależy.

– Jedzie pani na narty?

– Może. – Była przekonana, że domyślił się wszystkiego. Nie wiedziała wtedy, jak powszednią rzeczą są takie potajemne wypadki. Miała wrażenie, że aura grzechu tańczy wokół niej jak prawie niewidoczne płomyki gazowego palnika.

Wróciła do domu, myśląc, że naprawdę poczuje się lepiej, gdy już wsiądzie do autobusu i będzie coraz bliżej Toma, zamiast leżeć bezsennie w łóżku. Będzie musiała tylko poprosić nauczycielkę, żeby wprowadziła się do niej dzisiaj wieczorem.

Nauczycielka czekała na nią, grając z Anną w chińskie warcaby.

– Och, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Strasznie mi przykro, ale coś się stało – rzekła na wstępie.

Podobno jej siostra, mieszkająca w Vancouver, poroniła i potrzebowała pomocy.

– Mój chłopak zawiezie mnie do niej jutro, jeśli uda nam się w ogóle przejechać.

Rose po raz pierwszy usłyszała o jakimś chłopaku i z miejsca nabrała podejrzeń co do całej historii. Pewnie trafiła się jej ulotna okazja – ona również roztaczała wokół siebie aurę miłości i nadziei. Może czyjś mąż albo chłopak w jej wieku. Rose spojrzała na jej twarz ze śladami po dawnym trądziku, teraz zaczerwienioną ze wstydu i podniecenia, i zrozumiała, że żadną miarą nie zmusi jej do zmiany zdania. Nauczycielka ubarwiła swoje przypuszczalne kłamstwa opowieścią o dwojce dzieci siostry; miała dwóch synków i oboje z mężem bardzo pragnęli mieć dziewczynkę.

Rose zaczęła telefonować, by znaleźć kogoś innego. Dzwoniła do studentek, żon mężczyzn, z którymi pracowała, które ewentualnie mogłyby kogoś jej podpowiedzieć; nawet do Dorothy, która nienawidziła dzieci. Daremnie. Wykorzystała informacje od różnych osób, chociaż zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie są bezwartościowe, że udzielono ich po to, by się jej pozbyć. Była zawstydzona swoją wytrwałością. W końcu Anna zaproponowała:

– Przecież mogę zostać tutaj sama.

– Nie wygłupiaj się.

– Przecież zostawałam już sama. Kiedy byłam chora, a ty musiałaś iść do pracy.

– A co byś powiedziała – spytała Rose, czując nagłą prawdziwą radość z tak łatwego i nierozważnego rozwiązania – co ty na to, gdybym zabrała cię ze sobą do Banff?

Spakowały się w wielkim pośpiechu. Na szczęście Rose poprzedniego wieczoru uprała rzeczy córki. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli o tym, co Anna będzie robiła w Banff, kto zapłaci za dodatkowy pokój, czy w ogóle Anna zgodzi się spać osobno. Wrzuciła do walizki książeczki do kolorowania, bajki i różne zestawy zrób-to-sam, wszystko, co tylko przyszło jej na myśl, a czym mogłaby zająć Annę. Anna była ogromnie podekscytowana obrotem wydarzeń, nie przerażała jej perspektywa podróży autobusem. Rose pamiętała, żeby zadzwonić wcześniej i zamówić taksówkę, która miała podjechać po nie o północy.

Omali nie utknęły w drodze na dworzec autobusowy. Rose pochwaliła się w myśli za przezorność, miała dobry pomysł, żeby zamówić taksówkę pół godziny wcześniej, mimo że na dworzec jechało się około pięciu minut. Była to dawna stacja benzynowa, ponure miejsce. Zostawiła Annę na ławce z bagażami i poszła kupić bilety. Gdy wróciła, zastała Annę półleżącą na walizce. Mała zasnęła natychmiast, gdy matka odwróciła się do niej plecami.

– Możesz sobie pospać w autobusie.

Anna wyprostowała się, nie chcąc pokazać po sobie zmęczenia. Rose miała nadzieję, że w autobusie będzie ciepło. Może powinna była wziąć koc i otulić nim Annę. Myślała o tym,

ale i tak już miały dość rzeczy do niesienia. Torba na zakupy była wypchana książkami i zabawkami Anny; Rose nie uśmiechała się perspektywa przyjazdu do Calgary ze sterczącymi we wszystkie strony włosami, z fatalnym samopoczuciem i zaparciem, i jeszcze na dodatek targanie torby z wysypującymi się z niej kredkami i koca. Zrezygnowała więc z niego.

Czekało zaledwie kilku innych pasażerów. Młoda para w dżinsach; wyglądali na zmarzniętych i niedożywionych. Biedna, schludna staruszka w zimowej czapce; indiańska babcia z niemowlęciem. Mężczyzna leżący na jednej z ławek wyglądał na chorego lub pijanego. Rose miała nadzieję, że chciał się po prostu ogrzać na dworcu, ponieważ wydawało się jej, że zbiera mu się na wymioty. Albo jeśli zamierzał jechać, lepiej, żeby zwymiotował teraz, a nie później. Postanowiła zaprowadzić Annę do dworcowej toalety. Z pewnością nie jest sympatyczna, ale na pewno lepsza od tej w autobusie. Anna krążyła po hali, oglądając automaty z papierosami, cukierkami, napojami i kanapkami. Rose przyszło do głowy, by może kupić parę kanapek i wodnistą gorącą czekoladę. Nie chciała później w górach żałować, że tego nie zrobiła.

Nagle dotarło do niej, że kompletnie zapomniała zadzwonić do Toma, by mu powiedzieć o zmianie planów z samolotu na autobus. Zrobi to, gdy zatrzymają się na śniadanie.

Uwaga, pasażerowie czekający na autobus do Cranbrook, Radium Hot Springs, Golden, Calgary. Kurs autobusu został odwołany. Powtarzam: kurs autobusu, który powinien wyruszyć z dworca o wpół do pierwszej, został odwołany.

Rose podeszła do okienka w kasie i spytała, o co chodzi, co się stało, czy zamknięto autostradę? Kasjer odpowiedział z ziewnięciem:

– Jest zamknięta od Cranbrook. Otwarta stąd do Cranbrook, ale dalej zamknięta. Zamknięta też w kierunku zachodnim stąd do Grand Forks, tak że żaden autobus nie dotrze tu dzisiaj w nocy.

Rose, starając się zachować spokój, zapytała o inne autobusy.

– Jakie inne autobusy ma pani na myśli?

– No, na przykład, nie ma jakiegoś autobusu do Spokane? Mogłabym dostać się stamtąd do Calgary.

Niechętnie wyciągnął rozkłady jazdy. W tym momencie oboje przypomnieli sobie, że skoro autostrada jest zamknięta stąd do Grand Forks, to przecież nie kursuje żaden autobus. Rose rozważała ewentualność podróży pociągiem do Spokane, a potem autobusem do Calgary, ale wykluczyła ten wariant ze względu na Annę. Mimo wszystko spytała kasjera o połączenia kolejowe, czy wie coś na ten temat?

– Słyszałem, że pociągi mają po dwanaście godzin opóźnienia.

Stała wciąż przy okienku, jak gdyby wierzyła, że nagle spłynie na nią jakieś rozwiązanie.

– Nic więcej nie mogę dla pani zrobić.

Odwróciwszy się, dostrzegła Annę przy automatach telefonicznych. Dziewczynka majstrowała przy kasetce na monety. Czasami udawało jej się znaleźć w ten sposób dziesięciocentówkę.

Anna zbliżyła się do niej; nie biegiem, lecz szybkim krokiem. Była nienaturalnie spokojna, a jednocześnie podniecona.

– Chodź tutaj – powiedziała. – No, chodź.

Pociągnęła za sobą odrętwiałą Rose do jednego z automatów. Zanurzyła dłonie w kasetce na monety. Była pełna srebrnych monet. Pełna. Zaczęła je wyciągać i pakować do kieszeni. Dwudziestopięciocentówki, piątki, dziesiątki. Coraz więcej. Można by pomyśleć, że kasetka wypełnia się znowu za każdym razem, gdy Anna ją zamyka, niczym we śnie lub w bajce. Wreszcie opróżniła ją całkiem, wyjęła ostatnią dziesięciocentówkę. Podniosła wzrok na Rose, twarz miała pobladłą, zmęczoną, rozgorączkowaną.

– Nic nie mów – nakazała.

Rose powiedziała jej, że ostatecznie nie pojedą autobusem. Zadzwoiła po tę samą taksówkę i wrócili do domu. Anna przyjęła zmianę planów bez zainteresowania. Rose zauważyła, że bardzo ostrożnie wsiadała do taksówki, żeby monety w jej kieszeniach nie brzęczały.

Gdy już znalazły się w mieszkaniu, Rose przygotowała sobie drinka, Anna zaś, nie zdjawszy butów ani kurtki, zaczęła wysypywać monety na kuchenny stół i dzielić je na kupki, żeby łatwiej było liczyć.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekła dziwnym dorosłym głosem, pokrywając szczere zdumienie sztucznością, jak gdyby tylko w ten sposób mogła udratyzować to wydarzenie. – Nie mogę w to uwierzyć – powtórzyła.

– To chyba opłaty za rozmowy zamiejscowe – rzekła Rose. – Automat nie połknął monet. Myślę, że są własnością firmy telekomunikacyjnej.

– Ale nie możemy ich oddać, prawda? – spytała Anna, w poczuciu winy, a jednocześnie z triumfem. Rose pokręciła głową.

– To szalone – powiedziała, mając na myśli swoje słowa o tym, że pieniądze należą do firmy telekomunikacyjnej. Była zmęczona i miała mętlik w głowie, ale chwilowo zaczynała się czuć absurdalnie radosna. Widziała spadający na nie deszcz lub zamieć monet; cóż za niedbalstwo wszędzie, co za elegancki kaprys.

Próbowały policzyć monety, ale wciąż były zdezorientowane. Bawiły się więc nimi, ostentacyjnie przepuszczając je między palcami. Były to późne godziny nocne, w kuchni wynajętego mieszkania w górskim miasteczku, przyprawiające o zawrót głowy. Jedna z niewielu chwil, jedna z niewielu godzin, kiedy Rose mogła szczerze powiedzieć, że nie jest na łasce przeszłości, przyszłości, miłości czy kogokolwiek. Miała nadzieję, że dotyczy to również Anny.

Tom napisał długi list, czuły, pełen humoru list, wspominając o ciężącym nad nimi fatum. Zbolała, pełna ulgi rezygnacja przed wyjazdem do Anglii. Rose nie miała jego tamtejszego adresu, w przeciwnym razie pewnie napisałaby do niego, prosząc, by dał im jeszcze jedną szansę. Taką miała naturę.

Ostatni śnieg tej zimy szybko stopniał, powodując powódzie w dolinie. Patrick napisał, że przyjedzie w czerwcu, po za-

kończeniu szkoły, i zabierze ze sobą Annę na lato. Zawiadomił też Rose, że chce wszcząć kroki rozwodowe, poznał bowiem kobietę, z którą pragnie się ożenić. Na imię jej Elizabeth i jest dobrą i zrównoważoną osobą.

I czy Rose nie uważa, pytał, że dla Anny byłoby lepiej, gdyby w przyszłym roku zamieszkała w swoim dawnym domu, domu, który zna od zawsze, gdyby wróciła do swojej starej szkoły, swoich kolegów (Jeremy ciągle o nią pyta), zamiast włączyć się z Rose w jej nowym niezależnym życiu? Czy nie jest przypadkiem tak – i tu Rose odniosła wrażenie, że słyszy głos jego zrównoważonej przyjaciółki – że raczej próbuje wykorzystać Annę, by stworzyć sobie namiastkę stabilizacji, niż stawić czoło konsekwencjom drogi, którą wybrała? Oczywiście, trzeba pozwolić wybrać Annie.

Rose chciała odpowiedzieć, że organizuje tutaj dla Anny dom, ale prawdę mówiąc, nie mogła tego zrobić. Nie zamierzała dłużej tu zostać. Zniknęły gdzieś urok, przejrzystość tego miasta. Zarabiała mało. Nigdy nie będzie jej stać na nic więcej poza tym tanim mieszkaniem. Może nigdy nie dostać lepszej pracy, poznać innego kochanka. Myślała, żeby pojechać na wschód, do Toronto, i postarać się tam o pracę w stacji radiowej albo nawet na scenie. Pragnęła zabrać Annę ze sobą do jakiegoś tymczasowego schronienia. Było tak, jak mówił Patrick. Pragnęła wracać do domu do Anny, wypełnić swoje życie Anną. Nie pomyślała, że Annie może nie podobać się takie życie. Dzieci nie przepadają za ubogim, małowniczym, cygańskim życiem, mimo że później będą twierdziły, że je cenią, z najrozmaitszych powodów.

Anna wyjechała i zamieszkała z Patrickiem i Elizabeth. Zaczęła uczęszczać na lekcje baletu i do kółka teatralnego. Elizabeth uważała, że dziewczynka powinna mieć dużo zajęć i jakieś osiągnięcia. Oddali jej łóżko z nowym baldachimem i podarowali kotka.

Elizabeth uszyła jej koszulę nocną i czepczek, pasujące do łóżka. Posłali Rose zdjęcie Anny z kotkiem siedzącej z fałszywie skromną i zadowoloną miną pośrodku kwiciastej pościeli.

Nakrapiana rybka zdechła pierwsza, następnie pomarańczowa. Stało się to jeszcze przed wyjazdem Anny. Ani Rose, ani Anna nie wyraziły chęci ponownego odwiedzenia Woolwortha, żeby zapewnić czarnej towarzystwo. Nie sprawiała zresztą wrażenia, by miała na to ochotę. Nabrzmiała, o wylupiających oczach, złowroga i swobodna, rządziła się sama w akwarium.

Anna kazała Rose przysiąc, że nie spuści rybki w toalecie po jej, Anny, wyjeździe. Rose obiecała i przed swoim wyjazdem do Toronto zatargła akwarium do Dorothy w ramach niemile widzianego prezentu. Dorothy zachowała się przyzwoicie, przyjęła grzecznie podarunek, powiedziała, że nazwie rybkę imieniem mężczyzny z Seattle, i pogratulowała Rose decyzji o wyjeździe.

Rose wysprzątała mieszkanie, przy czym znalazła kulki, rysunki i kilka listów, które Anna zaczęła – przeważnie za namową Rose – i których nigdy nie dokończyła, nie wysłała.

Kochany Tatusiu.

*Ja czuję się dobrze, a Ty? Byłam chora, ale już wyzdrowiałam.
Mam nadzieję, że Ty nie jesteś chory.*

Drogi Jeremy,

Ile masz teraz wzrostu? Ja czuję się dobrze.

Szczęście Simona

Rose czuje się samotna w nowych miejscach; żałuje, że nikt jej nie zaprasza. Wychodzi z domu, spaceruje po ulicach i zagląda w oświetlone okna, za którymi odbywają się sobotnie przyjęcia, niedzielne rodzinne kolacje. Nie ma co sobie powtarzać, że długo by tam nie posiedziała, plotkując, powoli się upijając albo nakładając łyżką sos, póki nie zapragnęłaby znowu powrócić się po ulicach. Wydaje się jej, że przyjęłaby każde zaproszenie. Mogłaby chodzić na przyjęcia w salach obwieszonych plakatami, gdzie lampy miałyby klosze z reklamami coca-coli, gdzie wszystko jest powykrzywiane, rozsypuje się; albo przeciwnie, w ciepłych bibliotekach, pełnych książek, miedziorytów, może nawet z paroma czaszkami; albo w świetlicach, do których zerkąta przez okna suterenu: rzędy szklanek do piwa na nóżce, rogi myśliwskie, kieliszki dla myśliwych w kształcie rogu, pistolety. Mogłaby tam pójść, siedzieć sobie na kanapach obitych lureksem, pod draperiami z czarnego aksamitu z naszytymi wizerunkami niedźwiedzi polarnych, gór, galeonów, wykonanymi z wełny chesankowej. Bardzo chciałaby, żeby serwowano jej drogi *cabinet de diplomate* z kryształowej wazy w bogatej

jadalni, gdzie stoi brzuchaty lśniący kredens i wiszą ciemne obrazy przedstawiające karmienie koni, karmienie krów, karmienie owiec na fatalnie namalowanej fioletowej trawie. Ale równie chętnie zjadłaby pudding we wnęce jadalnej w kuchni, w małym otynkowanym domu obok przystanku autobusowego, gdzie ściany zdobią gipsowe gruszki i brzoskwinie, a z małych mosiężnych doniczek zwisają gałązki bluszczu. Rose jest aktorką; potrafi wpasować się w każde otoczenie.

Jest zapraszana na przyjęcia. Mniej więcej dwa lata temu była na przyjęciu w wysokościowcu w Kingston. Okna mieszkania wychodziły na jezioro Ontario i na Wolfe Island. Rose nie mieszkała w Kingston, lecz na prowincji; od dwóch lat uczyła aktorstwa w dwuletnim college'u przygotowującym do studiów wyższych. Niektórzy dziwili się temu. Nie orientowali się, jak mało zarabia aktorka; wydawało im się, że jeśli ktoś jest znany, automatycznie musi być zamożny.

Przyjechała do Kingston tylko na to przyjęcie, co lekko ją peszyło. Nie poznała wcześniej gospodyni. Gospodarza znała od roku, wykładał wtedy w tym samym college'u co ona i mieszkał z inną dziewczyną.

Gospodyni, która miała na imię Shelley, zaprowadziła Rose do sypialni, żeby zostawiła tam płaszcz. Shelley była szczupłą dziewczyną o poważnym wyglądzie, naturalną blondynką o prawie białych brwiach, włosy miała długie, gęste i proste, jak gdyby wycięte z drewnianego bloku. Najwyraźniej traktowała poważnie swój styl porzuconego dziecka. Mówiła tak niskim i ponurym głosem, że Rose jej własny głos i słowa powitania przed chwilą zabrzmiały zbyt dziarsko.

W koszu w nogach łóżka szylkretowa kotka karmiła piersią cztery małe ślepe kociątka.

– To jest Tasha – powiedziała gospodyni. – Możemy obejrzeć jej kocięta, ale nie wolno ich dotykać, w przeciwnym razie nie będzie chciała więcej ich karmić.

Uklęka przy koszu, nucąc łagodnie, przemawiając do kociej mamy z tak głębokim oddaniem, że Rose poczuła się poruszona. Szal, który Shelley miała zarzucony na ramiona, był czarny, przystrojony dżetami. Niektóre były lekko zniszczone, części brakowało. Był to autentycznie stary szal, nie imitacja. Jej wiotka żółtawa suknia z mereżką również była oryginalna, choć początkowo służyła prawdopodobnie jako halka. Takie ciuchy trzeba umieć gdzieś wypatrzeć.

Po drugiej stronie staroświeckiego łóża znajdowało się wielkie lustro, zawieszone podejrzanie wysoko i przekrzywione. Rose próbowała się w nim przejrzeć, gdy dziewczyna pochylała się nad kociętami. Trudno przeglądać się w lustrze, gdy jest się w pokoju z inną, zwłaszcza młodszą kobietą. Rose miała na sobie bawełnianą suknię w kwiaty, długą, z plisowaną górą i bufiastymi rękawkami, z trochę za krótką talią i przyciasną w biuście. Było w niej coś niewłaściwie młodzieńczego lub teatralnego; może Rose nie była dość szczupła, by ubierać się w takim stylu. Rudobrązowe włosy farbowała w domu. Wokół oczu biegły drobne zmarszczki, poznaczone punkcikami pociemniałej skóry.

Rose zdawała już sobie sprawę, że gdy ludzie wydają się jej pretensjonalni, tak jak ta dziewczyna i jej pokoje, urządzone z fałszywą skromnością, ich irytujący styl życia (to lustro,

patchworkowa narzuta, japońskie erotyczne rysunki nad łóżkiem, afrykańska muzyka dobiegająca z salonu), zwykle dzieje się tak dlatego, że poświęcają jej zbyt mało uwagi, a ona obawia się, że nie poświęcą jej tyle, ile by chciała, że nie przeniknęła do centrum przyjęcia; czuje, że może być skazana na pałętanie się na marginesie i osądzanie.

Poczuła się lepiej w salonie, gdzie знаła niektóre osoby i część była w jej wieku. Napiała się szybko i wkrótce już wykorzystała nowo narodzone kociecia jako punkt wyjścia do swojej własnej historii. Opowiedziała, że właśnie dzisiaj coś koszmarnego przydarzyło się jej kotu.

– Najgorsze, że nigdy za bardzo go nie lubiłam. To nie był mój pomysł, żeby zafundować sobie kota, lecz jego. Pewnego dnia szedł za mną trop w trop aż do domu i domagał się, żeby go wziąć. Przypominał mi jakiegoś zwalistego nie-roba z szyderczą miną, nastawionego na to, że mnie przekonam, iż jestem mu winna wikt i opierunek. Od początku miał słabość do elektrycznej suszarki do ubrań. Lubił tam wskakiwać, kiedy była jeszcze ciepła po wyjęciu ciuchów. Zwykle załadowuję ją raz dziennie, ale dziś wyjątkowo zrobiłam to dwukrotnie. Kiedy sięgnęłam po drugą porcję, wyczułam coś dziwnego pod palcami. Czy to coś, czego dotykam, to futro? pomyślałam.

Dookoła rozległy się współczujące, pełne przerażenia jęki, lub śmiechy. Rose rozejrzała się z uroczym uśmiechem. Poczuła się znacznie lepiej. Salon z widokiem na jezioro, jego przemyślany wystrój (szafa grająca, lustro z salonu fryzjerskiego, reklamy z przełomu wieków – „Pal, przez wzgląd na

swoje gardło” – stare jedwabne abażury, wiejskie miski i dzbany, prymitywne maski i rzeźby) już nie wydawał się taki nieprzyjazny. Wzięła sobie kolejnego drinka z ginem, wiedząc, że zbliża się krótka chwila, kiedy poczuje się lekka i radosna jak koliber, przekonana, że wiele osób w pokoju to ludzie dowcipni, inni z kolei są uprzejmi, a niektórzy zarówno dowcipni, jak i uprzejmi.

– Ach, nie, pomyślałam. To niemożliwe. Ale on tam był. Śmierć w suszarce.

– Ostrzeżenie dla wszystkich poszukiwaczy przyjemności – rzekł stojący obok niej niski mężczyzna o ostrych rysach, którego słabo znała od kilku lat. Był wykładowcą na wydziale anglistyki na uniwersytecie, gdzie uczył również gospodarz przyjęcia, a gospodyni studiowała podyplomowo.

– To straszne – powiedziała gospodyni, przybierając swoją chłodną, niezmienną postawę wrażliwości. Ci, którzy się roześmiali, wyglądali na trochę zmieszanych, jak gdyby pomyśleli, że mogli się wydać nieczuli. – Twój kot. To okropne. Jak mogłaś dzisiaj przyjść?

Prawdę powiedziawszy, incydent wcale nie zdarzył się dzisiaj, lecz w ubiegłym tygodniu. Rose zastanawiała się, czy dziewczyna zamierzała postawić ją w niekorzystnej sytuacji. Odparła szczerze i z żalem, że niezbyt lubiła kota i w pewnym sensie wydaje się to jeszcze gorsze. To właśnie usiłowała wyjaśnić.

– Czuję się, jakby to była moja wina. Może gdybym bardziej go lubiła, nic by się nie stało.

– Jasne, nie stałoby się – mruknął mężczyzna obok niej. – To ciepła szukał w suszarce. Miłości. Ach, Rose!

– Teraz już nie będziesz mogła więcej pieprzyć kota – rzekł wysoki chłopak, którego Rose nie zauważyła wcześniej. Nagle wyskoczył skądś, znalazł się przed nią. – Pieprzyć kota, pieprzyć psa, nie wiem, co tam robisz, Rose.

Szukała w pamięci jego imienia. Poznała w nim studenta lub byłego studenta.

– David. Witaj, Davidzie. – Była tak zadowolona, że sobie przypomniała imię, iż nie dotarł do niej sens jego słów.

– Pieprzyć kota, pieprzyć psa – powtórzył, zataczając się nad nią.

– Słucham? – Rose zrobiła pytającą, uroczą minkę. Otaczający ją ludzie podobnie jak ona nie bardzo rozumieli intencję chłopaka. Niełatwo było zakłócić towarzyski nastrój, powstrzymać współczucie, życzliwość; ów nastrój trwał nadal, choć widać było oznaki tego, że ludzie nie będą dłużej tolerować tego zachowania. Niemal wszyscy wciąż się uśmiechali, jak gdyby chłopak opowiadał anegdotę albo grał jakąś rolę, i czekali na puentę. Gospodyni spuściła oczy i wyslizgnęła się z pokoju.

– To se słuchaj. Kij ci w dupę, Rose – odparł chłopak bardzo niegrzecznym tonem. Był blady i wątły. I potwornie pijany. Prawdopodobnie pochodził z przyzwoitego domu, gdzie się mówi: „oddawać mocz”, a gdy ktoś kichnie: „na zdrowie”.

Niski silny mężczyzna o czarnych kędzierzawych włosach zdecydowanym ruchem ujął go za ramię.

– Spadaj – powiedział, niemal po ojcowsku. Mówił z nieokreślonym europejskim akcentem, głównie francuskim,

pomyślała Rose, chociaż nie znała się zbyttnio na akcentach. Naprawdę skłaniała się ku teorii (mimo iż uważała się za mądrzejszą), że taki akcent to cecha mężczyzn o osobowości bogatszej niż tych, jakich spotyka się w Ameryce Północnej i w miejscach takich jak Hanratty, gdzie dorastała. Taki akcent wróżył męskość lekko zabarwioną cierpieniem, czułością i przebiegłością.

Zjawił się gospodarz w aksamitnym kombinezonie i chwycił chłopaka za drugie ramię, jednocześnie całując Rose w policzek, ponieważ nie widział jej, gdy weszła.

– Muszę z tobą pogadać – szepnął, co oznaczało, że miał nadzieję, iż nie będzie musiał, ponieważ sytuacja była skomplikowana; chodziło o dziewczynę, z którą mieszkał w ubiegłym roku, jak również o noc, którą spędził z Rose pod koniec semestru, kiedy dużo pili, przechwalali się i narzekali na niewierność, oraz o dziwnie obraźliwy, choć przyjemny seks. Był wymuskany i zadbany, szczuplejszy i swobodniejszy, miał dłuższe włosy i aksamitny kombinezon w kolorze butelkowej zieleni. Tylko trzy lata młodszy od Rose, a spójrzcie na niego. Zostawił żonę, dzieci, dom, zniechęcającą przyszłość i urządził się na nowo – nowe ubrania, nowe meble i młoda kochanka. Mężczyźni to potrafią.

– Ojej, ojej – powiedziała Rose, opierając się o ścianę. – O co ten cały szum?

Mężczyzna obok niej, który uśmiechał się przez cały czas, zajrzał do swojego kieliszka i wydeklamował:

– Ach, ta dzisiejsza wrażliwa młodzież! Ten ich subtelny język, głębia uczuć! *Chapeau bas*.

Wrócił mężczyzna o czarnych kędzierzawych włosach, bez słowa zabrał Rose szklaneczkę i wręczył jej świeżego drinka.

Wrócił również gospodarz.

– Rose, kochanie, nie mam pojęcia, skąd on się tutaj wziął. Zastrzegłem przecież: żadnych cholernych studentów. Musi być jakieś miejsce bezpieczne od nich.

– Chodził na moje zajęcia w zeszłym roku – wyjaśniła Rose. Naprawdę nic więcej nie pamiętała. Przypuszczała, że podejrzewają, iż musi się za tym kryć coś więcej.

– Chciał zostać aktorem? – spytał mężczyzna obok niej. – Założę się, że tak. Pamiętacie dawne dobre czasy, kiedy wszyscy chcieli zostać prawnikami, inżynierami, dyrektorami korporacji? Podobno ta tendencja wraca. Mam nadzieję. Mam szczerą nadzieję. Rose, niewątpliwie wysłuchiwałaś zwierzeń o jego problemach. Nigdy nie wolno tego robić. A założę się, że tak właśnie było.

– Ach, pewnie tak.

– Szukają zastępczego ojca albo matki. To tak banalne, jak tylko można sobie wyobrazić. Snują się za tobą, uwielbiając cię, zawracając ci głowę, a potem – bum! Nadchodzi czas odrzucenia rodziców!

Rose piła, oparta o ścianę, i słuchała, jak podejmują temat współczesnych studentów, głównie studentek – czego oczekują, jak wyważają ci drzwi, żeby opowiadać o swoich aborcjach, swoich próbach samobójczych, kryzysach twórczych, problemach z wagą. Zawsze używają tych samych słów: tożsamość, wartości, odrzucenie.

– Nie odrzucam cię, głupi gnojku, oblewam cię! – rzekł niski ostry mężczyzna, wspominając triumfalną konfrontację z jednym studentem. Wszyscy się roześmiali, a młoda kobieta oznajmiła:

– Boże, kiedy ja studiowałam, było zupełnie inaczej. Mówienie o aborcji w gabinecie profesora było równie mało obraźliwe jak nasranie mu na podłogę.

Rose też się śmiała, ale tak naprawdę czuła sięennie. W pewnym sensie byłoby lepiej, gdyby kryło się w tym coś, co podejrzewali. Gdyby przespała się z tym chłopcem. Gdyby coś mu obiecała, gdyby go zdradziła, poniżyła. Nie pamiętała kompletnie nic. Pojawił się nie wiadomo skąd, by ją oskarżyć. Musi coś zrobić i nie może sobie przypomnieć. Nie pamiętała, żeby cokolwiek robiła ze studentami; to prawda. Była troskliwa i czarująca, pełna ciepła i akceptacji; słuchała i doradzała; potem nie mogła sobie przypomnieć ich imion. Nie pamiętała ani słowa z tego, co im mówiła.

Jakaś kobieta dotknęła jej ramienia.

– Obudź się – powiedziała tonem szelmowskiej zażyłości, który nasunął Rose przypuszczenie, że pewnie się znają. Jeszcze jedna studentka? Ale nie, kobieta się przedstawiła.

– Piszę pracę na temat samobójstw wśród kobiet – wyjaśniła. – A konkretnie wśród artystek. – Zobaczyła Rose w telewizji i bardzo chciała z nią porozmawiać. Wspomniała o Diane Arbus, Virginii Woolf, Sylvii Plath, Anne Sexton, Christiane Pflug. Była dobrze przygotowana. Rose pomyślała, że sama wygląda na główną kandydatkę: wychudzona,

blada, ogarnięta obsesją. Rose zgłodniała i kobieta poszła za nią do kuchni.

– I za wiele aktorek, by je wymienić... – mówiła dalej. – Margaret Sullivan...

– Teraz wykładam w college'u.

– Och, bzdura. Bez wątpienia jesteś aktorką do szpiku kości.

Gospodyni upiekła chleb: glazurowane, plecione, ozdobne bochenki. Rose podziwiała, ilu starań dołożyła dziewczyna. Chleb, pasztet, wiszące rośliny, kotki, wszystko dla stworzenia najbardziej niepewnego i tymczasowego domowego zacisza. Tak bardzo, tak często marzyła, że sama będzie tak się starała, że będzie celebrowała pewne rzeczy, piekła chleb i tak dalej.

Zauważyła grupę młodszych wykładowców – wzięłaby ich za studentów, gdyby nie słowa gospodarza o tym, że ci nie mają tutaj wstępu – siedzących na bufecie i stojących nad zlewem. Rozmawiali ściszymi, poważnymi głosami. Jeden z nich spojrzał na nią. Uśmiechnęła się. Nie odwzajemnił uśmiechu. Dwaj inni podnieśli na chwilę wzrok, po czym wrócili do rozmowy. Była pewna, że mówią o niej, o tym, co się stało w salonie. Zachęciła kobietę, by spróbowała chleba i pasztetu. Przypuszczalnie to zamknęłoby jej na chwilę usta i Rose mogłaby podsłuchać, o czym tamci plotkują.

– Nigdy nie jadam niczego na przyjęciach.

Kobieta zachowywała się wobec niej coraz bardziej gniewnie i trochę oskarżycielsko. Rose odkryła już, że jest to żona jakiegoś ważniaka z wydziału. Może była to zagrywka polityczna, zaproszenie. I obietnica dla niej, Rose. Czy była to część tej zagrywki?

– Zawsze jesteś taka głodna? – pytała kobieta. – Nigdy nie chorujesz?

– Zawsze, kiedy jest coś smacznego do jedzenia – odrzekła Rose. Próbowwała tylko dawać dobry przykład, a ledwie mogła przełknąć cokolwiek, tak bardzo starała się usłyszeć, co o niej mówią. – Nie, rzadko choruję. – Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że to prawda. Kiedyś często nękały ją przeziębienia, grypy, skurcze i bóle głowy; teraz gdzieś zniknęły, przerodziły się w cichy, monotony szum niepokoju, znużenia, lęku.

„Pierdolony zawistny establishment”.

Rose usłyszała te słowa, a może jej się wydawało. Rzucali krótkie, pogardliwe spojrzenia w jej stronę. A może jej się wydawało; nie patrzyła bezpośrednio na nich. Establishment. To była Rose. Doprawdy? Doprawdy była to Rose? Ta sama, która zaczęła prowadzić zajęcia w college’u, dlatego że nie dostawała dość propozycji teatralnych, by dało się z tego wyżyć, której zaproponowano tę pracę ze względu na jej doświadczenie sceniczne i telewizyjne, ale musiała zgodzić się na niższe wynagrodzenie, ponieważ nie miała stopni naukowych? Miała ochotę podejść do nich i powiedzieć im o tym. Przedstawić swoją sprawę. Lata pracy, wyczerpanie, podróże, sale wykładowe w szkołach średnich, nerwy, znudzenie, wielka niewiadoma, skąd wpłynie kolejne honorarium. Pragnęła błagać ich o wybaczenie, o miłość, o to, by uznali ją za swoją. To po ich stronie chciała się znaleźć, a nie po stronie ludzi w salonie, którzy zainteresowali się jej sprawą. Ale był to wybór dokonany ze strachu, nie dla zasady. Bała się ich. Bała się ich bezlitosnej cnoty, ich zimnych, wykrzywionych

pogardą twarzy, ich tajemnic, ich śmiechu, ich obsceniczności.

Przyszła jej na myśl Anna, jej własna córka. Miała teraz siedemnaście lat, długie jasne włosy i nosiła na szyi delikatny złoty łańcuszek. Był tak delikatny, że trzeba było przyrzeć się z bliska, żeby się upewnić, że to rzeczywiście łańcuszek, a nie jej połyskująca gładka skóra. Nie przypominała w niczym tych tutaj młodych ludzi, ale była równie nieprzystępna jak oni. Ćwiczyła balet i codziennie uprawiała jazdę konną, ale nie zamierzała brać udziału w zawodach ani zostać baleriną. Dlaczego?

– Bo to byłoby głupie.

Coś w stylu Anny, delikatny łańcuszek, jej milczenie, nasuwało Rose wspomnienie matki Patricka, babki Anny. Podejrzewała jednak, że Anna być może wcale nie jest taka milcząca, taka wybredna, taka powściągliwa w towarzystwie innych, kiedy nie ma jej przy niej.

Mężczyzna o czarnych kędzierzawych włosach stanął w drzwiach, obrzucając Rose zuchwałym, ironicznym spojrzeniem.

– Wiesz, kto to jest? – spytała kobietę od samobójstw. – Ten facet, który wyprowadził z salonu pijanego chłopaka?

– To Simon. Nie sądzę, żeby chłopak był pijany. Raczej pod wpływem narkotyków.

– Co on robi?

– Chyba coś tam studiuje.

– Nie – przerwała jej Rose. – Pytam o tego mężczyznę... Simona?

– Ach, Simon. Pracuje na wydziale filologii klasycznej. Nie sądzę, by zawsze był wykładowcą.

– To tak jak ja – powiedziała Rose i odwróciła się do Simona z uśmiechem, który wypróbowała na młodych ludziach. Mimo zmęczenia, zagubienia i otępienia zaczęła odczuwać znany przyływ nadziei, dreszcz obietnicy.

Jeśli się uśmiechnie, to będzie dobry początek.

Uśmiechnął się, a kobieta od samobójstw spytała ostrym tonem:

– Czy ty chodzisz na przyjęcia tylko po to, by poznawać mężczyzn?

Kiedy Simon miał czternaście lat, on, jego starsza siostra i jeszcze jeden chłopiec, ich przyjaciel, wyruszyli, ukryci w wagonie towarowym, z okupowanej Francji do nieokupowanej. Byli w drodze do Lyonu, gdzie miała się nimi opiekować i skierować do bezpiecznego miejsca organizacja, która starała się ocalić żydowskie dzieci. Simon i jego siostra już na początku wojny zostali wyekspediowani z Polski do krewnych we Francji. Teraz znowu trzeba było ich odesłać.

Wagon zatrzymał się. Pociąg stanął gdzieś w polu, nocą. Słyszeli głosy mówiące po francusku i po niemiecku, potem jakiś hałas w wagonach przed nimi. Słyszeli, jak odsuwają ze zgrzytem drzwi, stukot butów o gołe deski. Inspekcja pociągu. Leżeli pod jakimiś workami, lecz nie próbowali nawet zasłonić twarzy; stracili wszelką nadzieję. Głosy zbliżały się, buty chrzęściły po żwirze obok toru. Wtedy pociąg drgnął i powoli

ruszył. Jechał tak wolno, że przez chwilę w ogóle tego nie zauważyli, myśląc, że po prostu przetaczają wagony. Spodziewali się, że znowu się zatrzyma i inspekcja będzie kontynuowana. Ale pociąg jechał dalej, nieco szybciej, potem coraz szybciej; nabierał swojej zwykłej prędkości, która nie była zbyt duża. Uniknęli inspekcji, byli uratowani. Simon nigdy się nie dowiedział, co się stało. Zagrożenie minęło.

Simon opowiadał, że gdy sobie uświadomił, iż są bezpieczni, nagle nabrał przeświadczenia, że przetrwają wszystko, nic złego nie może im się przydarzyć, zostali pobłogosławieni i mają wyjątkowe szczęście. To, co się stało, uznał za dobry znak.

Rose spytała go, czy jeszcze kiedykolwiek spotkał swoją siostrę i przyjaciela.

– Nie. Nigdy. Od czasu Lyonu.

– A więc szczęście dopisało tylko tobie.

Simon parsknął śmiechem. Leżeli w łóżku, łóżku Rose w starym domu na skraju wioski; pojechali tam prosto z przyjęcia. Był kwiecień, wiał przejmujący wiatr i w domu było zimno. Piec grzał za słabo. Simon położył dłoń na tapecie za łóżkiem; wyraźnie czuć było przeciąg.

– Przydałaby się lepsza izolacja.

– Wiem. Jest fatalna. A powinieneś zobaczyć moje rachunki za ogrzewanie.

Simon powiedział, że powinna kupić sobie piecyk na drewno. Opowiadał jej o różnych rodzajach drewna na opał. Podobno klonowe świetnie nadaje się do palenia. Następnie wygłosił wykład na temat różnych rodzajów izolacji. Styropian, materiały izolacyjne Micafil, włókno szklane. Wstał z łóż-

ka i chodził nagi po domu, oglądając ściany. Rose zawołała za nim:

– Przypomniałam sobie. Chodziło o stypendium.

– Co mówiłaś? Nie dosłyszałem.

Wstała z łóżka i owinęła się kocem. Stojąc na szczycie schodów, wyjaśniła:

– Ten chłopak przyszedł do mnie z podaniem o stypendium. Chciał zostać dramaturgiem. W tej sekundzie sobie przypominałam.

– Jaki chłopak? – spytał Simon. – Ach.

– Ale przecież go poleciłam. Wiem, że to zrobiłam. – Prawda była taka, że polecała każdego. Jeśli nawet nie widziała ich zalet, wierzyła, że być może mają zalety, których ona po prostu nie potrafi dostrzec. – Widocznie nie dostał stypendium i pomyślał, że go zrobiłam w balona.

– Cóż, przypuśćmy, że nawet go zrobiłaś – rzekł Simon, zaglądając na schodki prowadzące do piwnicy. – To twoje prawo.

– Wiem, ale jestem tchórzem. Nie cierpię ich dezaprobaty. Są tacy bez skazy i zmazy.

– Wcale tacy nie są – odparł Simon. – Włożę buty i zerknę na twój piec. Prawdopodobnie trzeba przeczyścić filtry. Po prostu taki mają styl. Nie ma powodu, żeby się ich bać, są głupi jak wszyscy inni. Pragną władzy. Oczywiście.

– Ale czy ty mógłbyś być taki złośliwy tylko z powodu wygórowanych ambicji?

– Jasne – odrzekł Simon, wchodząc po schodach. Spróbował złapać koc, owinął się nim razem z nią i cmoknął ją w nos.

– Dość tego, Rose. Wstydu nie masz? Jestem biednym facetem, który przyszedł obejrzeć twój piec. Twój piec w piwnicy. Przepraszam, że tak na panią wpadłem, proszę pani. – Znała już kilka jego wcieleń. W tej chwili był pokornym robotnikiem. Wśród innych wcieleń był stary filozof, który składał jej ukłony w japońskim stylu, gdy wychodził z łazienki, mrużąc: *memento mori, memento mori*; był też szalony satyr, który podskakiwał wokół niej, trącał ją nosem w pępek i cmokał zwycięsko.

W sklepie na rogu kupiła kawę naturalną zamiast rozpuszczalnej, prawdziwą śmietankę, bekon, mrożone brokuły, kawał wiejskiego sera, mięso kraba w puszcze, najładniejsze pomidory, jakie mieli, pieczarki, długoziarnisty ryż. I papierosy. Była w stanie takiej euforii, kiedy wszystko wydaje się absolutnie naturalne i niezagrożone. Gdyby ktoś ją spytał, odpowiedziałaby, że to z powodu pięknej pogody – dzień był słoneczny, wspaniały, mimo silnego wiatru – jak również z powodu Simona.

– Najwyraźniej ma pani w domu gościa – powiedziała właścicielka sklepu, bez zdziwienia, złośliwości czy krytyki, raczej z przyjazną zazdrością.

– Kiedy zupełnie się tego nie spodziewałam. – Rose wyłożyła więcej produktów na ladę. – Tylko z nimi kłopot. Nie wspominając o kosztach. Wystarczy spojrzeć na ten bekon. I śmietankę.

– Chętnie bym to zniosła – uśmiechnęła się kobieta.

Simon przygotował z dostarczonych produktów przepyszną kolację. Rose nie robiła nic, poza przyglądaniem się i zmianą pościeli.

– Wiejska sielanka – rzekła z przekąsem. – Przyjechałam tutaj, mając kilka pomysłów na życie. Zamierzałam chodzić na długie spacery pustymi wiejskimi drogami. Gdy to zrobiłam po raz pierwszy, usłyszałam za sobą pędzący po żwirze samochód. Zdażyłam uskoczyć i wtedy usłyszałam strzały. Byłam przerażona. Ukryłam się w krzakach. Drogą przejechał zygzakiem samochód, strzelano z jego okien. Pobiegłam skrótem przez pola i powiedziałam właścicielce sklepu, że powinna chyba wezwać policję. Tamta odrzekła, że, ach, tak, podczas weekendów chłopcy kupują do samochodu skrzynkę piwa i jeżdżą, strzelając do świstaków. Potem spytała, co robiłam na tamtej drodze? Zrozumiałam, że dla niej samotny spacer jest bardziej podejrzany od strzelania do świstaków. Jest mnóstwo takich rzeczy. Nie sądzę, bym tu zabawiła dłużej, ale mam pracę, a czynsz jest niski. Ta kobieta w sklepie jest nawet miła. Wróży z kart i herbacianych fusów.

Simon opowiedział, że z Lyonu wysłano go do pracy na farmie w górach w Prowansji. Ludzie mieszkali tam i pracowali zupełnie jak w średniowieczu. Nie umieli czytać ani pisać, ani mówić po francusku. Gdy zachorowali, czekali na śmierć albo na to, że poczują się lepiej. Nigdy nie widywali lekarza, tylko weterynarz zjawiał się raz w roku, by zbadać krowy. Simon skaleczył się widłami w nogę, wdała się infekcja, dostał wysokiej gorączki i z najwyższą trudnością namówił gospodarzy, by posłali po weterynarza, który mieszkał w sąsiedniej wiosce. W końcu

się na to zdecydowali, weterynarz przyjechał i zrobił Simonowi zastrzyk wielką końską igłą, dzięki czemu chłopiec wyzdrowiał. Gospodarze nie mogli wyjść z podziwu i z rozbawieniem przyglądali się środkom przedsięwziętym dla ratowania ludzkiego życia.

– Wiejskiego życia.

– Ale tutaj nie jest tak źle. Ten dom mógłby być bardzo wygodny – rzekł Simon w zamyśleniu. – Powinnaś mieć ogródek.

– Też miałam taki pomysł, próbowałam założyć ogródek, ale nie wyszło. Nie mogłam doczekać się kapusty, uważam, że jest piękna, ale załęgły się w niej robaki. Zjadły liście, tak że wyglądały jak koronka, potem całkiem pożółkły i opadły na ziemię.

– Bardzo trudno hodować kapustę. Powinnaś zacząć od czegoś łatwiejszego. – Simon wstał od stołu i podszedł do okna. – Pokaż mi, w którym miejscu miałaś ten ogródek.

– Wzdłuż płotu. Tam założyli go poprzedni lokatorzy.

– To niedobre miejsce, za blisko orzecha. Orzechy źle oddziałują na glebę.

– Nie miałam pojęcia.

– Cóż, to prawda. Powinien być bliżej domu. Jutro skopię ci ziemię. Będziesz potrzebowała dużo nawozu. Teraz. Bardzo dobry jest nawóz owczy. Znasz kogoś w okolicy, kto hoduje owce? Kupimy kilka worków naturalnego owczego nawozu i sporządzimy plan, co zasadzić, choć na razie jest jeszcze za wcześnie, wciąż mogą wystąpić przymrozki. Można zacząć od przygotowania w domu rozsady. Pomidory.

– Myślałam, że musisz wrócić porannym autobusem – powiedziała Rose. Przyjechali jej samochodem.

– Poniedziałek jest lekkim dniem. Zadzwoń i odwołam zajęcia. Poproszę dziewczyny w sekretariacie, żeby wytłuma- czyły mnie chorym gardłem.

– Chorym gardłem?

– Albo czymś w tym rodzaju.

– Dobrze, że tu jesteś – wyznała szczerze Rose. – W przeciwnym razie wciąż myślałabym o tym chłopaku. Próbowałabym odgonić te myśli, ale wracałyby w najmniej spodziewanym momencie. Czułabym się nieustannie upokorzona.

– To naprawdę żaden powód, żeby czuć się upokorzoną.

– Chyba tak. Ale niewiele mi potrzeba.

– Spróbuj nie być taka nadwrażliwa – rzekł Simon, jak gdyby w rozsądny sposób przejmował kontrolę nad nią, razem z domem i ogrodem. – Rzodkiewki. Zielona sałata. Cebula. Ziemniaki. Jadasz ziemniaki?

Przed jego wyjazdem sporządzili plan ogródka. Skopał ziemię i nawiózł ją, chociaż z konieczności zadowolił się obornikiem. Rose musiała jechać w poniedziałek do pracy, ale przez cały czas myślała o Simonie. Wyobrażała sobie, jak kopie ogródek, jak nagi zagląda do piwnicy. Niski, korpulentny mężczyzna, mocno owłosiony, o wykrzywionej twarzy komika. Wiedziała, co Simon powie po jej powrocie do domu, a mianowicie: „Mam nadzieję, że cię zadowolilem, mamusiu”, i szarpnie lok opadający na czoło.

Rzeczywiście tak właśnie się zachował, a Rose była tak rozanielona, że wykrzyknęła:

– Och, Simon, ty idioto, jesteś mężczyzną mojego życia!

Takie było prawo, taki radosny blask tej chwili, że nie przyszło jej do głowy, iż mówienie czegoś takiego może być nierozsądne.

W połowie tygodnia wybrała się do sklepu, nie po to, by coś kupić, lecz by dać sobie powróżyć. Sklepiarka przyjrzała się fusom i zawołała:

– Och, kochana! Spotkałaś mężczyznę, który wszystko odmieni.

– Tak myślę.

– Całkiem odmieni twoje życie. O Boże! Nie zostaniesz tutaj. Widzę sławę. Widzę wodę.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Myślę, że chce ocieplić mój dom.

– Zmiany już się rozpoczęły.

– Tak, wiem o tym. Tak.

Nie pamiętała, co mówiły o kolejnych odwiedzinach Simona. Myślała, że przyjedzie na weekend. Spodziewała się go i tym razem kupiła produkty spożywcze nie w lokalnym sklepiku, lecz w oddalonym o kilka kilometrów supermarkecie. Miała nadzieję, że sklepiarka nie widziała, jak wnosi do domu torby z zakupami. Miała ochotę na świeże warzywa, befszytk, czereśnie z importu, camembert i gruszki. Kupiła też wino i dwie zmiany pościeli w eleganckie girlandy niebieskich i złotych kwiatków. Uważała, że jej blade pośladki będą dobrze wyglądały na ich tle.

W piątek wieczorem zmieniła pościel na nową i włożyła czereśnie do niebieskiej misy. Wino się chłodziło, ser, wyjęty z lodówki, miękł. Koło dziewiątej rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Rose zdziwiła się, nie słyszała bowiem jego samochodu.

– Czułam się samotna – powiedziała właścicielka sklepu. – Pomyślałam więc, że wpadnę i... ach... spodziewa się pani gościa.

– Właściwie to nie – odparła Rose. Serce, które zabiło jej radośnie, gdy usłyszała pukanie, jeszcze się nie uspokoiło. – Nie wiem, kiedy przyjedzie. Może jutro.

– Cholerny deszcz.

Głos kobiety brzmiał serdecznie i praktycznie, jak gdyby Rose mogła potrzebować rozrywki lub pociechy.

– Mam nadzieję, że nie będzie jechał w taką pogodę – powiedziała Rose.

– To byłoby bardzo lekkomyślne.

Kobieta strzepnęła krople deszczu z krótkich siwych włosów i Rose zdała sobie sprawę, że powinna jej coś zaproponować. Kieliszek wina? Ale wtedy pewnie sklepikarka wyluzowałaby się i stała zbyt rozmowna. Może zechciałaby zostać i dokończyć butelkę. Była osobą, z którą Rose rozmawiała wiele razy, kimś w rodzaju przyjaciółki, kogo mogłaby naprawdę polubić, a w tej chwili z trudem zносиła jej obecność. Czułaby to wobec każdego, kto nie był Simonem. Wszyscy inni wydawali się jej przypadkowi i irytujący.

Rose zdawała sobie sprawę, co teraz będzie. Wszystkie zwykłe życiowe rozkosze, pociechy, rozrywki zostaną zwinięte niczym dywan i odłożone na bok; zniknie przyjemność, jaką

czerpała z jedzenia, bżów, muzyki, nocnej burzy. Nic nie do-
równa leżeniu pod Simonem w miłosnych drgawkach i unie-
sieniach.

Zdecydowała się na herbatę. Pomyślała, że w takim ra-
zie wykorzysta czas i może dowie się czegoś o swojej przy-
szłości.

– Nie jest jasne – powiedziała kobieta.

– Co nie jest jasne?

– Nie udaje mi się dzisiaj niczego wyraźnie zobaczyć. To się
zdarza. Nie, szczerze mówiąc, nie potrafię go umiejscowić.

– Umiejscowić?

– W twojej przyszłości. Poddaję się.

Rose pomyślała, że kobieta mówi to ze złej woli, z zazdrości.

– Cóż, tak znowu bardzo mi na nim nie zależy.

– Może poszłoby mi lepiej, gdybym miała coś, co do niego
należy. Miałabym jakiś punkt zaczepienia. Cokolwiek, czego
dotykał, nie masz nic takiego?

– Siebie – odrzekła Rose. Tania przechwałka, ale wróżka
roześmiała się grzecznie.

– Pytam poważnie.

– Chyba nic nie mam. Niedopałki jego papierosów wyrzu-
ciłam.

Po wyjściu kobiety Rose siedziała, czekając. Zbliżała się pół-
noc. Padał ulewny deszcz. Gdy po raz kolejny spojrzała na ze-
gar, była za dwadzieścia druga. Jak jałowy czas może mijać tak
prędko? Pogasiła światła, bo nie chciała zostać przyłapana na
wyczekiwaniu. Rozebrała się, ale nie mogła się położyć w do-

piero co zakupionej pościeli. Usiadła w kuchni, w ciemności. Od czasu do czasu parzyła świeżą herbatę. Do pokoju wpadało trochę światła z narożnej ulicznej latarni. Wioska zdobyła się na nowe jasne lampy rtęciowe. Rose widziała w ich blasku kawałek sklepu i stopnie kościoła po drugiej stronie ulicy. Kościół nie służył już powściągliwej i szacownej wspólnotie protestantów, lecz Świątyni Nazaret oraz Centrum Świętości, cokolwiek się za tym kryło. Sprawy nie były takie proste, jak się wcześniej Rose wydawało. W tych domach wcale nie mieszkali farmerzy na emeryturze; prawdę mówiąc, w ogóle nie było farm, tylko ugory porośnięte jałowcem. Ludzie pracowali w miejscowościach oddalonych o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów, w fabrykach, w miejscowym szpitalu psychiatrycznym, albo nie pracowali wcale, wiedli zagadkową egzystencję na obrzeżach świata przestępczego lub też trwali w zdyscyplinowanym szaleństwie w cieniu Centrum Świętości. Ludzkie życie bez wątpienia było teraz bardziej beznadziejne niż kiedyś. Cóż może być bardziej beznadziejnego niż kobieta w wieku Rose, siedząca przez całą noc w kuchni i czekająca na kochanka? W dodatku sama stworzyła taką sytuację, sama była sobie winna, chyba nigdy nie wyciągnęła wniosków z poprzednich nauczek. Potraktowała Simona jak kołek, zawiesiła na nim wszystkie swoje nadzieje, i teraz nigdy się jej nie uda przywrócić mu dawnej postaci.

Doszła do wniosku, że błędem był zakup wina, pościeli, sera i czereśni. Przygotowania są zwiastunem fiaska. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie otworzyła drzwi i radość w jej sercu nie zmieniła się w konsternację, podobnie jak dźwięk

dzwonów na wieży zmienia się zabawnie (nie dla Rose) w dźwięk zardzewiałej syreny mgłowej.

Upływała godzina po godzinie w ciemności i w deszczu bębniącym o szyby, i Rose przewidywała, co się zdarzy. Będzie czekała przez cały weekend, pokrzepiając się rozmaitymi wytłumaczeniami, nękana wątpliwościami. Nie ruszy się z domu na wszelki wypadek, bo przecież może zadzwonić telefon. Gdy w poniedziałek wróci do pracy, do realnego świata, oszołomiona, lecz nieco podniesiona na duchu, zbierze się na odwagę i napisze do niego króciutki list, po czym zostawi go w sekretariacie Wydziału Filologii Klasycznej.

Pomyślałam, że podczas przyszłego weekendu moglibyśmy obśiać ogródek. Kupiłam mnóstwo najróżniejszych nasion (było to kłamstwo, ale zdąży je kupić, jeśli Simon odpowie na list). Daj mi znać, gdybyś zamierzał przyjechać, ale nie przejmuj się, jeśli masz już inne plany.

Potem będzie się martwiła, czy aluzja do innych planów nie zabrzmiała zbyt bezceremonialnie? A gdyby o tym nie wspomniała, czy nie byłaby zbyt natarczywa? Cała jej pewność siebie, lekkość serca, gdzieś się ulotniły, próbowała jednak nadrabiać miną.

Jeśli będzie zbyt mokro, by pracować w ogródku, zawsze możemy się wybrać na przejażdżkę i ustrzelić kilka świstaków. Pozdrowienia, Rose.

Potem znowu będzie czekała, przy czym weekend był zaledwie zwyczajnym testem, przypadkowym wstępem do poważnego, codziennego, żalostnego rytuału. Wkładanie ręki do skrzynki i wyciąganie listów bez patrzenia na nie, wysiadywa-

nie w college'u aż do piątej, kładzenie na telefonie poduszki, żeby na niego nie patrzeć; udawanie braku zainteresowania. Wyczekiwanie. Siedzenie do późna w nocy, picie. Nigdy nie miała na tyle dość tej głupoty, by dać za wygraną, ponieważ czekanie przeplatało się z takimi zielonymi, wiosennymi marzeniami, takimi przekonującymi argumentami co do jego intencji. Wystarczyły na obecnym etapie, by przekonywać siebie, że musiał zachorować, w przeciwnym razie nigdy by jej nie porzucił. Zadzwoń do szpitala w Kingston, by spytać o stan jego zdrowia, i dowie się, że nie ma takiego pacjenta. Potem pewnego dnia wpadnie do biblioteki college'u, by spojrzeć na nekrologi w gazetach wychodzących w Kingston i sprawdzić, czy przypadkiem nie umarł. Potem podda się na całej linii i drżąc ze zdenerwowania, zadzwoni do niego na uniwersytet. Dziewczyna w sekretariacie powie jej, że wyjechał. Wyjechał do Europy, wyjechał do Kalifornii; uczył tutaj wyłącznie przez jeden semestr. Wyjechał na biwak, wyjechał, żeby wziąć ślub.

Albo powie:

– Proszę chwileczkę zaczekać. – I przełączy rozmowę.

– Słucham?

– Simon?

– Tak.

– Mówi Rose.

– Rose?

Nie będzie to tak drastyczne. Będzie znacznie gorsze.

– Miałem do ciebie zadzwonić – powie. Albo: – Rose, jak się masz? – albo nawet: – Jak tam ogródek?

Lepiej stracić go teraz. Ale przechodząc obok telefonu, położyła na nim dłoń, jak gdyby chciała sprawdzić, czy jest ciepły, a może go zachęcić.

Zanim jeszcze rozjaśniło się w poniedziałek rano, spakowała potrzebne rzeczy i wrzuciła je na tył samochodu, zamknęła dom, zostawiając rozplywający się camembert na bufecie w kuchni, i ruszyła w kierunku zachodnim. Zamierzała zaszyć się gdzieś na parę dni, dopóki nie wróci jej zdrowy rozsądek i będzie mogła patrzeć na pościel, grządkę skopanej ziemi i miejsce za łóżkiem, którego dotknął, sprawdzając przeciąg. (Dlaczego zabrała ze sobą wysokie buty i zimowy płaszcz, jeśli tylko o to chodziło?) Napisała list do college'u – potrafiła pięknie kłamać w listach, gorzej jej to wychodziło przez telefon – w którym wyjaśniała, że została wezwana do Toronto z powodu nieuleczalnej choroby najbliższej przyjaciółki. (Może zresztą wcale nie kłamała tak pięknie, może przesaadziła.) Cały weekend spędziła bezsennie, piła, niezbyt dużo, lecz bez przerwy. „Nie zgadzam się” – powiedziała na głos, bardzo poważnie i z naciskiem, ładując bagaże do samochodu. I gdy skulona na przednim siedzeniu pisała list, który mogła w znacznie wygodniejszych warunkach napisać w domu, pomyślała, ile to już szalonych listów ma na swoim koncie, ile wyszukanych wykrętów wymyśliła, gdy z powodu mężczyzny musiała opuścić jakieś miejsce albo bała się je opuścić. Nikt nie orientował się w stopniu jej głupoty, przyjaciele, którzy znali ją od dwudziestu lat, nie wiedzieli o połowie jej ucieczek, o pieniądzach, które wydała, o ryzyku, jakie podejmowała. I oto znowu uciekam, myślała trochę później, prowadząc samo-

chód i wyłączając wycieraczki przedniej szyby (deszcz przestał wreszcie padać w poniedziałek o dziesiątej rano), zatrzymując się, by zatankować benzynę, pobrać pieniądze, gdy otwarto banki. Była kompetentna i radosna, pamiętała, co robić; kto by się domyślił, jakie upokorzenia, wspomnienia upokorzeń i przewidywania krążą jej po głowie? Najbardziej upokarzająca była po prostu nadzieja, która tak zwodniczo najpierw ukrywa się niczym mysz w norze, maskuje się podstępnie, ale nie na długo. Po tygodniu potrafi znów się pojawić, wywodząc trele, świergocząc i śpiewając hymny u bram nieba. Nie opuszczała jej nawet teraz, podszeptując, że Simon może właśnie skręca w jej podjazd, może staje przed drzwiami jej domu ze złożonymi rękami, modląc się, drwiąc, przepraszając. *Memento mori.*

A jeśli nawet tak jest, jeśli to prawda, co się stanie pewnego dnia, pewnego ranka? Pewnego ranka być może obudzi się i pozna po jego oddechu, że nie śpi, ale leży obok niej bez ruchu, nie dotykając jej, i nie czeka, by ona go dotknęła. Tak często kobiecy dotyk domaga się czegoś (tego nauczyła się ponownie od niego); kobieca czułość jest zachłanna, kobieca zmysłowość nieuczciwa. Będzie leżała, żałując, że nie ma jakiegoś zwykłego defektu, wokół którego jej wstyd mógłby się owinać, by ją w ten sposób chronić. A tak, będzie musiała wstydzić się wszystkiego, znosić ciężar całej swojej nagiej, starzejącej się, rozkładającej się fizyczności. Jej ciało mogło się wydawać okropne; tłuste i gąbczaste, szare i upstrzone plamami. Co do jego ciała nie będzie wątpliwości, nigdy; to on będzie tym, który potępia i przebacza; a skąd ona ma wiedzieć,

czy jej znowu przebaczy? „Chodź tutaj”, może powiedzieć, albo „Odejdź”. Nigdy od czasów Patricka nie była wolna, nigdy nie miała tej władzy; może całkiem ją zużyła, zużyła wszystko, co przyniósł jej los.

A może usłyszy na jakimś przyjęciu, jak mówi: „I wtedy wiedziałem już, że wszystko będzie dobrze, uznałem to za dobry znak”. Będzie opowiadał swoją historię jakiejś wyglądającej jak dziwka dziewczynie w jedwabnej kiecce w lamparcie ćetki albo – co gorsza – miłej długowłosej dziewczynie w haftowanej bluzce, która prędzej czy później weźmie go za rękę i zaprowadzi do pokoju lub w plener, tam, gdzie Rose nie może za nimi pójść.

Tak, ale czy nie jest możliwe, że nic takiego się nie zdarzy, czy nie jest możliwe, że będzie tylko łagodność, owczy nawóz i ciemne wiosenne noce z kumkaniem żab? Fakt, że nie pojawił się w pierwszy weekend ani nie zatelefonował, mógł oznaczać jedynie zmianę rozkładu zajęć; nie był to złowróżbny znak. Takie myśli sprawiały, że mniej więcej co trzydzieści kilometrów zwalniała, a nawet szukała miejsca, gdzie dałoby się zawrócić. Potem rezygnowała, przyspieszała znowu, postanawiając jechać jeszcze kawałek dalej, dopóki nie zacznie trzeźwo myśleć. Ale wówczas zalewały ją wspomnienia samotnej nocy spędzonej w kuchni, poczucia straty. I tak było na zmianę, zupełnie jak gdyby tył samochodu trzymała jakaś magnetyczna siła, która to słabła, to wzrastała, słabła i znowu wzrastała, ale nigdy nie była wystarczająca, by zmusić ją do zawrócenia; po pewnym czasie Rose zaczęła podchodzić do tego z niemal bezosobową ciekawością, wyobrażając sobie realną fizyczną siłę i zastanawiając

się, czy jest coraz mniejsza w miarę pokonywania przez nią kolejnych kilometrów i czy w pewnym momencie całkiem się jej pozbędzie.

Jechała więc dalej. Muskoka; Lakehead; granica z Manitobą. Czasami spała w samochodzie, zjeżdżała na pobocze na jakąś godzinkę. W Manitobie było na to zbyt zimno, zameldowała się więc w motelu. Jadła w przydrożnych restauracjach. Przed wejściem do środka przyczesywała włosy i przybierała lekko nieobecny, marzycielski minę osoby cierpiącej na krótkowzroczność. Kobiety zachowują się w ten sposób, gdy przypuszczają, że mogą się znaleźć pod ostrzałem męskich spojrzeń. Przesadą byłoby powiedzieć, że spodziewała się spotkać tam Simona, ale chyba nie wykluczała całkiem takiej ewentualności.

A siła rzeczywiście słabła, im bardziej Rose się oddalała. Było to takie proste; później jednak doszła do wniosku, że odległość trzeba pokonywać samochodem, autobusem lub motocyklem; nie osiągnie się tego samego rezultatu, lecąc samolotem. Zauważyła tę zmianę w preryjnym miasteczku z widokiem na Cypress Hills. Jechała przez całą noc, dopóki z tyłu za nią nie wzeszło słońce; poczuła spokój, umysł miała trzeźwy, jak to bywa w takich wypadkach. Wstąpiła do knajpki i zamówiła kawę i jajka sadzone. Siedziała przy kontuarze, przyglądając się różnym przedmiotom, które zwykle można znaleźć za ladą w knajpach, takim jak dzbanki z kawą, kawałki nieświeżego cytrynowego lub malinowego placka, pucharki z grubego szkła, w których zawsze podają lody lub galaretki. To one uświadamiały Rose zmieniony stan jej umysłu. Skłamałaby,

twierdząc, że te przedmioty są kształtne lub sugestywne. Mogła jedynie powiedzieć, że widzi je w sposób, jaki nie byłby możliwy u osoby w jakimkolwiek stadium miłości. Odbierała ich solidność z ozdowieńczą wdzięcznością, której ciężar usadowił się wygodnie w jej mózgu i stopach. Dotarło do niej, że weszła do tej restauracji, nie starając się nawet wyobrazić sobie, że zobaczy tam Simona, czyli świat przestał być dla niej sceną, gdzie mogłaby go spotkać, wszystko wróciło na swoje właściwe miejsca. W ciągu tamtej półgodziny, gdy miała całkiem jasny umysł, póki nie zrobiła się tak senna po śniadaniu, że musiała udać się do motelu, gdzie padła nieprzytomnie na łóżko i zasnęła w ubraniu, przy rozsuniętych zasłonach, myślała, jak bardzo świat przestaje istnieć dla człowieka zakochanego, i to zarówno w sytuacji, gdy wszystko układa się dobrze, jak i wtedy, gdy układa się źle. To nie powinno być dla niej niespodzianką (i nie było); zaskoczyło ją, że tak bardzo potrzebowała, pragnęła mieć wszystko, toporne i proste jak te pucharki do lodów; dlatego przeszło jej przez myśl, iż być może ucieka nie tylko przed rozczarowaniem, stratą, rozpadem, lecz także przed czymś wręcz przeciwnym; celebrowaniem i przeżyciem miłości, oszałamiającej zmiany. Nie potrafiła tego zaakceptować, nawet jeśli było bezpieczne. Tak czy owak jest się czegoś pozbawionym – osobistej siły napędowej, odrobiny uczciwości. Tak myślała.

Napisała do college'u, że będąc już w Toronto, gdzie czuwała przy łożu śmierci przyjaciółki, spotkała starego znajomego, który zaproponował jej pracę na zachodnim wybrzeżu i że niezwłocznie się tam udaje. Obawiała się, że mogą jej rzucać kłó-

dy pod nogi, ale równie dobrze (co bardziej prawdopodobne) mogli w ogóle się tym nie przejąć, jako że warunki jej zatrudnienia, a zwłaszcza płacy, nie były stałe. Napisała do agencji, w której wynajmowała dom; napisała do właścicielki sklepu, życząc jej szczęścia i żegnając się z nią. Na autostradzie Hope – Princeton wysiadła z samochodu i stała w zimnym ulewnym deszczu w nadbrzeżnych górach. Czowała się względnie bezpieczna, wyczerpana i zdrowa psychicznie, mimo iż zdawała sobie sprawę, że wiele osób, które zostawiła za sobą, nie zgodziłoby się z tą diagnozą.

Szczęście jej dopisało. W Vancouver spotkała znajomego, który kompletował obsadę do nowego serialu telewizyjnego. Miał być kręcony na zachodnim wybrzeżu i opowiadał o rodzinie czy pseudorodzinie ekscentryków i włóczęgów, którzy wykorzystywali stary dom na wyspie Salt Spring Island jako dach nad głową lub kwaterę główną. Rose dostała rolę właścicielki domu, pseudomatki. Stało się dokładnie tak, jak napisała w liście; praca na zachodnim wybrzeżu, być może najlepsza, jaką miała w życiu. Trzeba było postarzać jej twarz za pomocą specjalnych technik; charakteryzator żartował, że jeśli serial odniesie sukces i będzie kręcony przez kilka lat, charakteryzacja przestanie być potrzebna.

Wszyscy na wybrzeżu nadużywali słowa „marny”. Mówili, że się marnie czują, że są w marnej kondycji psychicznej. Nie ja, odpowiadała Rose, ja czuję, jakbym była zrobiona ze starej końskiej skóry. Wiatr od prerii i słońce sprawiły, że jej cera ogorzała. Klepała się po opalonej, pomarszczonej szyi, dla podkreślenia słowa „końska skóra”. Zaczynała już przej-

mować pewne zwroty, manieryzmy od postaci, którą miała grać.

Mniej więcej rok później Rose stała na pokładzie jednego z promów Kolumbii Brytyjskiej, w chustce na głowie i wyświechtanym swetrze. Musiała się skradać między szalupami, nie spuszczać z oka ładnej młodej dziewczyny, która trzęsła się z zimna w obciętych dżinsach i trykotowej bluzce z odkrytymi plecami. Zgodnie ze scenariuszem bohaterka, którą grała Rose, obawiała się, że dziewczyna chce popełnić samobójstwo, skacząc do morza, ponieważ jest w ciąży.

Przy filmowaniu tej sceny zebrał się niezły tłumek gapiów. Gdy przerwano kręcenie i członkowie ekipy schronili się w osłoniętej części pokładu, by ubrać się cieplej i napić gorącej kawy, jakaś kobieta spośród gapiów wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Rose.

– Nie pamiętasz mnie – powiedziała, i rzeczywiście Rose jej nie pamiętała. Wtedy zaczęła mówić o Kingston, o parze, która wydała przyjęcie, nawet o śmierci kota Rose. W tym momencie Rose przypomniała sobie: ach tak, to kobieta, która pisała pracę na temat samobójstw. Ale wyglądała zupełnie inaczej. Miała na sobie drogie beżowe spodnium, beżowo-białą apaszkę na głowie; nie była już niechlujna, nie miała wystrzępionych ciuchów, włosów w strąkach ani buntowniczego wyrazu twarzy. Przedstawiła męża, który burknął coś do Rose, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie zamierza koło niej skakać. Gdy się odsunął, kobieta dodała: – Biedny Simon. Słyszałaś, że umarł.

Potem spytała, czy będą filmowali więcej scen. Rose wiedziała, o co jej chodzi. Chciała się wkręcić jako statystka, żeby móc potem zadzwonić do znajomych i powiedzieć, żeby ją oglądali. Gdyby zadzwoniła do osób, które były wtedy na przyjęciu, musiałaby powiedzieć, że zdawała sobie sprawę, iż serial jest kompletnie bzdurny, ale namówiono ją, żeby zagrała w tej scenie dla hecy.

– Umarł?

Kobieta zdjęła apaszkę i wiatr zwał jej włosy na twarz.

– Rak trzustki – wyjaśniła, odwracając twarz w stronę wiatru, tak żeby móc włożyć z powrotem apaszkę, bardziej dla własnej satysfakcji. Ton jej głosu wydał się Rose protekcyjny, przebiegły. – Nie wiem, jak dobrze go znałaś. – Czy to miało sprowokować Rose do zastanowienia się, jak dobrze tamta go znała? Być może ta przebiegłość miała na celu uzyskanie jakiejś wskazówki, jak również ocenę zwycięstw i niespodzianek. Kobieta przytrzymała brodą apaszkę i zawiązała ją. – To takie smutne – stwierdziła teraz rzeczowo. – Bardzo smutne. Chorował od dawna.

Ktoś zawołał Rose. Musiała wrócić do kolejnej sceny. Dziewczyna nie rzuciła się do morza. Takie rzeczy nie zdarzają się w serialach. Zawsze sytuacja jest niezwykle groźna, ale nic złego się nie przytrafia, a jeśli już, to tylko postaciom drugoplanowym. Oglądający serial widzowie wierzą, że będą chronieni przed dającymi się przewidzieć nieszczęściami, jak również przed zmianami akcentów, które stawiają pewne elementy fabuły pod znakiem zapytania, przed dysonansami, które wymagają nowych ocen i rozwiązań

i otwierają szeroko okna na niestosowną, niezapomnianą scenerię.

Śmierć Simona była dla Rose takim dysonansem. To niedorzeczne, niesprawiedliwe, że dowiedziała się o tym tak późno i że nawet teraz uważała się za jedyną osobę, która kompletnie nie ma władzy.

Literowanie

W dawnych czasach, w sklepie, Flo twierdziła, że potrafi poznać, kiedy jakaś kobieta zaczyna tracić rozum. Pierwszą wskazówką było specjalne nakrycie głowy lub obuwie. Płytkie kaloszki kłapiące w letni dzień. Wysokie gumowce, w których owe kobiety babrały się w błocie, albo męskie buty robocze. Mogły sobie mówić, że to z powodu odcisków, ale Flo wiedziała lepiej. To było celowe, specjalnie tak gadały. Następny w kolejności był stary filcowy kapelusz, podarty, znoszony deszczowiec, spodnie związane w talii sznurkiem, ciemne wystrzępione chusty, równie wystrzępione swetry, wkładane „na cebulkę”.

Matki i córki często są do siebie podobne. To zawsze w nich jest. Przyptywy szaleństwa, nieodmiennie zaczynające się od pewnego miejsca gdzieś w głębi, rosną niepowstrzymanie, niczym chichot, stopniowo biorąc nad nimi górę.

Przychodziły do Flo i opowiadały jej swoje historie. Flo je podpuszczała.

– Jak to tak? – pytała. – Czy to nie wstyd?

„Zginęła mi tarka do jarzyn i wiem, kto ją zabrał”.

„Jakiś mężczyzna przychodzi i podgląda mnie, kiedy się rozbieram wieczorem. Spuszczam żaluzje, a on zagląda przez szczelinę”.

„Skradziono mi kopczyk młodych ziemniaków. Cały stoik brzoskwiń. Piękne kacze jaja”.

Jedną z tych kobiet zabrano wreszcie do przytułku. Przede wszystkim ją wykąpano. Potem obcięto jej włosy, które przypominały stóg siana. Spodziewali się coś w nich znaleźć, martwego ptaka lub może gniazdko pełne szkielecików małych myszek. Znaleźli rzepy, liście, pszczołę, która musiała się zaplątać i zabzyczała się na śmierć. Gdy już ścięli grubą warstwę, dokopali się do płóciennego kapelusza. Zbutwiał jej na głowie i włosy przecisnęły się przez materiał, niczym trawa przez drucianą siatkę.

Flo nabrała nawyku trzymania na stole nakryć do następnego posiłku, żeby oszczędzić sobie kłopotu. Ceratowy obrus był lepki, odbiły się na nim zarysy talerza i spodka, podobnie jak zarysy obrazków na brudnej ścianie. Lodówka była pełna zzieleniałych ochłapów, zeschniętych skórek, porośniętych puszystą pleśnią resztek. Rose zabrała się do pracy, myła, szorowała, wyparzała. Czasami Flo wchodziła ociężała do kuchni, wspierając się na dwóch laskach. Albo całkiem ignorowała obecność Rose, albo przechylała do ust dzbanek z syropem klonowym i piła go jak wino. Uwielbiała teraz słodczy, miała na nie nieprzeparowaną ochotę. Brązowy cukier łyżkami, syrop klonowy, pudding z puszki, galaretki – krople słodczy spływające jej do gardła. Rzuciła palenie, prawdopodobnie ze strachu przed pożarem.

Innym razem spytała:

– Co tam robisz za ladą? Powiedz, czego chcesz, a podam ci. – Myślała, że jest nie w kuchni, lecz w sklepie.

– To ja, Rose – głośno, powoli odrzekła Rose. – Jesteśmy w kuchni. Sprzątam kuchnię.

W kuchni nic się nie zmieniło, była urządzona dokładnie tak jak dawniej – tajemniczo, osobiście, ekscentrycznie. Duża patelnia w piekarniku, średnia patelnia pod garnkiem do gotowania ziemniaków na narożnej półce, mała patelnia zawieszona na gwoździu obok zlewu. Durszlak pod zlewem. Ścierki do naczyń, wycinki z gazet, nożyczki, foremki na muffinki również wiszące na gwoździach. Sterty rachunków i listów na maszynie do szycia, na półce z telefonem. Można by pomyśleć, że ktoś położył je tam wczoraj czy parę dni temu, one jednak leżały tam od lat. Rose natknęła się na swoje listy, które pisała kiedyś w sztucznym, dziarskim stylu. Fałszywi posłańcy; fałszywe związki, stracony okres życia.

– Rose wyjechała – oznajmiła Flo. Miała teraz zwyczaj wysuwania dolnej wargi, kiedy była niezadowolona lub zdezorientowana.

Gdy Rose obudziła się nazajutrz rano, zastała w kuchni ogromny chaos, jakby ktoś zamieszał w niej wielką trzęsącą się łyżką. Duża patelnia wylądowała za lodówką, łopatka do jajek między ręcznikami, nóż do chleba w pojemniku na mąkę, a brytfanna tkwiła między rurami pod zlewem. Kiedy Rose przygotowała owsiankę dla Flo, ta zapytała:

– Jesteś tą kobietą, którą przysłali, żeby się mną zaopiekowała, tak?

– Tak.

– Nie jesteś stąd?

– Nie.

– Nie mam pieniędzy, żeby ci zapłacić. Jak cię przystali, to niech ci płacą.

Flo posypywała owsiankę brązowym cukrem, dopóki nie pokryła i nie wyrównała łyżką całej powierzchni.

Po śniadaniu wyszła na deskę, na której Rose kroїła sobie chleb na grzankę.

– Skąd to się tutaj wzięło? – rzekła apodyktycznym tonem, biorąc deskę i wymaszerowując, o ile można tak powiedzieć o kimś poruszającym się o dwóch laskach, by gdzieś ją schować, w stołeczku do pianina lub pod schodkami na tyłach budynku.

Wiele lat temu Flo miała niedużą oszkloną werandę z boku domu. Mogła stamtąd obserwować drogę, podobnie jak zwykle ją obserwować zza lady w sklepie (obecnie okno w sklepie zostało zabite deskami, stare reklamy zamalowane). Droga nie była już główną ulicą prowadzącą z Hanratty przez West Hanratty nad jezioro, lecz objazdem autostrady. Została obecnie wybrukowana, zaopatrzona w szerokie rynsztoki i nowe ręciovne latarnie. Stary most został rozebrany, na jego miejscu zbudowano nowy, szeroki most, znacznie mniej wyrazisty. Różnica między Hanratty a West Hanratty była teraz prawie niezauważalna. W West Hanratty wszystko zostało świeżo odmalowane lub pokryte aluminium okładziną. Dom Flo był jedynym szkaradzieństwem.

Jakież to rzeczy umieściła Flo na swojej małej werandzie, żeby patrzeć na nie, gdy siadywała tam przez wiele lat, teraz z twardniejącymi tętnicami i zeszywniałymi stawami?

Kalendarz ze zdjęciem przedstawiającym szczeniaka i małego kotka. Z pyszczkami zwróconymi ku sobie, tak że dotykały się noskami, wolna przestrzeń między nimi tworzyła kształt serca.

Kolorową fotografię księżniczki Anny jako dziecka.

Ceramiczny wazon z wizerunkiem Blue Mountain, który dostała w prezencie od Briana i Phoebe, z trzema plastikowymi żółtymi różami. Zarówno wazon, jak i róże były pokryte kilkuletnią warstwą kurzu.

Sześć muszli z wybrzeża Pacyfiku, które przysłała do domu Rose, ale zdaniem Flo, a przynajmniej jak kiedyś uważała Flo, Rose nie znalazła ich sama. Faktycznie kupiła je pod wpływem impulsu na wakacjach w stanie Waszyngton. Leżały w plastikowej torebce obok kasy w restauracji dla turystów.

PAN JEST MOIM PASTERZEM, napis na czarnym tle, posypany brokatem. Gratis z mleczarni.

Zdjęcie z gazety przedstawiające siedem trumien w jednym rzędzie. Dwie duże, pięć małych. Rodzice i dzieci, wszyscy zastrzeleni przez ojca w domu na wsi, z niewiadomych przyczyn. Nietarwo było odnaleźć ten dom, ale Flo go widziała. Sąsiedzi zabrali ją na niedzielną przejażdżkę w czasach, gdy chodziła jeszcze o jednej lasce. Musieli spytać o drogę na stacji benzynowej przy autostradzie, a potem w sklepie na rogu. Powiedziano im, że mnóstwo osób o to pyta, są równie zdeterminowani. Chociaż Flo musiała przyznać, że niewiele tam było do oglądania. Dom jak dom. Komin, okna, gonty, drzwi. Coś, co mogło być ścierką lub pieluchą, wisiało na sznurze i butwiało, jakoś nikt nie miał ochoty zabrać tej szmaty.

Rose nie odwiedzała Flo od prawie dwóch lat. Była bardzo zajęta, podróżowała po całym kraju z małymi firmami, finansowanymi z subwencji, wystawiała sztuki lub pojedyncze sceny ze sztuk, albo wygłaszała odczyty w salach szkół średnich i ośrodkach kultury. Jej praca polegała na występach w miejscowych stacjach telewizyjnych, gdzie rozmawiała o tych inscenizacjach, próbowała nimi zainteresować, opowiadała zabawne historie, jakie zdarzały się podczas tych tras. Nie było w tym nic hańbiącego, ale czasami Rose z niewiadomego powodu ogromnie się tego wstydziła. Nie dawała nic po sobie poznać. Gdy występowała publicznie, była szczera i czarująca; opowiadała swoje anegdoty tak nieśmiało i z takim zaintrygowaniem, jak gdyby przypominała je sobie właśnie w tej chwili, a nie powtarzała już setki razy. Gdy wracała do pokoju hotelowego, często wstrząsały nią dreszcze, jak w gorączce, głośno jęczała. Składała to na karb wyczerpania lub zbliżającej się menopauzy. Nie pamiętała żadnej z osób, które spotkała, uroczych, interesujących osób, które zapraszały ją na kolację i którym, przy drinkach w różnych miastach, opowiadała o swoich intymnych życiowych sprawach.

Od kiedy Rose była tu po raz ostatni, dom Flo został skrajnie zaniedbany. Pokoje były zapchane szmatami, gazetami, zarosły brudem. Gdy próbowała podciągnąć żaluzję, by wpuścić trochę światła, ta została jej w rękę. Gdy dotknęła zasłony, ta rozpadła się na kawałki, wzbijając dławiący kurz, gdy włożyła dłoń do szuflady, natrafiła na coś miękkiego, ciemnego i obrzydliwego.

Przykro nam przekazywać złe wieści, ale wygląda na to, że nadszedł czas, kiedy Flo nie może już być pozostawiona sama sobie. Staramy się ją odwiedzać, ale sami nie jesteśmy już najmłodszy i chyba trzeba coś z tym zrobić...

Mniej więcej ten sam list otrzymali Rose i jej przyrodni brat Brian, który był inżynierem i mieszkał w Toronto. Rose wróciła właśnie z tournée. Zakładała wcześniej, że Brian i jego żona Phoebe, których widywała rzadko, utrzymują kontakt z Flo. W końcu Flo była matką Briana, a jej macochą. Jak się okazało, utrzymywali z nią kontakt, a przynajmniej tak im się wydawało. Brian był ostatnio w Ameryce Południowej, ale Phoebe telefonowała do Flo w każdy niedzielny wieczór. Flo miała niewiele do powiedzenia, lecz i tak nigdy naprawdę nie rozmawiała z Phoebe. Mówiła, że czuje się dobrze, wszystko jest w porządku, a potem wekslowała rozmowę na pogodę. Rose obserwowała Flo, od kiedy przyjechała do domu, i zrozumiała, w jaki sposób potrafiła oszukać Phoebe. Flo rozmawiała normalnie, dzień dobry, czuję się dobrze, wczoraj wieczorem mieliśmy tutaj potężną burzę, tak, światła nie było przez kilka godzin. Skoro Phoebe nie mieszkała w pobliżu, skąd miała wiedzieć, że nie było żadnej burzy?

Nie można powiedzieć, że Rose kompletnie nie pamiętała o Flo przez te dwa lata. Miała przyipywy troski o nią. Po prostu w tej chwili była w okresie między tymi przyipywami. Pewnego razu przypomniała sobie o niej podczas styczniowej śnieżycy, przejechała trzysta pięćdziesiąt kilometrów w zamieci, mijając auta, które wylądowały w rowach, a gdy wreszcie zaparkowała na ulicy, przy której mieszkała Flo,

gdy wreszcie dobrnęła do domu chodnikiem, którego Flo nie zdołała odśnieżyć, czuła ogromną ulgę i jednocześnie niepokój o Flo, emocjonalny mętnik, zarazem przyjemny i pełen troski. Flo otworzyła drzwi i burknęła ostrzegawczo:

– Tutaj nie wolno parkować.

– Słucham?

– Nie wolno tutaj parkować!

Flo wyjaśniła, że wyszło nowe lokalne zarządzenie; nie wolno parkować na ulicach podczas zimowych miesięcy.

– Będziesz musiała odgarnąć śnieg.

Oczywiście Rose nie wytrzymała.

– Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, wsiądę do samochodu i pojadę z powrotem!

– No ale nie możesz zaparkować...

– Jeszcze jedno słowo!

– Jak długo będziesz tutaj stała i kłóciła się ze mną? Jest okropny przeciąg, zimno...

Rose weszła do środka. Dom.

Była to jedna z jej opowieści o Flo. Potrafiła to świetnie zagrać. Swoje zmęczenie i poczucie dobrze spełnionego obowiązku; pomstowanie Flo, groźne wymachiwanie laską, zaciętą niechęć przyjęcia pomocy od kogokolwiek.

Po przeczytaniu listu Rose zadzwoniła do Phoebe, która zaprosiła ją na obiad, żeby mogli porozmawiać. Rose postanowiła zachowywać się grzecznie. Miała wrażenie, że Brian i Phoebe wciąż poruszają się w chmurze dezaprobaty dla niej. Wydawało jej się, że nie pochwalają jej sukcesu, nawet jeśli jest

ograniczony, wątpliwy i prowincjonalny, a z jeszcze większą dezaprobatą przyjmują jej niepowodzenia. Ale zdawała sobie sprawę, że jest mało prawdopodobne, by często o niej myśleli lub mieli tak bardzo określone uczucia.

Włożyła niezbyt ładną spódnicę i starą bluzkę, ale w ostatniej chwili przebrała się w długą indyjską suknię z cienkiej czerwono-złotej bawełny, która usprawiedliwiała ich opinię, że Rose zawsze jest teatralna.

Mimo to jak zwykle postanowiła, że będzie mówiła cicho, będzie trzymała się faktów, nie wda się w żadne banalne, idiotyczne kłótnie z Brianem. I jak zwykle cały rozsądek wyparował jej z głowy, gdy tylko weszła do ich domu, gdy uderzył ją panujący tu spokojny, ustalony ład; poczuła, jak ze wszystkich wazonów i kotar emanuje zadowolenie, samozadowolenie. Była zdenerwowana, gdy Phoebe spytała ją o tournée. Phoebe też się trochę denerwowała, ponieważ Brian siedział w milczeniu, wprawdzie nie marszcząc z dezaprobatą brwi, ale dając do zrozumienia, że błahość tematu mu nie odpowiada. Brian niejednokrotnie podkreślał w obecności Rose, że nie szanuje ludzi wykonujących jej zawód.

Ale on nie szanował bardzo wielu ludzi. Aktorów, artystów, dziennikarzy, osób zamożnych (nigdy nie przyznałby, że sam też jest zamożny), wszystkich wykładowców wydziałów humanistycznych na uniwersytetach. Ostentacyjnie potępiał całe grupy społeczne, kategorie. Skażone bezmyślnością i pretensjonalnością, brakiem umiaru. Rose nie wiedziała, czy Brian naprawdę tak myśli, czy po prostu musi się przy niej popisywać. Używał swej cichej pogardy jako przynęty, a ona się

na to łapała; kłócili się, opuszczała jego dom zapłakana. Nigdy jednak nie potrafili zaprzestać dawnej rywalizacji; kto jest lepszy, kto wybrał lepszą pracę? O co im chodziło? O dobrą opinię o sobie nawzajem? Być może byłoby to osiągalne, ale jeszcze nie teraz. Phoebe, która była spokojną i dobrą kobietą, z wielkim talentem normalizowania sytuacji (w absolutnym przeciwieństwie do ich rodzinnego talentu do rozpętywania kłótni), podawała coś do zjedzenia, nalewała kawę lub przyglądała im się z uprzejmym zdziwieniem; ich rywalizacja, ich wrażliwość, ich poczucie krzywdy, były dla niej chyba tak dziwne jak wyglupy bohaterów komiksów, którzy wtykają palce w gniazdko elektryczne.

– Zawsze żałowałam, że Flo nie może nas więcej odwiedzać – powiedziała Phoebe. Flo przyjechała do nich raz i po trzech dniach poprosiła, by ją odwiedzić do domu. Później jednak najwyraźniej z przyjemnością sporządziła listę rzeczy, które mieli Brian i Phoebe, cech charakterystycznych ich domu. Brian i Phoebe żyli całkiem skromnie, mieszkali w Don Mills, a rzeczy, na których skupiła się Flo – dzwonek u drzwi wygrywający melodyjkę, automatyczne drzwi garażowe, basen – były zwykłym wyposażeniem w podmiejskich domach. Rose powiedziała to Flo, która uważała, że przez pasierbicę przemawia zazdrość.

– Nie odmówiłabyś, gdyby ci to proponowano.

– Właśnie, że tak.

Była to prawda, Rose uważała, że to, co mówi, jest prawdą, ale jak miała przekonać o tym Flo czy kogokolwiek w Hanratty? Jeśli ktoś został w Hanratty i nie wzbogacił się, to wszystko

w porządku, ponieważ wiedzie takie życie, jak zamierzał, ale jeśli wyjechał i nie zbił majątku, tak jak Rose, jaka jest tego przyczyna?

Po obiedzie Rose, Brian i Phoebe usiedli w ogrodzie przy basenie, gdzie najmłodsza z czterech córek gospodarzy pływała na nadmuchiwanym smoku. Na razie atmosfera była przyjazna. Wspólnie postanowili, że Rose pojedzie do Hanratty i załatwi formalności związane z przeniesieniem Flo do domu starców w Wawanash. Brian zrobił wcześniej mały wywiad na temat tamtejszych warunków (a może wypytała o to jego sekretarka) i doszedł do wniosku, że wydaje się nie tylko tańszy, lecz zdecydowanie lepiej prowadzony niż prywatne domy opieki, i ma więcej udogodnień.

– Bardzo możliwe, że spotka tam starych znajomych – powiedziała Phoebe.

Potulność Rose, jej grzeczne zachowanie, wynikały częściowo z wizji, jaką przez cały wieczór tworzyła sobie w myślach i której nigdy nie zdradziłaby Brianowi. Wyobrażała sobie, jak jedzie do Hanratty, by zająć się Flo. Mieszka z nią, opiekuje się macochą, jak długo to będzie konieczne. Sprząta i odmalowuje kuchnię, łąta przeciekające miejsca na dachu (była to jedna z rzeczy, o których wspomniano w liście), hoduje kwiaty w doniczkach i gotuje pożywną zupę. Nie posunęła się tak daleko, by wyobrazić sobie Flo wpasowaną w ten idealny obraz, uspokojoną i pełną wdzięczności. Ale im bardziej zrzędliva będzie się robiła Flo, tym łagodniejsza i cierplivsza będzie Rose. Kto wtedy będzie mógł oskarżyć ją o egoizm i płochość?

Ta wizja nie przetrwała pierwszych dwóch dni pobytu w domu.

– Masz ochotę na pudding? – spytała Rose.

– Och, wszystko mi jedno.

Wyszukana beztrioska, jaką okazują niektórzy ludzie, promyk nadziei, gdy proponują ci drinka.

Rose przygotowała dla niej deser. Jagody, brzoskwinie, krem budyniowy, biszkopt, bita śmietana i słodkie sherry.

Flo zjadła pół miski. Łapczywie pochłaniała deser, nie zadając sobie trudu, by nałożyć porcję do mniejszej miseczki.

– To było doskonałe – powiedziała. Rose do tej pory ani razu jeszcze nie usłyszała od niej słów pełnych takiej wdzięczności i zadowolenia. – Doskonałe – powtórzyła Flo. Siedziała tak, rozpamiętując, doceniając, lekko czkając. Łagodny, kojący krem budyniowy, nieco szczypiące jagody, dojrzałe brzoskwinie, luksusowy smak biszkoptu nasączonego sherry, szczodra warstwa bitej śmietany.

Rose pomyślała, że nigdy w życiu nie zrobiła nic, co choćby w małym procencie sprawiło Flo taką przyjemność jak ten deser.

– Niedługo przygotuję ci go znowu.

Flo otrząsnęła się, wracając do swego zwykłego sposobu bycia.

– Och, dobrze, rób, co chcesz.

Rose pojechała do domu starców. Oprawdżono ją po nim. Po powrocie próbowała opowiedzieć o nim Flo.

– Czyj dom? – spytała Flo.

– Nie, nie czyjś, dom opieki.

Rose wspomniała o ludziach, których tam spotkała. Flo napomknęła, że kogoś zna. Rose opowiadała o widokach i przyjemnych pokojach. Flo wyglądała na rozzłoszczoną; wysunęła dolną wargę, twarz jej spochmurniała. Rose podarowała jej mobil, który kupiła w sklepie z wyrobami ośrodku rękodzielniczego w domu opieki. Ptaszki wycięte z niebieskiego i żółtego papieru podskakiwały i tańczyły w niezauważalnych prądach powietrznych.

– Wsadź je sobie w tyłek.

Rose zawiesiła mobil na werandzie, opowiadając jednocześnie, że zauważyła, jak wnoszą na górę tace z kolacją.

– Pensjonariusze schodzą na dół do jadalni, jeśli są w stanie, a jeśli nie, zanoszą im posiłki na górę. Widziałam, co im podają. Mięciutką pieczeń wołową, purée ziemniaczane i zielony groszek z mrożonki, nie z puszki. Albo omlet. Możesz wybrać omlet z pieczarkami albo z kurczakiem, albo bez niczego, jeśli wolisz.

– A co jest na deser?

– Lody. Mogą być z sosem.

– Jakim?

– Do wyboru: czekoladowym, orzechowym, karmelowym.

– Nie mogę jeść orzechów.

– Jest jeszcze sos z pianki ślazowej.

W domu starców starzy ludzie byli porozdzielani według pięter. Na pierwszym byli ci w miarę sprawni umysłowo i schludni. Poruszali się, zwykle o lasce. Odwiedzali się wzajemnie, grali w karty. Śpiewali wspólnie, mieli różne hobby. W kółku rękodzielniczym malowali obrazki, tkali dywaniki, szyli narzuty. Jeśli tego nie potrafili, mogli robić szmaciane lalki, mobile, takie jak ten, który kupiła Rose, pudle i bałwany ze styropianowych kulek, z cekinami zamiast oczu; tworzyli też kompozycje, przypinając pinezkami w oznaczonych miejscach sylwetki rycerzy na koniach, okręty wojenne, samoloty, zamki.

Organizowali koncerty, potańcówki, turnieje szachowe.

– Niektórzy twierdzą, że są tutaj szczęśliwsi, niż byli kiedykolwiek w życiu.

Piętro wyżej było więcej oglądania telewizji, więcej wózków inwalidzkich. Tutaj przebywali ci, którzy siedzieli ze zwieszonymi głowami, językami na wierzchu, którym kończyny trzęsły się w niekontrolowany sposób. Mimo to życie towarzyskie nadal kwitło, pensjonariusze byli kontaktowi, pomijając chwile roztargnienia i nagłej pustki w głowie.

Na trzecim piętrze można się było natknąć na niespodzianki.

Niektórzy z pacjentów nie mówili.

Niektórzy w ogóle się nie poruszali, czasami tylko odrzucali gwałtownie głowę lub wymachiwali ramionami, bezwiednie, nie panując nad tymi odruchami.

Niemal wszyscy przestali już się przejmować, czy się zmożyli, czy nie.

Karmiono ich, wycierano, podnoszono i przywiązywano do wózków, potem rozwiązywano i kładziono do łóżek. Wdychając podawany tlen i wydychając dwutlenek węgla, nadal uczestniczyli w życiu świata.

Skulona w łóżku stara kobieta w pielusze, z trzema kępkami włosów przypominającymi dmuchawce, wydawała z siebie głośnie, drżące dźwięki.

– Witaj, cioteczko – powiedziała pielęgniarka. – Dziś literujemy. Jest piękna pogoda. – Pochyliła się do ucha staruszki. – Potrafisz przeliterować słowo „pogoda”?

Pielęgniarka obnażyła dziąsła w uśmiechu, robiła to przez cały czas; roztaczała aurę niemal obłąkanej wesołości.

– Pogoda – powtórzyła kobieta. Natężyła się, stękając, by wymówić to słowo. Rose pomyślała, że chyba będzie miała wypróżnienie. – P-O-G-O-D-A.

To nasunęło jej inne skojarzenie.

– Wygoda. W-Y-G-O-D-A.

Jak na razie jest dobrze.

– Proszę teraz coś do niej powiedzieć – poprosiła pielęgniarka Rose.

Wszystkie słowa, które w tej chwili przychodziły Rose do głowy, były nieprzyzwoite albo rozpaczliwe.

Ale też bez podpowiedzi staruszce nasunęło się jeszcze jedno.

– Zagajnik. Z-A-G-A-J-N-I-K.

– Świątować – podsunęła jej niespodziewanie Rose.

– Ś-W-I-Ę-T-O-W-A-Ć.

Trzeba było dobrze wsłuchiwać się w to, co mówiła staruszka, ponieważ nie miała siły artykułować dźwięków. Zdawały

się wydobywać nie z jej ust czy krtani, lecz z głębi płuc i brzucha.

– Czy to nie niesamowite? – spytała pielęgniarka. – Ona nie widzi, a to jest jedyny sposób, byśmy mogli sprawdzić, czy słyszy. Na przykład, jeśli się powie: „Proszę, oto twój obiad”, nie zwróci na to uwagi, lecz zacznie literować słowo „obiad”. – Żeby zilustrować tę sytuację, powiedziała: – Obiad.

– O-B-I... – Staruszka czasami robiła długie przerwy między literami. Najwyraźniej miała jedynie cienką nitkę, której się chwyciła, błędząc wśród pustki, czego ci po tej drugiej stronie mogli się tylko domyślać. Ale nie puszczała jej, podążała za nią aż do końca, niezależnie od tego, jak trudne czy kłopotliwe było słowo. Kończyła, po czym siedziała, czekając; czekając w środku swego pociemniałego, ubogiego w wydarzenia dnia, aż nagle wyskoczy skądś kolejne słowo. Obejmie je, włoży całą swoją energię w to, by je opanować. Rose zastanawiała się, co jej przypominają te słowa, gdy usiłuje je zapamiętać. Czy zachowują swoje zwykłe znaczenie, czy też nie mają w ogóle znaczenia? Czy są niczym słowa ze snów lub umysłów małych dzieci, każde cudowne, wyraźne i żywe jak małe zwierzątko? To miękkie i przejrzyste jak meduza, tamto twarde, złośliwe i skryte jak rogaty ślimak. Mogą być surowe i komiczne jak cylinder albo gładkie, żywe i twarzowe jak wstążka. Defilada prywatnych gości, jeszcze nie skończona.

Nazajutrz wczesnym rankiem coś obudziło Rose. Spała na małej werandzie, jedynym miejscu w domu Fłó, gdzie zapach

był do wytrzymania. Niebo było blade, przejaśniało się. Drzewa po drugiej stronie rzeki, które miały zostać niebawem ścięte, żeby przygotować miejsce pod kemping, pochylały się na tle nieba niczym kudłate ciemne zwierzęta, niczym bawoły. Rose coś się śniło. Sen w oczywisty sposób był związany z jej wczorajszą wizytą w domu opieki.

Ktoś ją prowadził przez duży budynek, w którym stały klatki z ludźmi. Początkowo wszystko było niewyraźne i zasnutę pajęczynami. Rose protestowała, że wyposażenie jest marne. Ale w miarę jak szła dalej, klatki były coraz większe i coraz bardziej misterne, przypominały ogromne wiklinowe wiktoriańskie klatki dla ptaków, o wymyślnych kształtach i ozdobach. Ludziom w klatkach podawano akurat posiłek i Rose przyjrzała się, co mają do wyboru: mus czekoladowy, biszkopt z owocami i bitą śmietaną, tort szwarcwaldzki. Nagle w jednej z klatek zobaczyła Flo, która elegancko siedziała na krześle przypominającym tron i wyraźnie literowała słowa zdecydowanym tonem (po przebudzeniu Rose nie mogła sobie przypomnieć, co to były za słowa). Wydawała się zadowolona z siebie, z tego, że wykazała się zdolnościami, które do tej pory trzymała w tajemnicy.

Rose nasłuchiwała, czy Flo oddycha, czy porusza się w swoim pokoju o porysowanych ścianach. Nic nie słyszała. A jeśli Flo umarła? Przypuśćmy, że umarła właśnie w tej chwili, gdy pojawiła się radosna i zadowolona we śnie Rose? Wyskoczyła z łóżka i pobiegła boso do pokoju Flo. Był pusty. Przeszła do kuchni i zastała Flo siedzącą przy stole w wyjściowym ubraniu — granatowym letnim płaszczu i pasującym do niego turbanie.

Miała je na ślubie Briana i Phoebe. Płaszcz był wymięty i wymagał czyszczenia, turban się przekrzywił.

– Teraz jestem gotowa, by jechać – oznajmiła Flo.

– Dokąd?

– Tam – odparła Flo, kręcąc głową. – Do tego, jak-tam-zwiesz. Przytulku.

– Domu opieki – poprawiła ją Rose. – Nie musisz jechać dzisiaj.

– Skoro cię wynajęli, żebyś mnie stąd zabrała, to rusz się i zabierz mnie – warknęła Flo.

– Nikt mnie nie wynajął. To ja, Rose. Zaparzę ci herbaty.

– Rób, co chcesz. Nie będę piła.

Przywiodła Rose na myśl rodzącą kobietę. Tak była skoncentrowana, zdeterminowana, niecierpliwa. Rose pomyślała, że Flo czuje, iż śmierć porusza się w niej jak dziecko, gotowe, by ją rozedrzeć. Nie spierała się więc, ubrała się, szybko spakowała torbę dla Flo, wsadziła macochę do samochodu i odwiozła do domu starców. Myliła się jednak co do tego, że Flo czuje zbliżającą się śmierć.

Jakiś czas temu Rose grała w sztuce *Trojanki*, nadawanej przez ogólnokrajową telewizję. Nie знаła roli, prawdę mówiąc, wyświadczyła po prostu przysługę przyjaciółce, która dostała lepszą propozycję gdzie indziej. Reżyser postanowił ożywić całą tę żałobę, to oplakiwanie, żądając, by Trojanki miały odsłonięte piersi. Takie królewskie postacie, jak Hekuba i Helena, odsłaniały prawą; pozostałe, zwykłe dziewice lub żony, do których zaliczała się Rose – lewą. Rose nieszcze-

gólnie cieszyła ta perspektywa – czas mijał, jej piersi nie były już jędrne – ale powoli pogodziła się z tą myślą. Nie spodziewała się, że wzbudzą sensację. Nie przypuszczała, by wiele osób oglądało tę sztukę. Zapomniała o tych częściach kraju, gdzie ludzie nie mogą skorzystać z prawa wyboru, by oglądać teleturnieje, policyjne pościgi samochodowe, amerykańskie komedie sytuacyjne, i są zmuszeni znosić rozmowy na temat spraw publicznych, wizyty w galeriach sztuki i ambitne pozycje teatralne. Nie przyszło jej do głowy, że coś może ich tak zaskoczyć w dzisiejszych czasach, gdy wszystkie półki z magazynami w każdym miasteczku pokazują goliznę. Jak mogła wywołać takie oburzenie grupa Trojanek o smutnych oczach, skulonych z zimna, a później spływających potem w światłach reflektorów, fatalnie ucharakteryzowanych, wyglądających raczej idiotycznie bez swoich partnerów, żałośnie i nienaturalnie?

Flo wzięła papier i pióro, zmusiła swoje spuchnięte, wykrzywione artretyzmem palce, by napisać słowo „wstyd”. Napisała też, że gdyby ojciec Rose żył, wolałby umrzeć. Bez wątpienia tak było. Rose przeczytała głośno ów list, a przynajmniej jego część, znajomym, z którymi była na kolacji. Przeczytała go dla efektu komicznego i dramatycznego, by pokazać przeszłość, jaką zostawiła za sobą, chociaż po zastanowieniu zdała sobie sprawę, że przepaść dzieląca te dwa etapy jej życia nie jest niczym szczególnym. Jej znajomi, którzy wydawali się jej zazwyczaj pracowitymi, pełnymi energii i nadziei ludźmi, również zapewne mogli twierdzić, że zostali odrzuceni lub modlono się za nich w jakimś rozczarowanym domu.

W połowie musiała przerwać. Nie chodziło o to, że miała wyrzuty sumienia, wyśmiewając się w ten sposób z Flo. Robiła to często przedtem. Dobrze wiedziała, że jest to podłe. Tym, co ją powstrzymało, była w istocie właśnie ta przepaść. Zdała sobie z niej sprawę z całą wyrazistością i nie było w tym nic śmiesznego. Wyrzuty Flo miały tyleż sensu co protest przeciwko noszeniu parasoli, ostrzeżenie, by nie jeść rodzynek. Były jednak boleśnie szczerze; były wszystkim, co trudne życie miało jej do zaoferowania. Wstyd z powodu nagiej piersi.

Innym razem Rose, oraz kilku innym osobom, wręczano nagrody. Przyjęcie wydano w hotelu w Toronto. Flo otrzymała zaproszenie, ale Rose nigdy przez myśl by nie przeszło, że macocha przyjedzie. Gdy organizatorzy spytali o krewnych, pomyślała, że powinna podać czyjeś nazwisko, a nie bardzo miała ochotę wymieniać Briana i Phoebe. Oczywiście, było całkiem niewykluczone, że w głębi serca, potajemnie, pragnęła, żeby Flo przyjechała; chciała ją pokazać, onieśmielić, wreszcie wyjść z jej cienia. Byłoby to całkiem naturalne.

Flo przyjechała pociągiem, bez zapowiedzi. Dotarła do hotelu. Cierpiała już na artretyzm, ale poruszała się jeszcze bez laski. Zawsze ubierała się przyzwoicie, statecznie, tanio, tym razem jednak najwyraźniej wydała trochę pieniędzy i skorzystała z czyjejś rady. Wystroiła się w spodnium w fioletową kratkę i koraliki przypominające sznury biało-żółtej kukurydzy. Włosy miała schowane pod gęstą szaroniebieską peruką, naciągniętą nisko na czoło niczym wełniana czapka. Z dekoltu w serek i przykrótkich rękawów sterczały szyja

i ręce, ciemne i pokryte brodawkami, jak korą. Gdy zobaczyła Rose, znieruchomiła. Zdawała się czekać – nie tylko na to, by Rose do niej podeszła, lecz również na wykrystalizowanie się własnych uczuć co do rozgrywającej się przed nią sceny.

Wkrótce się to stało.

– Spójrzcie no na tego czarnucha! – powiedziała głośno, zanim Rose zdążyła się do niej zbliżyć. W jej głosie brzmiało proste, pełne satysfakcji zdumienie, jak gdyby spoglądała w głąb Wielkiego Kanionu lub zobaczyła pomarańcze rosnące na drzewie.

Miała na myśli George'a, który także odbierał jedną z nagród. Odwrócił się, jak gdyby chciał się przekonać, czy ktoś podsuwa mu zabawną kwestię. A Flo rzeczywiście wyglądała jak postać z komedii, tyle że jej zdumienie, jej autentyzm były dość odstrasające. Czy zauważyła, jakie spowodowała zamieszanie? Możliwe. Po tym jednym wybuchu zamknęła się w sobie, nie mówiła prawie nic, odpowiadając niechętnie monosylabami, nie tknęła żadnego jedzenia ani picia, które jej proponowano, nie usiadła, stała zdziwiona i nieporuszona pośrodku tego zgromadzenia brodatych i ozdobionych koralikami, bezpłciowych i bezwstydnie nieangłosaskich osób, dopóki nie przyszła pora odwiezienia jej na pociąg.

Rose znalazła tę perukę pod łóżkiem podczas koszmarnego sprzątanía, które nastąpiło po przeprowadzce Flo do domu opieki. Zawiozła ją tam do niej wraz z kilkoma ubraniami,

które wyprała sama lub oddała do pralni chemicznej, pończochami, talkiem, wodą kolońską, którą dla niej kupiła. Czasami Flo brała Rose za lekarkę i mówiła:

– Nie chcę lekarza kobiety, zmiataj stąd.

Gdy jednak zobaczyła ją z peruką w ręku, zawołała:

– Rose, czy to, co trzymasz w dłoni, to martwa szara wiewiórka?

– Nie – odparła Rose. – To peruka.

– Co takiego?

– Peruka – powtórzyła Rose, a Flo wybuchnęła śmiechem. Rose również się roześmiała. Rzeczywiście peruka, mimo że ją wyprała i uczesała, wyglądała jak martwy kot lub wiewiórka; bardzo niepokojąco.

– Mój Boże, Rose, pomyślałam sobie, po co ona przynosi mi martwą wiewiórkę! Gdybym ją włożyła, na pewno ktoś by do mnie strzelił.

Rose sama ją włożyła, dalej odgrywając komedię, a Flo śmiała się do rozpuku, kiwając się w przód i w tył na łóżku.

Gdy wreszcie złapała oddech, spytała:

– Co ja tu robię w tym łóżku z podniesionymi bokami? Jesteście grzeczni z Brianem? Nie kłóćcie się, to działa ojcu na nerwy. Wiesz, ile kamieni żółciowych ze mnie wyjęli? Piętnaście! Jeden wielki jak kurze jajo. Mam je tu gdzieś. Zabiorę je do domu. – Odkryła się, zaglądając pod pościel. – Były w butelce.

– Już je znalazłam – uspokoiła ją Rose. – Wzięłam je do domu.

– Naprawdę? Pokazałaś ojcu?

– Tak.

– Ach, to dobrze, więc tam są teraz – powiedziała Flo, kładąc się i zamykając oczy.

Za kogo ty się uważasz?

O niektórych sprawach Rose i jej brat Brian mogli rozmawiać bezpiecznie, nie osiadając na mieliźnie zasad lub trwania przy własnych opiniach; jednym z takich tematów był Milton Homer. Oboje pamiętali, że gdy mieli odrę i na drzwiach naklejono zawiadomienie o kwarantannie – było to dawno temu, zanim jeszcze umarł ojciec i Brian poszedł do szkoły – ulicą zbliżył się Milton Homer i przeczytał je. Usłyszeli, że idzie przez most, jak zwykle głośno biadoląc. Jego spacer przez miasto nigdy nie był cichy, chyba że miał usta pełne cukierków; w przeciwnym razie wrzeszczał na psy, wyzywał się na drzewach i słupach telefonicznych, wylewając stare żale.

– To nie ja, to nie ja, to nie ja! – krzyczał, waląc w balustradę mostu.

Rose i Brian odsunęli narzutę, którą Flo zasłoniła okno, żeby nie wpuszczać światła, w przeciwnym razie mogliby jej zdaniem oślepnąć.

– Milton Homer – rzekł Brian z zachwytem.

W tym momencie Milton Homer zauważył zawiadomienie na drzwiach. Skręcił, wszedł po stopniach i przeczytał. Umiał

czytać. Chodził po głównej ulicy i czytał na głos wszystkie szyldy.

Rose i Brian pamiętali ten dzień i zgadzali się, że to były boczne drzwi, tam, gdzie później Flo wybudowała oszkloną werandę; wcześniej był tylko przechylony drewniany podest, na którym – to również oboje pamiętali – stał Milton Homer. Skoro zawiadomienie o kwarantannie znajdowało się tam, a nie na frontowych drzwiach, prowadzących do sklepu Flo, to sklep musiał być otwarty; wydawało się to dziwne i jedynym wytłumaczeniem mógł być fakt, że Flo jakoś sterroryzowała inspektora sanitarnego. Rose nie zachowała w pamięci tego faktu, pamiętała jedynie Milтона Homera stojącego z przekrzywioną wielką głową i jego wzniesioną do pukania pięść.

– Odra, tak? – spytał Milton Homer. W końcu nie zapukał; przysunął głowę blisko drzwi i zawołał: – Nie przestraszycie mnie! – Potem zawrócił, ale nie opuścił podwórka. Podeszedł do huśtawki, usiadł i chwyciwszy za sznury, zaczął się huśtać, najpierw markotnie, a potem z coraz większym zapamiętaniem.

– Milton Homer jest na huśtawce, Milton Homer jest na huśtawce! – krzyknęła Rose, biegnąc od okna do schodów.

Flo zostawiła to, co w tej chwili robiła, i podeszła do bocznego okna.

– Nie zepsuje jej przecież – powiedziała ku ich zdziwieniu. Rose myślała, że przegoni go miotłą. Potem przyszło jej do głowy, że być może się bała, ale odrzuciła to przypuszczenie

jako mało prawdopodobne. Chodziło raczej o szczególny status Miliona Homera.

– Nie mogę usiąść na huśtawce po tym, jak Milton Homer na niej siedział!

– Wracaj natychmiast do łóżka!

Rose niechętnie wróciła do ciemnego, cuchnącego pokoju i zaczęła opowiadać Brianowi historię, której jej zdaniem nie miał ochoty słuchać.

– Kiedy byłeś niemowlęciem, pewnego razu Milton Homer przyszedł i wziął cię na ręce.

– Wcale nie.

– Właśnie, że tak, trzymał cię na rękach i spytał, jak masz na imię. Dobrze pamiętam.

Teraz Brian podszedł do schodów.

– Czy Milton Homer wziął mnie kiedyś na ręce i spytał, jak mam na imię? Naprawdę? Kiedy byłem niemowlęciem?

– Powiedz Rose, że to samo zrobił z nią.

Rose zdawała sobie sprawę, że może to być prawda, chociaż nie zamierzała się do tego przyznać. Nie potrafiła też stwierdzić z całą pewnością, że była świadkiem, jak Milton Homer trzymał na rękach Briana, czy też tylko o tym słyszała. Ilekroć w tej niedawnej przeszłości, gdy kobiety rodziły w domu, przychodziło na świat jakieś dziecko, niezwłocznie zjawiał się Milton Homer, pytał, czy może zobaczyć maleństwo, pytał o imię, po czym wygłaszał mowę. Jej sens był taki, że ma nadzieję, iż jeśli dziecko przeżyje, będzie wiodło chrześcijański żywot, a jeśli umrze, pójdzie prosto do nieba. Myśl identyczna

jak przy chrzcie, ale Milton nie odwoływał się do Ojca i Syna ani nie używał wody. Działał na własny rachunek. Zaczynał się wtedy jąkać, czego zwykle nie robił, niewykluczone też, że jąkał się celowo, żeby nadać swoim słowom większą wagę. Otwierał szeroko usta i kołysał się w przód i w tył, rozpoczynając każdą frazę niskim stęknieniem.

– I jeśli dziecko... jeśli dziecko... jeśli dziecko... przeżyje...

Rose odgrywała tę scenę po latach w salonie swojego brata, naśladując wiernie Milтона, jego ruchy, wymowę, każde „jeśli” przypominało mały wybuch, poprzedzający silniejszy wybuch: „przeżyje”.

– Będzie wiodło... uczciwe życie... i nie będzie... nie będzie... nie będzie... grzeszyło. Będzie wiodło uczciwe życie... uczciwe życie... i nie będzie grzeszyło. Nie będzie grzeszyło!

– A jeśli dziecko... jeśli dziecko... jeśli dziecko... umrze...

– Dostyć już, Rose. Przestań – powiedział Brian, śmiejąc się. Przyzwyczał się do przedstawień Rose, kiedy jeszcze mieszkali w Hanratty.

– Jak możesz to pamiętać? – spytała Phoebe, mając nadzieję, że zdoła powstrzymać Rose, zanim cierpliwość Briana się wyczerpie. – Widziałaś, jak to robi? Tak często?

– Ach, nie – odparła z pewnym zaskoczeniem Rose. – Nie widziałam. To Ralph Gillespie parodiował Milтона Homera. Chodził ze mną do szkoły. Ralph.

Inną funkcją publiczną Milтона Homera, jak pamiętali Rose i Brian, był udział w najrozmaitszych paradach: orężystów każdego dwunastego lipca, kadetów, weteranów Lions Club,

Świętego Mikołaja, obchodzono też Dzień Imperium, Dzień Kościoła Legionu. Jedną z najbardziej obraźliwych rzeczy, jakie można było powiedzieć o kimkolwiek w Hanratty, to to, że lubi brać udział w paradach, ale niemal każdemu w miasteczku – we właściwym miasteczku, nie w West Hanratty, to się rozumie samo przez się – zdarzyło się maszerować w jakimś zorganizowanym i uznanym pochodzie. Ważne było tylko, by nie wyglądać na zadowolonego, sprawiać wrażenie, że cię wyrwano z twojego ulubionego zacisza, byś z ponurą miną spełnił obowiązek, udając zaangażowanie w celebrowaną ideę.

Najwspanialszą ze wszystkich parad był marsz oranżystów. Król Billy jechał na czele na nieskazitelnie białym koniu, a Czarni Rycerze na karych koniach – zwykle chudzi, ubodzy, dumni i fanatyczni starzy farmerzy – w cylindrach i frakach, przechodzących z ojca na syna, zamykali pochód. Chorągwie były z przepysznego jedwabiu, haftowane, w błękitnych, złotych, pomarańczowych i białych kolorach, sceny triumfu protestantów, lilie i otwarte biblie, motta bogobojności i honoru, płomienna bigoteria. Kobiety miały parasolki przeciwsłoneczne, żony i córki oranżystów były ubrane na biało, co symbolizowało czystość. Potem szły orkiestry, piszczałki i bębny, na ruchomej scenie, zaimprovizowanej na odczyszczonej furmance do zwożenia siana, występowali utalentowani stepujący tancerze.

No i oczywiście był tam Milton Homer. Na paradzie pokazywał się w najrozmaitszych miejscach, zmieniając je od czasu do czasu, krocząc to za królem Billym, to za Czarnymi

Rycerzami lub za stepującymi tancerzami czy za przepasanymi pomarańczowymi szarfami dziećmi, które niosły chorągwie. Gdy szedł za Czarnymi Rycerzami, robił srogą minę i trzymał głowę w taki sposób, jakby miał na niej cylinder; idąc za kobietami, kołysał biodrami i niósł wymyśloną parasolkę. Był niezwykle zdolnym naśladowcą o niespożytej energii. Potrafił dołączyć do ładnego opisu stepujących tancerzy, zmieniając go w idiotyczne podrygi, lecz wciąż utrzymując się w rytmie.

Marsz oranżystów był dla Milтона najlepszą okazją ze wszystkich parad, ale Homer rzucał się w oczy w każdej z nich. Maszerował za dowódcą weteranów z wysoko podniesioną głową, wymachując rękami. W Dniu Imperium zaopatrywał się w czerwoną banderę i flagę Stanów Zjednoczonych; trzymał je nad głową i kręcił nimi jak wiatraczkami. W parady Świątego Mikołaja podkradał cukierki przeznaczone dla dzieci; i nie robił tego dla żartu.

Można by pomyśleć, że władze Hanratty powinny były położyć temu kres. Wkład Milтона Homera w każdą paradę był wyłącznie negatywny; miał na celu zakłócenie jej i zrobienie z niej pośmiewiska. Dlaczego organizatorzy i uczestnicy parad nie robili nic, by mu to uniemożliwić? Pewnie doszli do wniosku, że łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Milton mieszkał z dwiema ciotkami, starymi pannami, jego rodzice nie żyli, nikt nie miał ochoty prosić dwóch leciwych kobiet, żeby zatrzymały go w domu. I tak wyglądało na to, że mają za dużo na głowie. Jak miały go powstrzymać, gdy usłyszał orkiestrę? Musiałyby zamknąć go na klucz, związać. Nikt też nie chciał

wyciągać go z parady, gdy już się rozpoczęła. Jego protesty zepsułyby wszystko. A protestowałby bez wątpienia. Miał mocny niski głos i był silnym mężczyzną, choć niewysokim, mniej więcej wzrostu Napoleona. Kiedy ludzie próbowali wypędzić go ze swoich podwórek, kopał furtki i płoty. Pewnego razu cisnął o chodnik dziecięcym wózkiem, tylko dlatego, że ten znalazł się na jego drodze. W tych okolicznościach pozwolenie na udział w paradach niewątpliwie wydawało się najrozsądniejszym wyjściem.

I wcale nie był to najlepszy wybór spośród najgorszych; wszyscy przywykli do miejscowego głupka. Nawet dowódca pozwalał się przedrzeźniać, a Czarni Rycerze, ze swoimi starymi ponurymi żalami, nie zwracali na niego uwagi. Ludzie stojący na chodniku mówili tylko: „Ach, jest Milton”. Nie wyśmiewano się z niego, chociaż obcy w mieście, zaproszeni na paradę krewni mieszkańców na jego widok parskali śmiechem, myśląc, że jest to występ celowy, zaplanowany dla komicznego efektu, jak w przypadku klaunów – będących w istocie młodymi biznesmenami – którym nie udawało się zrobić gwiazdy.

– Kto to jest? – pytali.

– Milton Homer. Nie może być parady bez Miltona Homera – odpowiadano im z nonszalancją i niejasnym poczuciem dumy.

– Wiejski głupek – powiedziała Phoebe, próbując to zrozumieć ze swoją niewyczerpaną, niedocenioną uprzejmością, a oboje, Brian i Rose, powiedzieli, że nigdy nie słyszeli, by

ktoś go określił w taki sposób. Nigdy nie myśleli o Hanratty jako o wiosce. Wioska była dla nich skupiskiem malowniczych domów wokół kościoła z wieżą na kartce świątecznej. Wieśniacy byli przebranymi w kostiumy członkami chóru w szkolnej operetce. Jeśli miejscowi mieli opisać Milтона Homera komuś z zewnątrz, mówili, że „nie ma wszystkich klepek na swoim miejscu”. Rose zastanawiała się nawet wtedy, czego mu brakowało? I zastanawiała się nadal. Rozumu, byłoby najprostszą odpowiedzią. Milton Homer z pewnością miał niski iloraz inteligencji. Ale wiele osób miało niski iloraz inteligencji, zarówno w Hanratty, jak i poza nim, i nie różniły się tak od innych jak on. Potrafił swobodnie czytać, co udowodnił w przypadku zawiadomienia o kwarantannie; potrafił policzyć wydaną resztę, krążyło wiele historii o tym, jak nie dał się oszukać. Teraz Rose uważała, że brakowało mu chyba ostrożności. Hamulców społecznych, tak to się obecnie nazywa, ale w tamtych czasach ta nazwa nie była znana. Zwykli ludzie nie mają ich, kiedy są pijani, a Milton nie miał ich nigdy, a może taki był jego wybór – i to właśnie interesowało Rose – na pewnym wczesnym etapie życia. Nawet jego wyrażenia, jego codzienny wygląd przypominały zachowanie pijaków w krańcowych sytuacjach – wybałuszał oczy, rzucał pożądlive spojrzenia, zwieszał głowę, co z jednej strony wydawało się obliczone na efekt, a z drugiej bezradne, bezwiedne; czy to w ogóle możliwe?

Dwie kobiety, z którymi mieszkał Milton Homer, były siostrami jego matki; nazywały się Hattie i Mattie Milton i zwykle zwracano się do nich: panno Hattie i panno Mattie,

być może dlatego, by uniknąć głupich skojarzeń z jego imieniem. Milton odziedziczył imię po rodzinie matki. Była to powszechna praktyka i prawdopodobnie nikomu nie przyszło na myśl połączenie nazwisk dwóch wielkich poetów. Nigdy nie wspomniano o tej zbieżności i być może jej nie zauważono. Rose także jej nie zauważyła, dopóki pewnego dnia w szkole średniej chłopiec, który siedział za nią, nie popukał jej po ramieniu i nie pokazał, co napisał w podręczniku do angielskiego. Przekreślił słowo *Chapman's* w tytule sonetu Keatsa i wpisał atramentem słowo *Milton*, tak że tytuł brzmiał teraz: *On First Looking into Milton Homer*.

Każda wzmianka o Miltonie Homerze była żartem, ten zmieniony tytuł był nim również, ponieważ odnosił się, raczej aluzyjnie, do bardziej skandalicznego zachowania Milтона Homera. Podobno gdy stawał za kimś w kolejce na pocztę lub w kinie, rozchyłał poły płaszcza i prezentował się w całej okazałości, po czym przysuwał się blisko i zaczynał się ocierać. Oczywiście, nie udawało mu się sfinalizować swoich zamierzeń; obiekt jego namiętności wymykał się. Chłopcy namawiali się, by go sprowokować do zajęcia pozycji, i stali przed nim niemal do ostatniej chwili, po czym odskakiwali, demaskując jego natarczywą potrzebę.

Z powodu tej historii – czy była prawdziwa, czy też nie, zdarzyła się raz, sprowokowana, czy zdarzała się nieustannie – widząc zbliżającego się Milтона, kobiety przechodziły na drugą stronę ulicy, a dzieciom nakazano, by trzymały się od niego z daleka. Nie pozwalajcie mu się wygłupiać, mówiła Flo. Miał wolny wstęp do domów podczas tych rytualnych okazji, gdy

urodziło się dziecko – z czasem, gdy coraz więcej dzieci rodziło się w szpitalu, okazje zdarzały się coraz rzadziej – kiedy indziej jednak drzwi były dla niego zamknięte. Przychodził, pukał, kopał w nie, po czym odchodził. Pozwalano mu przebywać na podwórkach, ponieważ niczego nie zabierał i mógłby narobić większych szkód, gdyby go obrażono.

Oczywiście sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, gdy pojawiał się z którąś z ciotek. Wtedy miał zawstydzoną minę i zachowywał się grzecznie; całą swoją siłę i żądze skrzętnie ukrywał. Jadł z papierowej torebki cukierki, które kupiła mu ciotka. Częstował nimi, gdy mu kazano, ale nikt poza najbardziej łakomą osobą na świecie nie tknąłby tego, czego dotyczyły palce Milтона Homera lub co zostało splamione jego śliną. Ciotki pilnowały, by miał ostrzyżone włosy; starały się, jak mogły, by wyglądał przyzwoicie. Prały, prasowały, cerowały jego ubrania, wypuszczały go na dwór w płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach albo w czapce, zrobionej na drutach, i ciepłym szaliku, zależnie od pogody. Czy wiedziały, jak się zachowuje, gdy znika im z oczu? Musiały słyszeć, a jeśli tak, to bez wątplenia cierpiały, ponieważ były dumnymi kobietami o właściwej metodystkom moralności. To ich dziadek założył przędzalnię lnu w Hanratty i zmusił wszystkich swoich pracowników, by uczestniczyli w sobotnie wieczory w zajęciach z Biblii, które sam prowadził. Homerowie również byli przyzwoitymi ludźmi. Niektórzy z nich byli za tym, by umieścić Milтона w szpitalu dla umysłowo chorych, ale ciotki nie zrobiłyby tego. Nikt nie wierzył, że nie zgadzają się na to z dobroci serca.

– Nie oddadzą go do zakładu dla obłąkanych, bo są na to zbyt dumne.

Panna Hattie Milton uczyła w szkole średniej. Uczyła tam dłużej niż wszyscy inni nauczyciele razem wzięci i była ważniejsza od dyrektora. Jej przedmiotem był angielski – zmiana tytułu sonetu była tym śmielsza i bardziej satysfakcjonująca, że zdarzyła się pod jej nosem. Znana była z tego, że potrafiła utrzymać porządek. Robiła to bez widocznego wysiłku, wystarczyła sama jej niewinna obecność, obfite piersi, groźne okulary, silna osobowość i niedostrzeganie żadnej różnicy między nastolatkami (nie używała tego słowa) a uczniami czwartej klasy. Kładła duży nacisk na pamięciowe opanowanie tekstu. Pewnego dnia napisała na tablicy długi wiersz, kazała wszystkim go przepisać, nauczyć się na pamięć i nazajutrz go wyrecytować. Rose była wtedy w trzeciej lub czwartej klasie szkoły średniej i uważała, że nie wszystkie polecenia należy traktować dosłownie. Uczyła się poezji z łatwością, wydawało się jej więc rozsądne, by opuścić pierwszy krok. Przeczytała wiersz, ucząc się linijka po linijce, następnie powtórzyła go kilka razy w pamięci. Kiedy to robiła, panna Hattie spytała ją, dlaczego nie spisuje z tablicy.

Rose odrzekła, że już umie cały wiersz, mimo że nie była tego tak całkiem pewna.

– Doprawdy? – spytała panna Hattie. – Wstań i odwróć się tyłem do tablicy.

Rose posłusznie wykonała polecenie, trzęsąc się ze strachu z powodu swojej przechwałki.

– A teraz wyrecytuj wiersz.

Pewność Rose jej nie zawiodła. Wyrecytowała wiersz bez zająknięcia. Czego teraz się spodziewała? Zdumienia, komplementów, niecodziennego szacunku?

– No cóż, być może znasz ten wiersz – przyznała panna Hattie – ale to nie powód, byś nie wykonywała moich poleceń. Usiądź i zapisz go w zeszycie. Każdą linijkę trzy razy. Jeśli nie zdążysz, możesz zostać po czwartej.

Rose musiała oczywiście zostać po czwartej, wściekała się i przepisywała wiersz, a tymczasem panna Hattie szydełkowała. Gdy Rose położyła zeszyt na jej biurku, rzekła dość łagodnie, lecz stanowczo:

– Niech ci się nie wydaje, że jesteś lepsza od innych tylko dlatego, że potrafisz nauczyć się wiersza. Za kogo ty się uważasz?

Nie po raz pierwszy w życiu zadano jej to pytanie. Prawdę mówiąc, wracało do niej jak monotony dźwięk gongu i nie zwracała już na nie uwagi. Ale później zdała sobie sprawę, że panna Hattie nie była sadystyczną nauczycielką; powstrzymała się od powiedzenia przed całą klasą tego, co powiedziała, gdy zostały same. I nie była mściwa; nie odegrała się za to, że nie uwierzyła Rose i okazało się, iż nie miała racji. To, czego próbowała ją nauczyć, było dla niej znacznie ważniejsze od jakiegokolwiek wiersza, i szczerze wierzyła, że Rose naprawdę tej nauki potrzebuje. I chyba wiele innych osób myślało podobnie.

Pod koniec ostatniego roku nauki cała klasa została zaproszona do domu panien Milton na pokaz przezroczy. Przezrocza

przedstawiły Chiny, gdzie panna Mattie, domatorka, była w młodości misjonarką. Panna Mattie była bardzo nieśmiała, trzymała się z tyłu, przesuwając kolejno przezrocza, a panna Hattie komentowała. Przezrocza, jak się można było spodziewać, ukazywały żółty kraj. Żółte wzgórza i niebo; żółci ludzie, riksze, parasole, wszystko wyschnięte i przypominające papier, kruche, przedziwne, z czarnymi zygzakami tam, gdzie farba popękała, na świątyniach, drogach, twarzach. Właśnie w tym czasie, gdy Rose po raz pierwszy i ostatni siedziała w salonie panien Milton, w Chinach u władzy był Mao i trwała wojna koreańska, ale panna Hattie nie liczyła się z historią ani z tym, że jej słuchacze mają po osiemnaście, dziewiętnaście lat.

– Chińczycy są barbarzyńcami – powiedziała. – Dlatego mają żebraków.

Na zdjęciu był żebrak, klęczący na ulicy, z ręką wyciągniętą w stronę bogatej damy w rikszy, która nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

– Jedzą rzeczy, których my byśmy nie tknęli – mówiła dalej panna Hattie, pokazując Chińczyków jedzących pałeczkami z misek. – Ale odżywiają się lepiej, gdy zostają chrześcijanami. Pierwsze pokolenie chrześcijan jest o kilka centymetrów wyższe.

Chrześcijanie pierwszego pokolenia stali w szeregu z otwartymi ustami, prawdopodobnie śpiewali. Byli ubrani na czarno i biało.

Po pokazie przezroczy wjechały tace z kanapkami, ciastkami, tartami. Wszystkie domowego wyrobu i bardzo smaczne.

Do papierowych kubków nalewano poncz z soku grejpfrutowego i gazowanego napoju imbirowego. Milton siedział w kącie w garniturze z grubego tweedu, w białej koszuli i w krawacie, poplamionym już ponczem i zasypanym okruskami.

– Pewnego dnia wybuchnie im prosto w twarz – rzekła kiedyś ponuro Flo, mając na myśli Milтона. Czy to możliwe, że właśnie z tego powodu ludzie przychodzili co roku obejrzyć przezrocza i napić się ponczu? Żeby zobaczyć Milтона z jego ruszającymi się szczękami i spęczniałym brzuchem, jak gdyby nafaszerowanym złymi intencjami, który wyglądał, jak gdyby groził wybuchem? Milton nie robił nic poza opychaniem się w niewiarygodnym tempie. Wydawało się, że pochłania wszystkie słodczyce, daktylowe ciasteczka, batoniki i dropsy owocowe, maślane tarty i czekoladowe ciastka z orzechami, tak jak wąż połyka żaby. Milton był w podobny sposób rozdęty.

Władza metodystów w Hanratty powoli przemijała. Dni, kiedy zajęcia z Biblii były obowiązkowe, należały już tylko do wspomnień. Może panny Milton o tym nie wiedziały. A może wiedziały, tylko robiły dobrą minę do złej gry. Zachowywały się tak, jak gdyby wymogi pobożności się nie zmieniły, podobnie jak jej związek z dobrobytem. Ich ceglany dom, zapchany miękkimi, wygodnymi meblami, płaszcze z kołnierzami z ciepłego, nieefektownego futra zdawały się deklamować, że jest to dom metodystek, strój metodystek, celowo nieelegancki, ciężki, praktyczny. Wszystko miało świadczyć o tym, że przykładają się do ziemskiej pracy na chwałę Pana, a Pan nie sprawia im zawodu. Na chwałę Pana nawoskowa-

na podłoga w holu lśniła jak lustro po obu stronach chodnika, w księdze rachunkowej linijki były narysowane piórem idealnie prosto, begonie kwitły, pieniądze wpływały do banku.

Ale popełniały również błędy. Błędem panien Milton było wysłanie do kanadyjskich mediów radiowo-telewizyjnych petycji żądających zdjęcia z anteny programów, które kolidowały z niedzielnymi wieczornymi nabożeństwami: Edgara Bergena i 'Charliego McCarthy'ego; Jacka Benny'ego; Freda Allena. Zmusiły pastora, by poinformował wiernych o petycji w kościele – był to Zjednoczony Kościół, gdzie metodystów było mniej niż prezbiterian i kongregacjonalistów, i tej sceny Rose nie widziała na własne oczy, lecz znała ją z opowieści Flo – a po nabożeństwie panna Hattie i panna Mattie czekały po obu stronach drzwi na wychodzących, próbując skłonić ich do podpisania petycji i skierować w stronę małego stolika w kruchcie, na którym była wyłożona. Przy stoliku siedział Milton Homer. Musiał tam być; nigdy nie zwalniały go z chodzenia w niedzielę do kościoła. Zleciły mu pracę, żeby się czymś zajął; miał pilnować wiecznych piór, sprawdzać, czy są napelnione, i podawać je tym, którzy zechcieli podpisać petycję.

I to był pierwszy błąd. Milton wpadł na pomysł, żeby namalować sobie wąsy, i zrealizował to bez pomocy lusterka. Wąsy były zakręcone i zachodziły na jego tłuste, smętne policzki, w kierunku przekrwionych, posępnych oczu. Pióro, które trzymał w ustach, poplamilo mu również wargi. Krótko mówiąc, przedstawiał tak komiczny widok, że petycja, której tak naprawdę nikt nie miał ochoty podpisać, także mogła

być potraktowana jako komedia, a władza sióstr Milton, metodystek od przędzalni, była już tylko wspomnieniem. Ludzie przechodzili obok z uśmiechem; nic nie dało się zrobić. Oczywiście panny Milton nie zbeształy Milтона ani nie zrobiły publicznego przedstawienia, po prostu zabrały go do domu razem z petycją.

– Taki był koniec ich przekonania, że mogą się szarogęścić – powiedziała Flo. Jak zwykle trudno było wyczuć, co najbardziej ją ucieszyło: porażka religii czy roszczeń?

Chłopcem, który pokazał Rose sonet na zajęciach z angielskiego u panny Hattie, był Ralph Gillespie, ten sam, który specjalizował się w parodiowaniu Milтона Homera. Jak pamiętała Rose, zaczęło się to później, nie wtedy, gdy pokazał jej zmieniony tytuł, lecz pod koniec szkoły. Na większości lekcji siedział przed Rose albo za nią, ponieważ alfabetycznie ich nazwiska znajdowały się blisko siebie. Poza tą alfabetyczną bliskością łączyło ich coś jeszcze – jakby rodzinne podobieństwo, nie fizyczne, lecz w zwyczajach i skłonnościach. Zamiast jednak wprowadzić ich w zakłopotanie, co prawdopodobnie zdarzyłoby się, gdyby naprawdę byli bratem i siostrą, zbliżało ich to, stwarzając przydatną konspirację. Oboje zagubieni, niepewni, nigdy nie byli dostatecznie wyposażeni w ołówki, linijki, gumki, stalówki, papier w linie, papier milimetrowy, kompas, cyrkiel, kątomierz, które były niezbędne w szkolnym życiu; oboje niezdarnie obchodzili się z atramentem, często robiąc kleksy i rozlewając go; obojgu nie chciało się odrabiać zadań domowych i oboje panikowali, że

ich nie odrobili. Pomagali więc sobie w miarę swoich skromnych możliwości, dzieląc się wszystkim, wyprasząc, co się dało, u bardziej zapobiegliwych sąsiadów, szukając, od kogo można by ściągnąć pracę domową. Rozwinęło się między nimi koleżeństwo takie jak wśród jeńców lub żołnierzy, którzy nie mają serca do walki, pragną wyłącznie przeżyć i uniknąć akcji.

To nie wszystko. Ich letnie i zimowe buty dobrze się poznały, ocierając się i popychając w przyjacielskim i poufnym zetknięciu, czasami oparte o siebie przez moment w nieśmiałej zachęcie; ta wzajemna życzliwość pomagała im zwłaszcza przetrwać te sytuacje, gdy uczniów wywoływano do rozwiązywania zadań matematycznych na tablicy.

Kiedyś Ralph przyszedł w południe, miał pełno śniegu we włosach. Pochylił się, strzepnął śnieg na pulpit Rose i zapytał:

- Wpadasz w depresję z powodu łupieżu?
- Nie, po prostu mogłabym go jeść łyżkami.

Była to dla Rose chwila pewnej poufałości, z jej fizyczną szczerością, zapamiętanym z dzieciństwa żartem. Innego dnia, kiedy weszła do klasy przed dzwonkiem, Ralph, otoczony wianuszkami gapiów, parodiował Milтона Homera. Była zaskoczona i zmartwiona; zaskoczona, ponieważ jego nieśmiałość w klasie dorównywała jej nieśmiałości i była jedną z rzeczy, która ich łączyła; zmartwiona, że może mu się nie udać, nie rozśmieszy ich. Ale on był świetny; jego duża, błada, dobroduszna twarz wyglądała prawie jak bryłowata zdesperowana twarz Milтона; oczy omal nie wyskakiwały mu z orbit, szczęki się trzęsły, słowa wypowiadał ochryplym głosem, ze śpiewną

intonacją. Naśladował Homera tak doskonale, że Rose była zachwycona, podobnie jak cała reszta. Od tamtego czasu Ralph zaczął się bawić w parodystę; przedrzeźniał różne osoby, ale Milton Homer był jego znakiem firmowym. Rose nigdy nie przeboleła koleżeńskiego zrozumienia, jakie ich łączyło. Ale odczuwała też coś innego, nie zawiść, tylko rodzaj drżącego pragnienia. Pragnęła robić to samo. Nie, nie chciała parodiować Milтона Homera. Nie jego. Pragnęła spełnić się w ten magiczny, wyswobadzający sposób, odmienić się; pragnęła odwagi i władzy.

Wkrótce potem Ralph Gillespie rzucił szkołę i zaczął publicznie szlifować swój talent. Rose brakowało dotyku jego stopy, jego oddechu, klepania po ramieniu. Spotykała go czasami na ulicy, ale wydawał się jej zupełnie kimś innym. Nigdy się nie zatrzymali, by porozmawiać, mówili sobie tylko: „Cześć” i śpiesznie odchodzili każde w swoją stronę. Przez tyle lat byli blisko, konspirowali, utrzymywali złudną zażyłość, ale nigdy nie rozmawiali poza szkołą, nigdy nie przekroczyli granicy oficjalnej znajomości i najwyraźniej nie potrafili zrobić tego teraz. Rose nigdy go nie zapytała, dlaczego rzucił szkołę; nie miała pojęcia, czy znalazł pracę. Znali swoje szyje i ramiona, ale nie umieli stanąć twarzą w twarz jako pełne osobowości.

Po pewnym czasie Rose w ogóle przestała go widywać. Słyszała, że wstąpił do marynarki wojennej. Musiał po prostu czekać, aż osiągnie odpowiedni wiek. Wstąpił do marynarki i wyjechał do Halifaksu. Wojna się skończyła, nastał czas działań wojska w warunkach pokoju. Mimo wszystko dziwna

była myśl o Ralphie Gillespiem w mundurze, na pokładzie niszczyciela, być może strzelającego z działa. Rose zaczynała właśnie rozumieć, że chłopcy, których zna, jakkolwiek mogą się wydawać nieporadni, zmieniają się w mężczyzn; będzie im wolno robić rzeczy, które jej zdaniem wymagają znacznie więcej talentu i władzy, niż mogliby mieć.

Był taki czas, kiedy Flo zrezygnowała z prowadzenia sklepu, zanim jeszcze unieruchomił ją artretyzm, chodziła grać w bingo i czasami grywała w karty z sąsiadami w domu dla weteranów. Gdy Rose przyjeżdżała z wizytą do domu, rozmowa była trudna, pytała więc, kogo Flo tam spotyka. Pytała też o to, co słyhać u jej, Rose, rówieśników, Horse'a Nicholsona, Runta Chestertona, których nie potrafiła sobie wyobrazić jako dorosłych mężczyzn; czy Flo czasem ich widuje?

– Widuję jednego, nawet bardzo często. Ralpha Gillespiego.

Rose odparła, że myślała, iż Ralph Gillespie jest w marynarce.

– Był, ale wrócił do domu. Miał wypadek.

– Jaki wypadek?

– Nie wiem. Zdarzył się w wojsku. Leżał w szpitalu wojskowym przez całe trzy lata. Musieli go odbudować od zera. Teraz już czuje się dobrze, ale kuleje, powłóczy jedną nogą.

– To niedobrze.

– No tak, to samo mówię. Ja nie chowam do niego żadnej urazy, ale niektórzy w domu dla weteranów tak.

– Urazę?

– Z powodu emerytury – wyjaśniła Flo, zaskoczona, traktując raczej pogardliwie fakt, że Rose nie bierze pod uwagę smutnej rzeczywistości i tak naturalnego nastawienia w Harratty. – Cóż, uważają, że jest życiowo urządzony. Według mnie wiele wycierpiał. Niektórzy uważają, że dostaje dużo, ale ja w to nie wierzę. Niewiele potrzebuje, jest samotny. Trzeba przyznać, że jeśli cierpi, nie okazuje tego po sobie. Tak jak ja. Nie zdradzam się z tym. Płaczę w samotności. Świetnie gra w strzałki. Potrafi grać we wszystko. I świetnie naśladować innych ludzi. Do złudzenia.

– Wciąż parodiuje Milтона Homera? Zawsze robił to w szkole.

– Tak. Parodiuje go. Jest naprawdę komiczny. Innych również przedrzeźnia.

– A Milton jeszcze żyje? Bierze udział w paradach?

– Oczywiście, że żyje. Trochę się uspokoił. Jest w domu opieki, w słoneczny dzień można go spotkać przy autostradzie, jak obserwuje przejeżdżające auta, liżąc lody. Obie starsze panie nie żyją.

– To nie uczestniczy już w paradach?

– Nie ma już parad. Kompletnie podupadły. Oranżyści wymierają, zresztą i tak nie zapewniono by odpowiedniej frekwencji, ludzie wolą zostać w domu i oglądać telewizję.

Podczas późniejszych wizyt Rose odkryła, że Flo zwróciła się przeciwko weteranom.

– Nie chcę być jedną z tych starych świrów – powiedziała.

– Jakich starych świrów?

– Siedzą, opowiadają niestworzone historie i żłopiają piwo. Niedobrze mi się robi.

Było to zwykłe zachowanie Flo. Ludzie, miejsca, rozrywki przestawały ją cieszyć równie nagle, jak zaczynały. Te nieoczekiwane zwroty z wiekiem stawały się coraz bardziej radykalne i częstsze.

– Nie lubisz już nikogo z nich? Ralph Gillespie nadal tam przychodzi?

– A i owszem. Tak bardzo mu się tam podoba, że starał się o pracę w barze na pół etatu. Niektórzy mówią, że go nie przyjęto, ponieważ ma emeryturę, ale ja myślę, że to z powodu jego sposobu bycia.

– To znaczy? Upija się?

– Trudno powiedzieć, zachowuje się tak samo, parodiuje, ale przeważnie naśladuje tych, z którymi nowi mieszkańcy miasteczka nie mieli styczności, i po prostu uważają, że Ralph jest niespełna rozumu.

– Jak Milton Homer?

– Właśnie. Skąd mają wiedzieć, że naśladuje Milтона Homera i jaki w ogóle był Milton Homer? Nie mają zielonego pojęcia. A Ralph z kolei nie wie, kiedy przestać. Sam już trochę stał się Miltonem Homerem.

Gdy Rose już umieściła Flo w domu opieki – nie spotkała tam Milтона, chociaż widywała ludzi, o których myślała, że już dawno nie żyją – i zamieszkała chwilowo w domu, by go wysprzątać i przygotować do sprzedaży, sąsiedzi zabrali ją do domu weterana, przypuszczali bowiem, że musi czuć się bardzo samotna w sobotni wieczór. Nie potrafiła odmówić,

znalazła się więc przy długim stole w suterenie, gdzie mieścił się bar. Ostatnie promienie słońca oświetlały pola fasoli i kukurydzy, zwirowany parking, i wpadały przez wysokie okna, tworząc jasne plamy na obitych sklejką ścianach. Wszędzie wisiały fotografie, ręcznie wypisane nazwiska były przyklejone taśmą do ramek. Rose wstała, żeby im się przyjrzeć. Pułk sto szósty, tuż przed zaokrętowaniem, w 1915 roku. Różni bohaterowie wojenni, których nazwiska nosili synowie i bratankowie, ale którzy nie byli jej znani przedtem. Gdy wróciła do stołu, rozpoczęła się gra w karty. Zastanawiała się, czy te zdjęcia nie działają destrukcyjnie. Prawdopodobnie nikt na nie nie patrzył; po prostu tam były, podobnie jak sklejka na ścianach. Goście, outsiderzy, zawsze przyglądają się wszystkiemu, pytają, kto to jest, kiedy to było, próbując ożywić rozmowę. Za bardzo się starają i za dużo chcą uzyskać. Może to wyglądać, jak gdyby maszerowali po pokoju, domagając się uwagi.

Jakaś kobieta usiadła obok niej i przedstawiła się. Była żoną jednego z mężczyzn grających w karty.

– Widziałam panią w telewizji – powiedziała. Rose zawsze czuła się lekko skruszona, kiedy ktoś to mówił; to znaczy, musiała panować nad tym, co rozpoznawała w sobie jako idiotyczny impuls, by przeproszać. Tutaj, w Hanratty, impuls był silniejszy niż zwykle. Zdawała sobie sprawę, że robiła rzeczy, które musiały wydawać się aroganckie. Pamiętała, jak przeprowadzała wywiady w telewizji, z urzekającą pewnością siebie i wdziękiem; tutaj, jak nigdzie indziej, bez wątplenia rozumieli, że to błaga. Jej aktorstwo to całkiem inna sprawa.

To, czego się wstydziła, niekoniecznie było tym, czego według nich powinna się wstydzić; nie obwisłej nagiej piersi, lecz niepowodzenia, którego nie potrafiła wykorzystać lub wyjaśnić.

Kobieta, która z nią rozmawiała, nie była rdzenną mieszkanką Hanratty. Powiedziała, że przyjechała z Sarnii piętnaście lat temu, gdy wyszła za mąż.

– Wciąż trudno mi się przyzwyczaić. Naprawdę. Po dużym mieście. Wygląda pani dużo lepiej od postaci, którą gra pani w serialu.

– Mam nadzieję – rzekła z uśmiechem Rose i opowiedziała jej, w jaki sposób ją charakteryzują. Ludzie interesują się takimi sprawami i Rose poczuła się swobodniej, gdy rozmowa zeszła na szczegóły techniczne.

– O, jest i nasz poczciwy Ralph – zauważyła kobieta. Przesunęła się, robiąc miejsce szczupłemu siwowłosemu mężczyźnie, trzymającemu w dłoni kufel piwa. To był Ralph Gillespie. Gdyby Rose spotkała go na ulicy, nie poznałaby go, byłby dla niej kimś zupełnie obcym. Gdy jednak przyjrzała mu się chwilę dłużej, wydał jej się całkiem niezmienny, taki sam jak w wieku siedemnastu czy piętnastu lat, siwe, niegdyś jasnobrażowe włosy, nadal opadały mu na czoło, twarz miał nadal bladą i spokojną, raczej dużą w stosunku do ciała, to samo niepewne, czujne, skryte spojrzenie. Ale był szczuplejszy, trochę przygarbiony. Miał na sobie sweter z krótkimi rękawami, małym kołnierzykiem i trzema ozdobnymi guzikami, jasnoniebieski, w beżowe i żółte paski. Ten sweter zdawał się mówić Rose o starzejącym się

zawadiactwie, o rodzaju skamieniałej młodzińczości. Za-uważała, że ręce Ralph ma stare i chude, dłonie trzęsą mu się tak bardzo, że podnosząc kufel do ust, musi trzymać go oburącz.

– Nie zostanie pani tutaj na dłużej, prawda? – spytała kobieta z Sarnii.

Rose odrzekła, że jutro, w niedzielę wieczorem, wraca do Toronto.

– Ma pani bardzo bogate życie – powiedziała z głębokim westchnieniem kobieta, ze szczerą zazdrością, świadczącą chyba o tym, że nie pochodzi z miasta.

Rose pomyślała, że w poniedziałek ma się spotkać na lunchu z mężczyzną, a potem pójść z nim do łóżka. Tym mężczyzną był Tom Shepherd, którego znała od dawna. Kiedyś się w niej kochał, pisywał do niej listy miłosne. Gdy ostatnim razem spotkała się z nim w Toronto i siedzieli potem na łóżku, pijąc dzin z tonikiem – zawsze dużo pili, gdy byli razem – Rose pomyślała nagle, a raczej zdała sobie sprawę, że jest teraz jakaś kobieta, w której jest zakochany i do której się zaleca z daleka, zapewne pisze listy, i że kiedyś musiał sypiać z jakąś kobietą, kiedy pisywał listy do niej. No i przez cały czas była przecież jego żona. Rose miała ochotę spytać go o to; o pragnienie, trudności, satysfakcje. Jej zainteresowanie było przyjacielskie i bezkrytyczne, wiedziała jednak, że nie powinna tego robić.

Rozmowa w domu weterana zeszła na losy na loterię, grę w bingo, wygrane. Mężczyźni grający w karty – wśród nich sąsiad Flo – mówili o człowieku, który podobno wygrał dziesięć

tysięcy dolarów i nie przyznał się do tego, ponieważ kilka lat wcześniej zbankrutował i wielu ludziom był winien pieniądze.

Któryś z mężczyzn powiedział, że skoro ogłosił bankructwo, nikomu nie jest nic winien.

– Może wtedy nie był – zaproponował inny – ale teraz jest. Teraz przecież ma pieniądze.

Tego zdania była większość zebranych.

Rose i Ralph Gillespie popatrzyli na siebie. Była między nimi ta sama konspiracja, ciche szelmowskie porozumienie, dobre samopoczucie. To samo, to samo.

– Słyszałam, że jesteś świetnym parodystą – rzekła Rose.

To był błąd; nie powinna była nic mówić. Ralph roześmiał się i pokręcił głową.

– Och, daj spokój. Podobno niesamowicie naśladujesz Mil-
tona Homera.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jest tu wciąż?

– Chyba w domu opieki.

– Pamiętasz pannę Hattie i pannę Mattie? I pokaz przezro-
czy u nich w domu?

– Jasne.

– Moje wyobrażenie na temat Chin jest w dużym stopniu oparte na tych przezroczach.

Rose plotła tak przez dłuższy czas, choć żałowała, że nie może przestać. Paplała w stylu, który gdzie indziej byłby zapewne uznany za zabawny, swobodny, wyraźnie i bezsensownie kokietyjny. Wprawdzie Ralph Gillespie prawie się nie odzywał, ale wydawał się słuchać uważnie, nawet z przyjemnością. Przez

cały czas, gdy mówiła, zżerała ją ciekawość, co chciał jej powiedzieć. Bo chciał. Nie zrobił jednak nic, żeby jej przerwać. Jej pierwsze wrażenie chłopięcej nieśmiałości i przymilności musiało ulec zmianie. To były tylko pozory. Pod tym wszystkim był samowystarczalny, rozczarowany życiem, być może dumny. Żałowała, że nie rozmawia z nią tym językiem, i przypuszczała, że on też by tego pragnął, ale oboje coś przed tym powstrzymywało.

Ale później, gdy Rose wspominała tę niezadowolającą rozmowę, pamiętała przyptyw życzliwości, współczucia i wybaczenia, choć z pewnością żadne takie słowa nie padły. Zelżało to osobliwe poczucie wstydu, które nieustannie jej towarzyszyło. To, czego się wstydziła w aktorstwie, wiązało się ze świadomością, że być może zwracała uwagę na niewłaściwe sprawy, powtarzała wyglupy, chociaż było zawsze coś więcej, odcień, głębia, światło, do których nie potrafiła dotrzeć i wiedziała, że nie dotrze. I przypuszczała, że dotyczy to nie tylko aktorstwa. Wszystko, co zrobiła, mogło czasami być postrzegane jako błąd. Nigdy nie uderzyło jej to silniej niż wtedy, gdy rozmawiała z Ralphem Gillespiem, ale gdy rozmyślała o nim później, te błędy wydały jej się nieważne. Była tak dalece dzieckiem swoich czasów, że zastanawiała się, czy to, co do niego czuła, nie miało podtekstu erotycznego, seksualnej ciekawości; raczej nie. Były to chyba uczucia, które można wyrazić jedynie przez interpretację; prawdopodobnie można się nimi kierować tylko w ten sposób; niemówienie o nich i niekierowanie się nimi jest właściwą strategią, ponieważ interpretacja jest zawodna. I niebezpieczna.

Z tych powodów Rose nie wyjaśniała nic więcej Brianowi i Phoebe, mówiąc o Ralphie Gillespiem, wspominając obrzędy Miliona Homera z nowo narodzonymi dziećmi i jego diaboliczną radość na huśtawce. Nie napomknęła nawet, że nie żyje. Wiedziała o tym, ponieważ wciąż prenumerowała gazetę wychodzącą w Hanratty. Flo podarowała jej na Gwiazdkę ubiegłego roku, kiedy jeszcze wciąż czuła się w obowiązku dawać prezenty, siedmioletnią prenumeratę. W typowy dla siebie sposób oznajmiła, że gazeta jest wyłącznie po to, by ludzie umieszczali w niej swoje nazwiska i nie ma tam niczego, co warto by przeczytać. Zwykle Rose przewracała szybko kartki i wrzucała gazetę do kominka. Tym razem jednak zauważyła na pierwszej stronie historię o Ralphie.

ŚMIERĆ BYŁEGO OFICERA MARYNARKI

Pan Ralph Gillespie, emerytowany, w sobotę wieczorem w domu weterana doznał śmiertelnego urazu głowy. Ustalono, że w wypadek nie były zamieszane osoby trzecie. Niestety minęło kilka godzin, zanim odkryto ciało pana Gillespiego. Przypuszcza się, że mylnie wziął drzwi prowadzące do piwnicy za drzwi wyjściowe i stracił równowagę. Upadek okazał się niebezpieczny ze względu na dawne obrażenia, odniesione podczas służby w marynarce wojennej, które były przyczyną jego niepełnosprawności.

Dalej w artykule była mowa o rodzicach Ralphi, którzy najwyraźniej wciąż żyją, i o jego zamężnej siostrze. Dom weterana zajął się uroczystościami pogrzebowymi.

Rose nie powiedziała o tym nikomu, zadowolona, że przy-
najmniej tej jednej rzeczy nie zepsuje czczą gadaniną, choć
zdawała sobie sprawę, że milczy z powodu szlachetnej po-
wściągliwości, jak również z braku informacji. Cóż mogła
powiedzieć o sobie i o Ralphie Gillespiem poza tym, że był
jej bliski, bliższy od wszystkich mężczyzn, których kiedyś
kochała?

Spis rzeczy

Królewskie lanie	7
Przywilej	45
Półówka grejpfruta	71
Dzikie łabędzie	99
Żebraczka	117
Niewinny flirt	169
Fatum	225
Szczęście Simona	259
Literowanie	295
Za kogo ty się uważasz?	321